

Fala brutalnego
nacjonalizmu → 30

Rodzice wspierają
dzieci LGB → 34

Stypy w wersji
pop → 44

PRZE KROJ

nr 10 (3529), 11 marca 2013, cena: 3,99 zł (w tym 8% VAT)
www.przekroj.pl

Dlaczego bierzemy rozwód z rodzicami?



DEKS

1424

ISSN 0033-2488

10

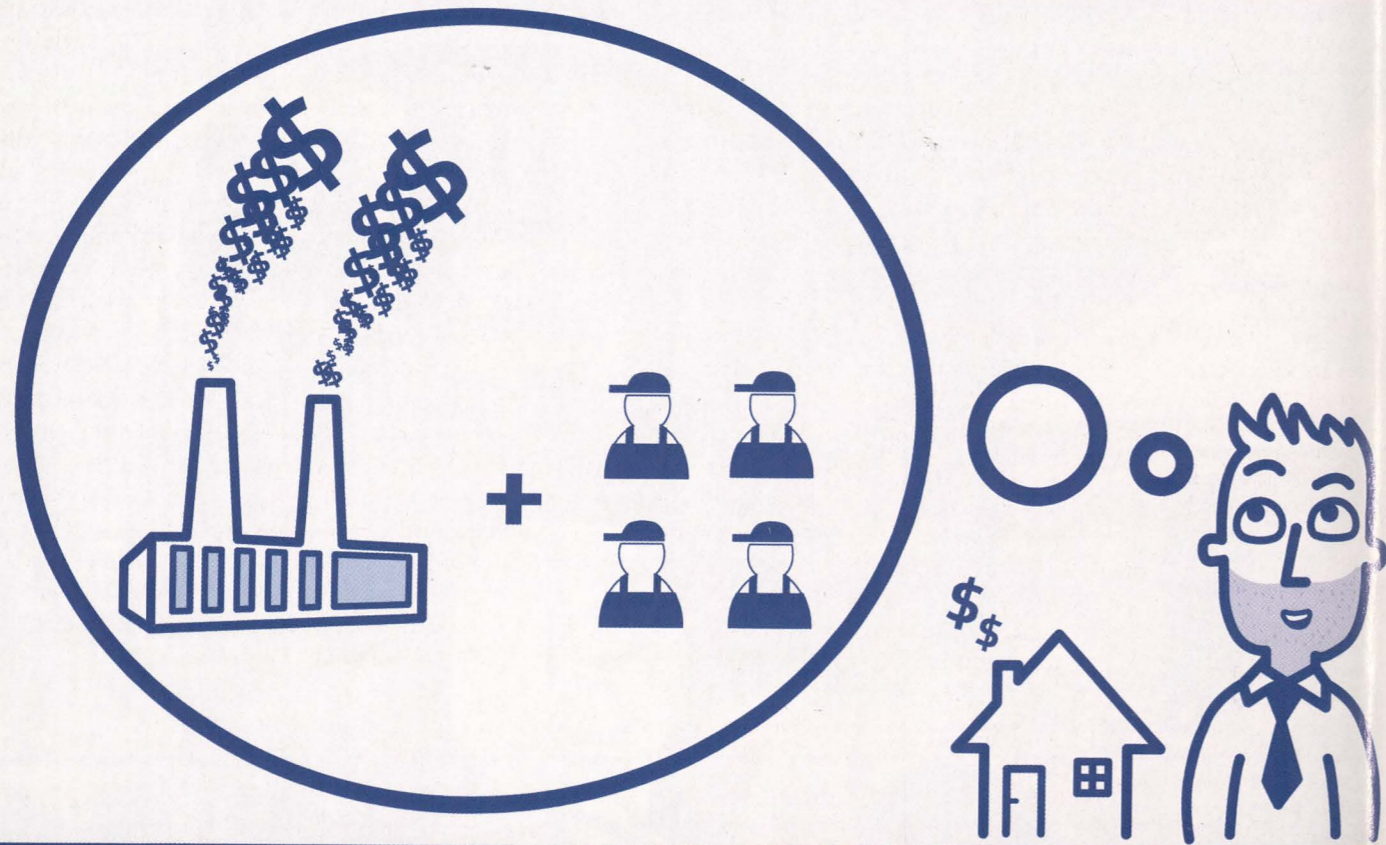
„Przekrój” ukazuje się od 1945 roku

Mały biznes w małych miejscowościach

Konkurs na najlepszy Biznes Plan

Mieszkaś w miejscowości do 50 tys. mieszkańców, jesteś przedsiębiorczy i masz 20-35 lat?
Potrzebujesz funduszy na rozwinięcie swoich pomysłów, chcesz być własnym szefem?

Stwórz własny biznes i wygraj **50 000 zł**



www.rp.pl/malybiznes


Bank Pocztowy

 **RZECZPOSPOLITA**

ATKearney

IBS
Instytut Badań Strukturalnych

LEWIATAN

NZA

Studenckie Forum
Business Centre Club

PARKIET

PRZE
KROJ

NA POCZĄTEK

PRZE KROJ

W tym tygodniu
nie piszemy...

...o nobliście Lechu Wałęsie. W poprzednim numerze broniliśmy byłego prezydenta przed Joachimem Brudzińskim, który komentował stan jego owłosienia. Teraz bardziej martwi nas stan umysłu Lecha, co najpierw mury rozwał, a teraz pragnie je wznościć.

...o iPadzie Jarosława Kaczyńskiego. Prezes PiS wystąpił w ubiegłym tygodniu na sejmowej mównicy z tabletem, na którym prezentował „premię” prof. Glińskiego. 2* 1: fantazja i nowoczesność.

...o dzieci à la Niesiołowski. Zasady są proste: dużo szczawiu. Tak zdaniem posła odżywiały się niegdyś dzieci. Dlatego te, które dzisiaj nie dojadają, są w świetnej sytuacji. Niesmaczny żart.

...o Danielu Olbrychskim. Nasz ukochany Kmicic promuje polskie jabłko oraz chleb w patetycznej i patriotycznej reklamie dyskontu. Jakiego? Portugalskiego.

...o tym, że amerykański senator Rand Paul przemawiał przez 13 godzin, by doprowadzić do obstrukcji debaty nad kandydaturą Johna Brennana na nowego szefa CIA. Przydałby się taki długodystansowiec w naszym parlamencie. Żeby blokować głupie ustawy.

...o Kasi Sokołowskiej. Reżyserka pokazów mody zadebiutowała właśnie w roli jurorki programu „Top Model” (wymawiać: tap madl). Szkoda nam prawdziwej znawczyni rynku, która robi dobrą minę do złej gry. A konkretnie: panienek tańczących z mopami.

ZUZANNA ZIOMECKA



FRANIEK MAZUR (2)

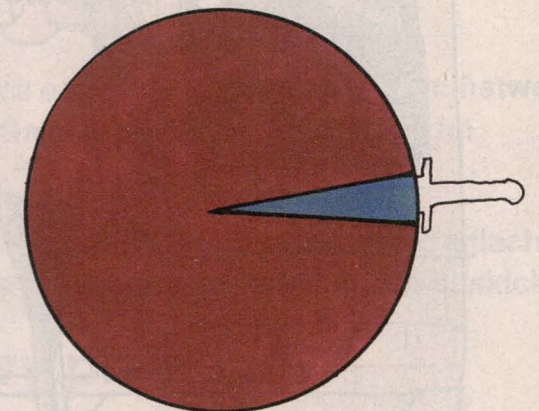
W ostatnim odcinku gorącego serialu „Girls” uderzająca jest wrogość Hanny, dwudziestoparoletniej głównej bohaterki, wobec rodziców. Fuka na nich, pyskuje i traktuje jak śmierdzące zło, właściwie niekonieczne. Gdyby to była błyskotliwa kreacja scenarzystki, nie zawracałabym Wam głowy. Ale nie jest – tak wygląda typowa amerykańska rodzina, która w dniu wyjazdu dziecka na studia zwykle się rozwała, co przynosi ulgę obu stronom. Jeśli wydaje się Wam, że to społeczne science fiction, nie jesteście na bieżąco i cieszcie się z tego. „Przekrój” odkrył, że w naszym kraju oddalenie emocjonalne rodziców i dzieci powszechnie wprost proporcjonalnie do powiększania się wyrwy międzypokoleniowej (str. 6). Różnice w obyczajowości i stylu życia mieszkańców wielkich miast oraz małych miasteczek cały czas się pogłębiają, co separuje dzieci od rodziców. Być może – bezpowrotnie. Choć specjaliści przekonują, że te nowe relacje to niekoniecznie nic złego, byłabym niepokojona, gdyby nie inny ważny tekst opublikowany w tym wydaniu, dotyczący kampanii społecznej, w której rodzice wspierają homoseksualne dzieci (str. 34). Widać w nim wyraźnie, jak silne więzi między rodzicami a dziećmi potrafią zmienić krajobraz społeczny kraju i poprawić jakość codziennego życia członków dobrze funkcjonującej rodziny. Nie miałam pojęcia, jakie to cenne, gdy byłam dwudziestoparoletnią smarkulą. Mieszkałam wtedy w USA, moi rodzice byli tu i nie tęskniłam za nimi. Jednak kiedy wróciłam i nagle poza nimi odzyskałam też braci, babcię, ciotkę i całą kłótniową, charakterną obsadę mojego własnego serialu (w starciu Girls vs Zioms gruba Hannah w NYC poległaby w pierwszej rundzie), poczułam moc, która trzyma mnie w tym szarym, smutnym, wkurzającym kraju do dziś.

MARCIN PROKOP



Skrajni narodowcy są jak wrzód, który pojawia się zawsze wtedy, gdy tkankę państwowego organizmu toczy jakaś choroba. W ten sposób, jako czynnik diagnostyczny, spełniają jedyną pożyteczną rolę w społeczeństwie. Kiedy na początku lat 90. raczkujący, dziki kapitalizm jednych windował do pułapu nowobogackich krezusów, a innych spychał na margines biedy gorszej niż za PRL-u, widok łysych głów paradujących grupami po ulicach w czarnych gładach i „flejersach” z naszywkami NOP-u był czymś powszechnym. Potem, w latach szybkiego wzrostu PKB i względnego dobrobytu dla wszystkich, skinheadzi i im podobni gdzieś poznikali i stali się rzadko spotykaną, egzotyczną ciekawostką, której nikt nie traktował bardziej serio niż złego Burka ujadającego w oddali, za ogrodzeniem. Teraz pies zerwał się z łańcucha. Brunatne oddziały, które chcą bić, obrażać, palić, nie tolerować i wywracać do góry nogami w imię źle pojętego patriotyzmu, znów zwierają szyki. Tym razem groźniejsze, liczniejsze, lepiej zorganizowane, skutecznie działające pod przykrywką publicznie aktywnych organizacji. Parafrazując słowa słynnego księdza Natanka, który nawet w żelu do włosów widział szatana – to bardzo poważny znak, że z Polską coś złego się dzieje.

RACZKOWSKI



WIĘKSZOŚĆ
MNIJSZOŚĆ

AKTUALNOŚCI

6 → **TEMAT TYGODNIA** Koniec rodziny Jerzy Ziemacki

GRUBE SPRAWY

- 16 → **KONKLAWA** Kto wybierze papieża Anna Gwozdowska
- 20 → **WIARA** Religia w sieci: Obfity połów w trudnych czasach Karolina Przewrocka
- 24 → **ZJAWISKO** Turystyka śmierci Edyta Borkowska
- 30 → **IDEOLOGIA** Idą brunatni Anna Wittenberg
- 34 → **TOLERANCJA** Rodzice wychodzą z szafy Mike Urbaniak
- 40 → **INTERNET** Na kryzys start-upy Marianna Saska
- 44 → **OBYCZAJE** Cztery wesela czy pogrzeb? Olga Świącicka
- 48 → **RĘKODZIEŁO** Nawróceni na rzemiosło Sylwia Kawalerowicz

KULTURA

- 52 → **WYSTAWA** Ciuch jako dzieło sztuki Marcin Różyc
- 56 → **KOMIKS** Więcej komiksów dla najmłodszych Dominika Węclawek
- 62 → **FILM** Baczyński jak Hamlet Z Kordianem Piwowarskim rozmawia Jacek Tomczuk
- 66 → **LITERATURA** Bunt jako towar chodliwy Jacek Tomczuk
- 68 → **MUZYKA** Król produkcji Angelika Kucińska
- 71 → **GRY** Jak w filmie Marcelli Szpak

RACZKOWSKI



ROZMAITOŚCI

- 72 → **DESIGN** Design nakręca biznes Wanda Modzelewska
- 76 → **FANTY I FETYSZE** Wybiera Cecylia Malik Monika Brzywczy
- 79 → **PO-PATRZ** Stars and Stripes Kuba Dąbrowski
- 80 → **WINA** Rozmiar ma znaczenie Wojciech Bońkowski

FELIETONY

- 11 → **MARIUSZ ZIOMECKI** W obronie PC
- 29 → **MAX CEGIELSKI** Jest wojna
- 39 → **JAKUB ŻULCZYK GOŚCINNIE** Włączyć własne oczy
- 60 → **MACIEJ NOWAK** Szczęściem pederasta



DZIEKI UPRZEŹMOŚCI LWMM



ADRES REDAKCJI:
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,
22 463 03 00, www.przekroj.pl,
e-mail: doredakcji@przekroj.pl

Redaktorzy naczelni:
Zuzanna Ziomecka
Marcin Prokop

Zastępcy redaktorów naczelnych:
Hanna Rydlewska
Monika Brzywczy
(redaktor działu Kultura)

Redaktor działu Grube Sprawy:
Anna Gwozdowska

Redaktor:
Grzegorz Sobaszek

Sekretarz redakcji:
Katarzyna Czarnocka

Współpracownicy:
Wojciech Bońkowski, Max Cegielski,
Kuba Dąbrowski, Aga Kozak,
Angelika Kucińska, Wojciech
Mikołuszko, Katarzyna Nowakowska,
Cezary Polak, Marek Raczkowski,
Marianna Saska, Karolina Sulej,
Stach Szabłowski, Mike Urbaniak,
Jerzy Ziemacki

Projekt graficzny:
Magdalena Piwowar

Pracownia graficzna:
Andrzej Figatowski

Fotoedycja:
foto@przekroj.pl,
Dorota Majka-Czarnocka

Korekta: Dominika Stępień,
Agnieszka Ujma

Strona internetowa: KRCMedia.pl

Wydawca: GREMI MEDIA Sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa

Promocja i marketing:
Cezary Piernikowski – p.o. Dyrektora
Marketingu i Rozwoju, Paulina Berska
(p.berska@rp.pl)

Biuro Reklam i Ogłoszeń:
GREMI MEDIA Sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa;
tel. 22 629 86 14; 22 621 48 69;
fax. 22 621 46 58; 22 625 61 57;
reklamainfo@presspublica.pl

**Dyrektor Biura Sprzedaży
Korporacyjnej Witold Trzcński**
tel. 22 463 05 53

**Dyrektor Działu Agencyjnego
i Magazynów Filip Weichert**
tel. 22 463 01 88

PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”
Prenumerata redakcyjna:
Cena prenumeraty 2013 r.:
Roczna: 175 zł, kwartalna: 45,80 zł
Zamówienie na prenumeratę należy
składać e-mailem:
prenumerata@przekroj.pl
Dodatkowe informacje:
tel. 800 120 195; 22 463 00 87

Prenumerata kolporterska
Oddziały Ruch SA, tel. 801 800 803
lub 22 717 59 59 – telefoniczne Biuro
Obsługi Klienta czynne w godz. 7-18,
www.prenumerata.ruch.com.pl,
urzędy pocztowe

Prenumerata na e-Wydania:
www.przekroj.pl, www.sklep.rp.pl,
www.egazety.pl, www.e-kiosk.pl

Dostęp na stronie www i w wersji na iPad
Prenumerata na iPad przez App Store:
tydzień – 0,79 €, miesiąc – 1,59 €,
rok – 19,99 €

Prenumerata na Android
przez Google Play: tydzień – 3,49 zł,
miesiąc – 6,89 zł, rok – 78,99 zł
Dostęp do serwisu oraz e-wydania
przez przekroj.pl: tydzień – 2,89 zł,
miesiąc – 8,89 zł, rok – 89,00 zł
Informacje: serwisypłatne@rp.pl,
tel. 22 46 30 066

Okladka:
H. Armstrong Roberts/Corbis



badam się
TO PROSTE!



**RAZEM
ZADBAJMY
O ZDROWIE**

**Badamy się.
A Wy?**

W trosce o zdrowie Pracowników, Biedronka już po raz 9. zachęca do regularnych badań profilaktycznych. Przekonujemy, że to naprawdę proste i zapraszamy na bezpłatne badania 40 000 naszych Pracowników.

Dbamy o zdrowie cały rok. Wspieramy Pracowników w walce o zdrowe i szczęśliwe dzieciństwo ich pociech. Każdej jesieni zapewniamy bezpłatne szczepienia przeciwko grypie wszystkim Pracownikom.

Do profilaktyki zachęcamy naszych Klientów. Przygotowaliśmy ulotki edukacyjne o badaniach, dostępne w sklepach Biedronka. Warto badać się regularnie i zachęcać do tego swoich bliskich.

Dbaj o zdrowie! Daj innym zdrowy przykład!

Ambasadorami badań profilaktycznych są nasi Pracownicy (na zdjęciu).

Biedronka, największa w Polsce sieć sklepów detalicznych, stale rozwija programy odpowiedzialnego biznesu dla swoich pracowników, społeczeństwa i środowiska.



JERZY ZIEMACKI, ILUSTRACJE TYMEK JEZERSKI

Koniec rodziny

Tradycyjny model rodziny przestał działać. **Dorośle dzieci tracą kontakt z rodzicami.**

Czasem dzieje się to gwałtownie, a czasem powoli, jakby naturalnie.

Dziecko przestaje być dzieckiem, a rodzic przestaje być rodzicem. W czym problem?

Agnieszka z Kutna mieszka w Warszawie. Pociąg z Warszawy Centralnej do jej miasta jedzie godzinę i dwadzieścia minut. W nowym rozkładzie PKP pociągów ze stolicy do Kutna jest wiele, kilkanaście dziennie. Bilet kosztuje 20 złotych. Są nawet wagony bez przedziałów, można podróżować jak samolotem. Ale Agnieszka, kutnianka, do Kutna nie jeździ. Nigdy. Chociaż ma tam rodzinę. A może właśnie dlatego, że ma tam rodzinę. Niedaleko kutnowskiego dworca (niedawno odnowionego na biały kolor, o czym Agnieszka nie wie, bo nie była tam od dwóch lat) mieszkają jej rodzice: 60-letnia matka i 65-letni ojciec. Nie utrzymuje z nimi kontaktu. Nie czuje takiej potrzeby.

Mieszka w stolicy, ma 33 lata, pracuje w agencji PR, zarabia 4 tys. złotych miesięcznie. Nie ma dzieci, partnerów zmienia często. Kutnowscy rodzice nie potrafią zrozumieć wyborów życiowych córki. Gdy jeszcze jeździła na święta, męczyli ją pytaniami o dziecko, męża i system emerytalny (pracuje na umowę o dzieło). Miarka przebrała się dwa lata temu. Podczas Wielkanocy ojciec wygłosił tyradę o tym, że wydziedziczy córkę, jeśli

nie założy rodziny, a on nie doczeka się wnuczki, a jeszcze lepiej wnuka – Agnieszka trzasnęła drzwiami. – Ja i moi rodzice to dwa różne światy. Oni nigdy nie zaakceptują mojego stylu życia. Kiedyś bardzo to przeżywałam, teraz mam to gdzieś – mówi Agnieszka. – Pewnie chcieliby, żebym mieszkała z nimi, płodziła mnóstwo dzieci, miała za męża syna sąsiada, chodziła w wózkem naokoło Kutnowskiego Domu Kultury – dodaje ze złością.

Agnieszka żyje w przekonaniu, że gdyby działo się coś złego, rodzice zadzwonią. Ale telefon milczy.

Dziecko jako projekt

Piotr urodził się w Warszawie. Żeby nie być blisko rodziców, wyprowadził się do Krakowa. Skończył studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zarabia jako rysownik. Jego rodzice od zawsze byli bardzo zapracowani. Swoje rodzicielstwo traktowali jako tymczasowy projekt do wykonania: urodzić, wykarmić, odchowić, wypuścić w świat. Udało im się. Piotrowi nigdy niczego nie brakowało. Miał co jeść, w co się ubrać, skończył dobre liceum. Gdy w wieku 18 lat wyprowadził się do Krakowa – rodzice odetchnęli

z ulgą. Spadł im z głowy wielki problem: dziecko. Rodzice Piotra zyskali dużo czasu i przestrzeni. Poczuli się znowu wolni.

Z początku dzwonili do studiującego syna raz w tygodniu. Później raz w miesiącu. Gdy Piotr usamodzielił się zupełnie (praca, mieszkanie, dziewczyna, pies), kontakt stał się rzadkością. Właściwie zanikł. Rodzice postanowili poświęcić się podrójom. Jeżdżą po świecie. Ojciec kocha nurkowanie, a matka lubi chodzić po miejscowych targach staroci i kupować sobie drobiazgi. Czasem nie ma ich w Polsce kilka miesięcy. O dwojce dzieci, Piotrze i Karolinie, w ogóle nie myślą. Wychodzą z założenia, że ich dzieci są już dorosłe, mają swoje życie, potrafią troszczyć się same o siebie. Dzieci są mniej dziećmi, a rodzice mniej rodzicami.

– Nie zerwałem relacji z rodzicami. Ale praktycznie nie mamy kontaktu. Nie widziałem ich ponad 20 miesięcy – mówi Piotr.

I przyznaje, że nigdy nie mógł z rodzicami się dogadać. Wiadomo, były kłótnie. Czasem ostrzejsze. Warszawsko-krakowska rozłąka stała się dobrym rozwiązaniem dla obu stron. Piotr wziął psa ze schroniska, to była



świetna wymówka, żeby nie wyjeżdżać z Krakowa do Warszawy. Kontakt między rodzicami a synem wygasł naturalnie.

– Nie dziwię się im. Zmarnowali 18 lat życia na moje wychowanie. Teraz muszą 18 lat ode mnie odpocząć – śmieje się.

W styczniu Piotr skończył 32 lata. Rodzice nie zadzwonili.

Czas dużych przemian

– Żyjemy w czasach kryzysu. Stare wzorce rodzinne przestają działać. Nowe wzorce są bardziej względne, jest większa różnorodność postaw i zachowań – mówi Grzegorz Zieliński, psychoterapeuta z ośrodka Poza Centrum. – Skoro coś już nie działa, nie warto na siłę tego naprawiać. Kryzysy są potrzebne – dodaje. Używa obrazowej metafory: wbijanie gwoźdźcia, który przy każdym uderzeniu młotka wygina się, łamie, kruszy i stawia opór, nie ma sensu. Nie ma sensu udawać, że tradycyjny model rodziny funkcjonuje bez zarzutu. Świat zbyt gwałtownie się zmienia.

Skoro zmieniają się modele relacji damsko-męskich, modele relacji zawodowych, relacji szkolnych, to tą samą koleją rzeczy zmieniają się również modele relacji rodzinnych. Być może dzieje się tak dlatego, że wszystkim rządzi ekonomia. Kiedyś dzieci i dorosłych łączyły wspólne interesy. Ojciec załatwiał pracę synowi lub przekazywał mu swój fach. Córki żyły blisko matek, bo tak było taniej. Wielopokoleniowe rodziny, żyjące ze sobą dzięki codziennym obowiązkom, były związane relacjami ekonomicznymi. – Dawniej autorytet rodzica oparty był na zależności dziecka od rodzica. Ta zależność dotyczyła wielu obszarów. Często była związana z pieniędzmi, posagiem, rodzinnym interesem, zamieszkiwaniem pod jednym dachem, którego właścicielem był zwykle senior rodu. Dzisiaj, gdy więzy

Więzy są coraz słabsze, zanikają lub są radykalnie zrywane przez jedną ze stron. Bez konsekwencji.

ekonomiczne nie odgrywają decydującej roli, widać lepiej prawdziwe rodzinne więzi – twierdzi Dorota Biały, psycholożka związana z Instytutem Psychologii Procesu.

Więzy są coraz słabsze, zanikają lub są radykalnie zrywane przez jedną ze stron. Bez konsekwencji. Dzieci pracują w zupełnie innych zawodach niż rodzice. Szybciej usamodzielniają się finansowo. Mają inny świat wartości. Inne obowiązki, rozrywki, radości i zmartwienia. Rewolucyjne zmiany przyspieszył postęp technologiczny. Między pokoleniami istnieje przepaść. Rodzice Agnieszki z Kutna nie mają Internetu, nie oglądają filmów na DVD, nie wiedzą, co to jest tablet. Jak mają zrozumieć, że Agnieszka chce być singielką?

Zmiany w modelu rodziny dotyczą całego świata. W Skandynawii tradycyjny model rodziny zostaje zastąpiony przez elastyczny model wychowania dzieci, ułatwienia im startu i powrotu do swoich przyjemności (coś jak rodzice Piotra). Nawet we Włoszech, gdzie wielu dorosłych synów żyje pod jednym dachem z matkami, duża część społeczeństwa dostrzega kryzys rodziny: między dziećmi a rodzicami istnieją różnice nie do pokonania. Te historyczne zmiany widać nawet w tak tradycyjnych krajach jak Japonia. Japońska rodzina zawsze posiadała silną hierarchię. Ojciec decydował o wszystkim. Matki były posłuszne, a dzieci pokorne. Ale już nie są. Czy wyszło to Japończykom na dobre? Młodym tak, starym nie. – Starsi Japończycy, których poznałem, boją się o swoją przyszłość. Nie boją się maszyn, trzęsień ziemi, chińskiej dominacji – boją

się własnych dzieci. Uważają, że nowe pokolenie nie ma żadnego szacunku dla starszych. Obawiają się, czy jako niepotrzebni staruszkowie nie zostaną zmarginalizowani lub poddani eutanazji – relacjonuje Janusz Kaniewski, wybitny polski designer, który często bywa w Japonii. Postęp technologiczny zmienił nawet sztywne wzorce japońskie.

Polacy są w szczególnej sytuacji: przemiany społeczne związane z transformacją ustrojową, przejście z systemu socjalizmu do kapitalizmu, były bardzo dynamiczne. Otwarcie na Zachód szybko zmieniło mentalność dorastających Polaków. – Nawet najbardziej sztywne modele rodziny, oparte na tradycyjnych wzorcach i wartościach, ulegają obecnie gwałtownym przemianom. W jednej rodzinie dorosłe dzieci, które mają już swoje dzieci, kultywują zupełnie inny model wychowania i relacji dzieci z rodzicami niż ten, w którym sami się wychowali – uważa Dorota Biały. Tłumaczy, że coraz częściej „rodzic” i „dziecko” to jedynie role społeczne, które z czasem zmieniają się w inne role. Gdy dziecko staje się dorosłe, rodzic przestaje być potrzebny. Wtedy może przestać być rodzicem. Role ojca, matki, syna i córki są tymczasowe.

Terapie przedświąteczne

Każdego roku w okolicach świąt na psychoterapię do ośrodka Poza Centrum, w warszawskiej kamienicy w Alejach Ujazdowskich, przychodzi więcej osób niż zazwyczaj. Na samą myśl o rodzinnych świętach wielu osobom robi się słabo. Znow ta sama nudna gadka, seria niedyskretnych pytań, brak zrozumienia i nuda, a czasem gwarantowana kłótnia. Święta to nie jest słodki czas. Psychologowie mają wtedy ręce pełne roboty. Niektórzy pacjenci szczerze przyznają, że najchętniej spędziliby święta na terapii, z grupą, bo tutaj czują prawdziwą bli-

skość, ciepło, otwarcie, wzajemność – to, co kojarzy im się z dobrymi świętami, a czego w rodzinnych domach nie mogą znaleźć.

Z jednej strony dorośli ludzie nie chcą jechać do rodziców, z drugiej strony czują wyrzuty sumienia, obwiniają się, nie mogą w nocy spać. Zachowują się jak dzieci. Unikając konfrontacji twarzą w twarz, z obawy przed sporem z mamą czy tatą, uwewnętrzniają swój konflikt: bokują się sami ze sobą. Niektórzy zaczynają chorować. Agnieszka zawsze tak miała: silne bóle głowy przed każdymi świętami, rozdrażnienie, bezsenność, czasem wysoka gorączka. Przedświąteczne choroby występu-

ją zwykle na tle psychosomatycznym (ciało reaguje na impulsy psychiczne). Kutnianka była szczęśliwa, gdy po tym, jak choroba rozłożyła ją na dobre, mogła zostać w Warszawie. Zadzwoniła wtedy do mamy w Kutnie i w pięć minut usprawiedliwiła swoją nieobecność.

– Mamy prawo nie jechać do rodziców na święta. Nie jesteśmy własnością rodziców. Jeśli naprawdę czujemy, że nie mamy ochoty uczestniczyć w tym wszystkim, nie zmuszajmy się! To będzie dla nas zdrowsze – komentuje Grzegorz Zieliński.

Przestrzega jednak przed manipulowaniem rodzicami i sobą: – Najlepiej mówić szczerze, jak jest. Nie

próbować zmieniać rodziców. Nie zmuszać do zmian samego siebie. Wyrzuty sumienia nie są dobrym powodem do udziału w rodzinnej uroczystości. Sygnalizują natomiast konflikt wewnętrzny, który dobrze najpierw spróbować zrozumieć, przepracować, zanim przeniesie się go na grunt rodzinny.

A Dorota Biały dodaje: – Być może nie jadąc do rodzinnego domu na święta, usiłuję pokazać, że robię to, na co mam ochotę. Ale trzeba pamiętać, że często w ten sposób realizujemy jakieś nie do końca świadome intencje. Są one związane z odwetem, może z chęcią zemsty. Wśród dorosłych dzieci pojawia się potrzeba od-

REKLAMA

THE WALL IS BACK...WITH A NEW STADIUM VERSION!
 "A TRIUMPH OF SCALE AND AMBITION." -THE TIMES, LONDON

**ROGER WATERS
 THE WALL
 LIVE**

20 SIERPNIĄ 2013 WARSZAWA, STADION NARODOWY

BILETY: eventim.pl KUP NA LIVENATION.PL



Mariusz Ziomecki

W obronie PC



FRANEK MAZUR

Po tym, co powiedział Lech W., i po reakcji na jego słowa, wiem już na pewno: pora wyjść z szafy. Czas stanąć dumnie wyprostowanym i patrząc Narodowi w oczy, ogłosić wstydliwą prawdę o sobie. Jestem zwolennikiem poprawności politycznej.

Tak, tego political correctness, w skrócie PC. Zarzili mnie nim w Stanach Zjednoczonych. Początkowo się broniłem, ale z czasem rezygnacja wzięła górę – emigrant nie ma wyboru – i poddałem się dominującej ortodoksji. Dopiero tu, w Polsce, uczestnictwo w rzezi, którą nazywamy debatą publiczną, zrobiło ze mnie prawdziwego entuzjastę PC.

Długo trzymałem tę moją przypadłość w sekrecie, jednak już nie ma potrzeby. Mimo gromkich deklaracji, iż my, Polacy, niezależni i hardzi myśliciele, od PC jesteśmy jak najdalej, mimo ujadania ideologów, publicystów niepokornych i innych niezorientowanych, w czym rzecz, poprawność polityczna zaczyna funkcjonować i w naszym kraju. Kapitałna sprawa! Nareszcie dorastamy!

Wcale nie żartuję. Jeśli ktoś poczuł się przybity (zawstydzony, wkurzony, gotowy do emigracji – niepotrzebne skreślić), gdy nasz drogi Lechu ujawnił swą ludową pogardę dla posłów-gejów, to powinna jego lub ją zachwyć reakcja opiniotwórczej części publiki na ten wyskok. Zauważcie: nie było żądań, by byłego prezydenta karać, żaden ze sponstrowanych posłów nie zagroził procesem, choć paragrafy na „mowę nienawiści” przecież są. I choć wielu uważa, że cały incydent uszkodził wizerunek Polski w świecie.

Większość moich znajomych (przyjaźnię się po obu stronach politycznej barykady), na fejsie i w realu, najpierw nie mogła uwierzyć w tego newsa, potem złapała się za głowę. Na koniec stanęło, że Lech tym, co powiedział, i tym, jak się broni, cytując głosy trolli na swojej stronie... po prostu wykreśla się z dobrego towarzystwa. Ton komentarzy w mediach elektronicznych i papierowych też wydał mi się jednoznaczny: nasza żywa legenda puściła w świat bąka. Oraz: Lechu oberwie po kieszeni, bo firmy i najlepsze uniwersytety nie będą zapraszały homofoba na lukratywne prelekcje. Takie reakcje to poprawność polityczna w działaniu – w najczystszej, życiodajnej formie! Nie życzę Lechowi utraty dochodów, ale uważam za ważne, że takie reak-

Lechu oberwie po kieszeni, bo firmy i najlepsze uniwersytety nie będą zapraszały homofoba na lukratywne prelekcje. To poprawność polityczna w działaniu – w najczystszej, życiodajnej formie!

cje wreszcie się pojawiają. Główny mechanizm PC, czyli presja ludzi oświeconych, zdziała więcej dla ucywilizowania naszego dyskursu niż sankcje prawne, wszystkie sądy i rady etyki razem wzięte.

Poprawność polityczna ma ostatnio – nie tylko u nas – kiepską prasę. Dla prawicy to współczesna odmiana kulturowego stalinizmu, narzędzie intelektualnego terroru i cenzury. W Polsce PC to obciach, a opozycja wobec niej – nobilituje. Dlatego tylu ignorantów odcina się od poprawności politycznej z taką komiczną powagą. Ci po drugiej stronie barykady z kolei nie lubią wspominać, jakie nadzieje pół wieku temu wiązali z PC.

Intelektualiści dawnej Nowej Lewicy wykombinowali mianowicie, że skoro rzeczywistość społeczna kształtuje funkcjonujący w niej język, to będzie i na odwrót: język kształtowany z polityczną premedytacją zrewolucjonizuje rzeczywistość. Niestety, czerwona rewolucja nie nadeszła, mimo że lewicowcy pytlowali marksizmem do upojenia. W późnych latach 70. i na początku 80. PC zrewolucjonizowała jednak czołowe uniwersytety Zachodu – gdzie właśnie zaczynała masowo studiować i dyskutować najbystrzejsza, najambitniejsza młodzież z wszystkich zakątków globu. To właśnie w kampusach zaczął się proces globalizacji, który kształtuje współczesny świat. I tam ukuto zasady innej, współczesnej PC – kodeksu przetrwania dla ludzi, narodów i dla całej ludzkości.

Można streścić je prosto: unikajmy wszelkich form ekspresji oraz działań, które mogą być postrzegane jako nakierowane na wykluczanie, marginalizowanie lub obrażanie ludzi reprezentujących inne kultury niż nasza, wyznających inne wartości, grup znajdujących się w społecznie gorszej sytuacji lub będących obiektem dyskryminacji.

Bez tego ten świat eksploduje. Dla Lecha takie zasady okazały się ciut trudne, ale jak sympatycznie zauważył Jarosław Wałęsa, tąę ukształtowała inna epoka. Zamiast się na niego wściekać, pomóżmy mu zrozumieć, jak zmienia się świat. Zgoda, panie Jarosławie. Dokładnie tak: pomóżmy pana tacie – oraz tylu innym, w Sejmie i poza nim – coś zrozumieć. To też zasada political correctness – w najlepszym wydaniu tej zbawiennej doktryny.

Autor jest redaktorem, dziennikarzem, publicystą, biznesmenem. U nas pisze o cywilizacji.

reagowania: by oni, rodzice, poczuli teraz to samo, co czułem ja kiedyś, gdy byłem dla nich mało ważny, gdy mnie lekceważyli.

Psychoterapeutka twierdzi, że jeśli między dziećmi a rodzicami są emocje, nawet bardzo złe, należy pracować nad relacją. Dobre układy z rodzicami dają nam komfort psychiczny. Ale coraz częściej we wzajemne relacje wkrada się obojętność. Żadna strona nie jest zainteresowana dialogiem.

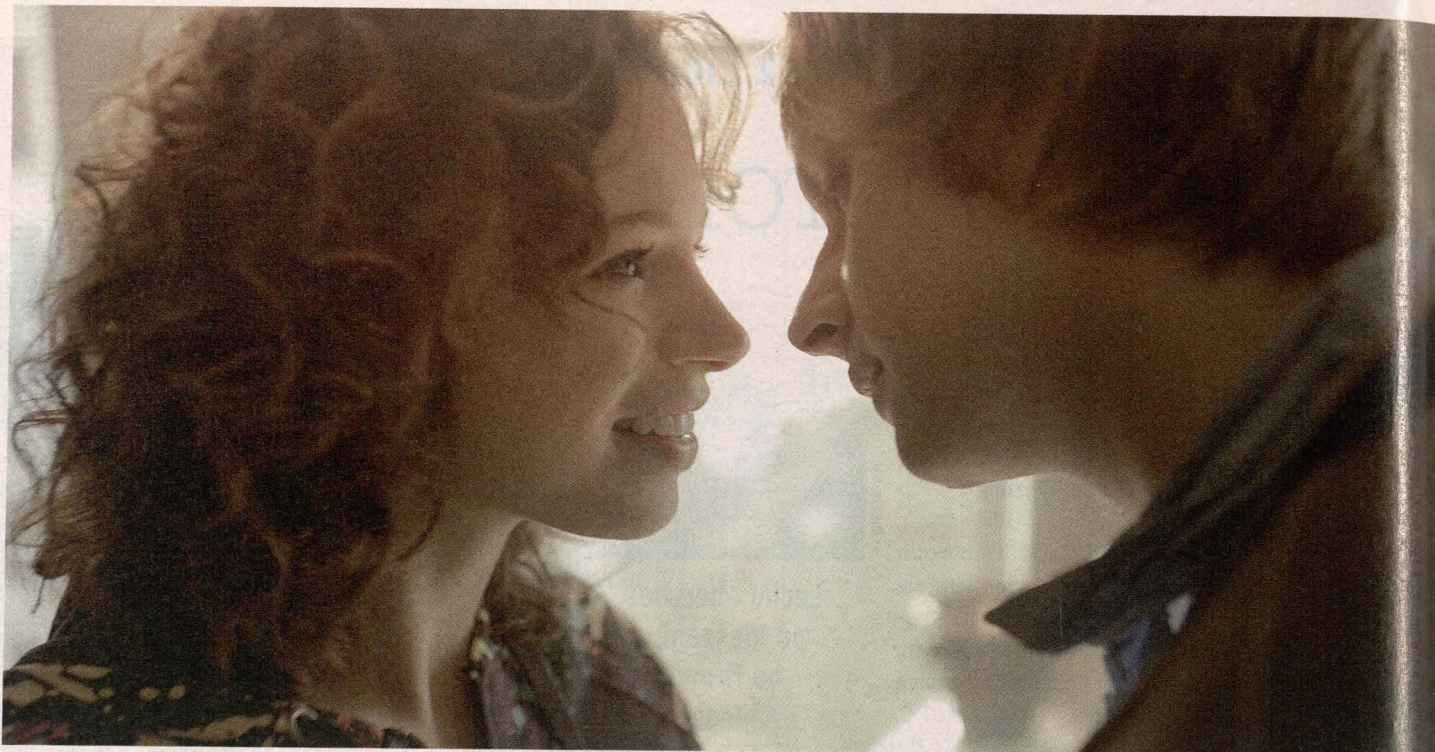
Dylematy moralne
Europejski model rodziny był oparty na chrześcijańskiej wizji świata. Ho-

dowano czwartemu przykazaniu: czcij ojca swego i matkę swoją. W praktyce starzy znajdowali oparcie w młodych.

Dane Głównego Urzędu Statystycznego są bezwzględne: aż 2 miliony Polaków nie ma siły, aby przenieść torbę z zakupami ważącą pięć kilogramów, na odległość 10 metrów. Prawie 700 tys. Polaków jest tak schorowana, że nie może się samodzielnie umyć. Ludzie starsi, których dzieci opuściły, mogą liczyć na pomoc państwa. Ale państwo jest w tej pomocy nieudolne. Polska to nie Szwecja.

Dorota Biały wspomina: – Nie zapomnę 30-letniego mężczyzny,

który ze łzami w oczach opowiadał mi o swoim pierwszym wyjeździe na wyspę Kos. Pojechali w górę, weszli do małego sklepika, w którym pachniało lawendą. Za ladą siedziała starsza kobieta, zawinięta w chustkę. Coś nuciła. Gdy wszedł do sklepu, ich oczy się spotkały. Coś zmieniło się w powietrzu. Kobieta wyszła z za lady i bez słów przytuliła cudzoziemca. Pachniała ciepłem, siłą i bezgraniczną miłością. Gdy wsłuchiwałam się we wspomnienia tego dorosłego mężczyzny, widziałam w jego oczach łzy. Spotkał wreszcie „matkę”, której tak bardzo brakowało mu w życiu.



MATERIAŁ ORGANIZATORA

KAMPANIA

Seks do grobowej deski

„To oburzające i obrzydliwe” – grzmiał jeden z polityków, gdy rok temu z okazji Dnia Dziecka Janusz Palikot rozdawał nastolatkom w Sejmie prezerwatywy. „Gdzie do dzieci, no ludzie?!” – grzmiał inny. A „nastoletnie dzieci” brały prezenty garściami, choć nie wszystkie wiedziały, co biorą i po co. W tym przypadku prezerwatywa była tylko narzędziem polityczno-ideologicznej rozgrywki. O jej zdrowotnym aspekcie mówi się w Polsce wciąż rzadko, a nawet – jak wynika z raportów Grupy Edukatorów Seksualnych Ponton – prawie wcale. 45 proc. młodych osób nigdy nie rozmawiało z rodzicami na temat seksualności, a aż 20 proc. nie ma osoby w rodzinie, z którą może tę kwestię poruszyć. Właśnie ruszyła akcja społeczna „Kończ bez strachu”, mająca na celu przełamać to tabu. W spotach Społecznego Komitetu ds. AIDS, które można oglądać w telewizji i Internecie, udział wzięli młodzi aktorzy: Dominika Gwit, Alan Andersz i Philippe Tłokiński, którzy w trzech różnych filmikach zaczynają uprawiać seks. Ten jednak nie kończy się cudownym orgazmem, lecz wieńcem pogrzebowym i słowami: „Kochasz życie? Kochaj się z prezerwatywą!”. Jak podkreślają organizatorzy, nie chodzi tu o „prezerwatywację” młodych – wbicie im do głowy, że jeśli seks, to tylko w gumce. Akcja ma na celu przede wszystkim obudzenie świadomości dotyczącej zdrowia i profilaktyki oraz dostarczenie na ten temat rzetelnej wiedzy.

Więcej na www.konczbezstrachu.pl → kw



POLARIS/EAST NEWS

ODKRYCIE

Cudowne uzdrowienie

Jak donoszą amerykańscy naukowcy... – tę frazę nie zawsze traktuje się serio. Tym razem jednak news o dokonaniu medyków ze Stanów Zjednoczonych obiegł świat z prędkością światła. Naukowcy wyleczyli dziecko z HIV! To drugi taki przypadek. Za pierwszego człowieka, który

został wyleczony, uznaje się Timothy'ego Raya Browna, jednak w jego przypadku ślady HIV zniknęły po przeszczepie szpiku kostnego, który był elementem leczenia nowotworu. Wyniki dotyczące najnowszych badań opublikowała kilka dni temu Foundation for AIDS Research. Wyleczone dziecko ma dziś 2,5 roku, a jego leczeniem specjaliści zajęli się już 30 godzin po jego urodzeniu. Matka dziecka nie wiedziała, że jest nosicielką wirusa, odkryto to dopiero podczas porodu. Reakcja była błyskawiczna – noworodek z Missisipi został poddany agresywnej kuracji antyretrowirusowymi lekami, które najwyraźniej zablokowały rozwój HIV we krwi. Dziecko było leczone przez 15 miesięcy – potem kontakt specjalistów z matką się urwał. Gdy kilka miesięcy później przywieziono malca na badania, okazało się, że w jego organizmie nie ma nawet śladu po wirusie. Jest to tym bardziej szokujące, że lekarze zazwyczaj nie zalecają przestoju podczas takiej kuracji. Ale uwaga! Naukowcy nie dają gwarancji, że HIV nie uaktywni się w organizmie dziecka w przyszłości. Lekarze apelują zaś do pacjentów, by nie przerywali leczenia. Według dr Deborah Persaud z Johns Hopkins Children's Center, która weryfikowała wyniki, następnym etapem będzie rozszerzenie badań na inne dzieci z grupy wysokiego ryzyka oraz poddanie ich agresywnej terapii. Czyżbyśmy stawali się właśnie świadkami budowy bronii w walce z zarazą naszych czasów? Jak wynika ze statystyk ONZ, na całym świecie co roku rodzi się około 330 tys. zainfekowanych noworodków. W Polsce – od początku badań nad wirusem, czyli od 1985 r. – odnotowano ponad 16 tys. zakażonych. → kw



EDUKACJA

Aaaa... menedżera kultury szukam

„Dam pracę filozofowi” – takie ogłoszenia najprawdopodobniej nie istnieją, tymczasem absolwenci szkół humanistycznych zajmują często najwyższe stanowiska. Bronisław Komorowski i Donald Tusk są z wykształcenia historykami, a jedna z pierwszych dam polskiego biznesu – Grażyna Piotrowska-Oliwa, prezes zarządu PGNiG – jest absolwentką Akademii Muzycznej w Katowicach. Jak widać, studiowanie „kulturalnych kierunków” się opłaca, tym bardziej gdy słowo na „k” towarzyszy słowo na „e”. „Ekonomia Kultury” to nazwa nowych studiów licencjackich, których inicjatorami są Narodowe Centrum Kultury, Katedra Gospodarki i Administracji Publicznej oraz Warszawska Szkoła Filmowa. Kształcić będzie menedżerów, pracowników administracji publicznej, absolwentów szkół artystycznych i humanistycznych. Jedni douczą się w sferze kultury, drudzy prawa, ekonomii, socjologii i marketingu. Nad programem czuwa zespół pod wodzą prof. Jerzego Hausnera. Nabór rozpocznie się już w czerwcu. → eb

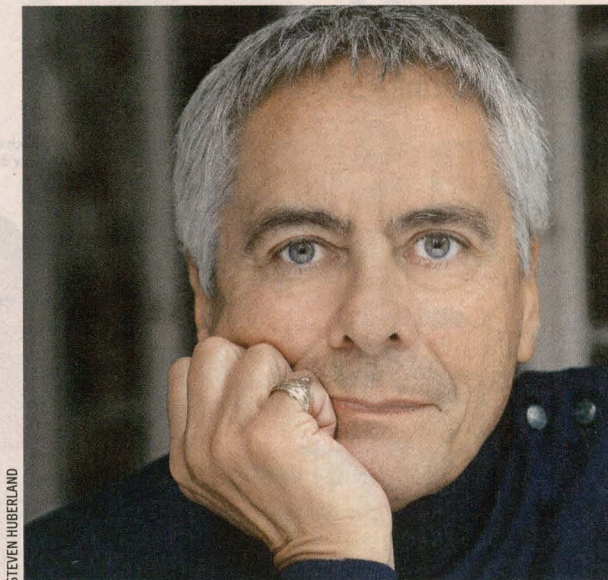


MATERIAŁ ORGANIZATORA

AKCJA CHARYTATYWNA

Okulary dla Afryki

Dla większości okularników nowy sezon to nowe oprawki. Zresztą jedna para to zdecydowanie za mało nawet dla modowego abnegata. Gdyby zapytać przeciętnego użytkownika szkieł, ile par okularów ma w domu, okazałoby się zapewne, że zdecydowanie więcej, niż potrzebuje. Może czas coś z tym zrobić? Oddaj swoje stare okulary tym, dla których to nie moda jest problemem. Otwórz swoje oczy i pomóż zobaczyć świat tym, którzy mają z tym problem. Właśnie ruszyła zbiórka używanych okularów dla Afryki. To realna pomoc. Nawet najtańsze okulary to wydatek przekraczający możliwości finansowe potrzebujących Kameruńczyków. Dla ciebie bezwartościowe, dla nich – bez przesady „rózowe”. Inicjatorem zbiórki są organizatorzy akcji „Okuliści dla Afryki”. Współpracują z Fundacjami Dzieci Afryki i Redemptoris Missio oraz zakładami optycznymi, w których odbywa się akcja. Okulary można dostarczyć do Kliniki Okulus w Bielsku-Białej przy ul. Górskiej 19 lub przesłać na adres ośrodka. → kw



STEVEN HUBERLAND

BALET

Neumeier w Warszawie

To nazwisko legenda. Amerykanin John Neumeier od 40 lat prowadzi znakomity Hamburg Ballett, jednocześnie realizując spektakle na całym świecie. Aktualnie pracuje w Warszawie z Polskim Baletem Narodowym nad „Snem nocy letniej”. Premiera 15 marca.

Co bardziej pana inspiruje: własny zespół, którego możliwości zna pan doskonale, czy spotkanie z nieznanymi tancerzami?

Kiedy tworzę coś nowego, wolę pracować z moim zespołem. Jestem wtedy kreatorem, który używa swojego tworzywa. Spotkanie z Polskim Baletem Narodowym to z kolei rodzaj fascynującego wyzwania: nie wiedziałem wcześniej, kogo spotkam i dokąd razem dojdziemy.

Za pana młodych lat Europejczycy jeździli do Ameryki, krainy tańca nowoczesnego, pan przebył drogę dokładnie odwrotną.

Szukałem źródeł inspiracji inną kulturą, tradycją. Nie interesowałem się wyłącznie tańcem, potrzebowałem kontaktu z teatrem, z malarstwem, literaturą.

Rodzinne korzenie odegrały rolę w tej podróży? Pana ojciec był Niemcem, matka Polką.

W Ameryce utrzymywaliśmy ściślejsze związki z rodziną matki, trzymaliśmy się razem, więc czułem się związany z Polską. O wyborze Niemiec na miejsce zamieszkania zaważył fakt, że był to czas dynamicznego rozwoju tańca w tym kraju.

Wiele pana baletów ma teatralną formę, ale nigdy nie uznał pan, że tworzy teatr tańca.

To określenie pozostawmy wielkiej Pinie Bausch, ona ma pełne do niego prawo. Różnica między teatrem tańca a moimi spektaklami polega na użyciu innych technik. Mój styl wyrasta z baletowej tradycji. → rozmawiał Jacek Marczyński

FACEBOOK

Słitaśna Rodzinka Stokowskich



Lubię to! · Dodaj komentarz · Udostępnij

Marcin Kasprzak, Marcin Ulański, Monika Tanas i 10 innych osób lubią to.

Zobacz więcej komentarzy (9)

Przemysław Czaja Pamiętacie o piątkowej wódce z wujkiem Kazikiem. Bez tego nie ma weekendu! 19 lutego o 15:49 · 🍷7

Joanna Miśka to szczęście wylało mi się na biurko! Ach jakże ja zazdroścuję! Wam tego wspaniałego życia!!! 21 lutego o 02:21

Rodzinka Stokowskich 19 lutego

Ale napadało! Dzieciaki lepią bałwana, a ja patrzę na nie przez okno rozkoszując się kubkiem ciepłego kakao...



Lubię to! · Dodaj komentarz · Udostępnij

Jakub Jerszynski, Adam Marzec, Wiktor Bruchal i 3 inne osoby lubią to.

Zobacz więcej komentarzy (6)

Kapitan Siekacz Wiesz, te garniki Philipiak to są bardzo dobre garniki, chociaż polskie, ale mają jedną niedogodność, że ich rączki są z drewna, i choćbyś nie wiem jak pilnowała, to raz na jakiś czas mogą się przypalić. A przecież takie garniki to powinny być na lata, po... Zobacz więcej 20 lutego o 05:04 · 🍷3

Cuban Ski no własnie nie wiedzialam, jakie sa rączki, no ale mamy indukcje, wiec chyba problem z głowy, no i znany kucharz reklamuje, wiec beda dla naszej rodziny dobre! 21 lutego o 02:19 · Edytowany

Rodzinka Stokowskich zaktualizowała swoje zdjęcie w tle. 19 lutego

Hurghada – Nasze Miejsce na Ziemi

Lubię to! · Dodaj komentarz · Udostępnij

Anna Wróblewska, Konrad Krawczyk, Joanna Ya i 52 inne osoby lubią to.

Zobacz więcej komentarzy (2)

Idealna polska rodzina ery all inclusive. A raczej rodzinka – bo bez zdrobień przecież się nie da. Mają słodkie dzieciaczki, ona chodzi na zumbę i na spotkania z konsultantką kosmetyczną, ma też ziołowy ogródek na parapecie. On ciężko pracuje, ale chętnie funduje wyjazdy do spa. W ich świecie nawet dość straszny warszawski Służewiec Przemysłowy (postindustrial + biurowce) nazywany jest „Mokotowem Biznesowym”. Wydają się zarówno spełnieniem aspiracji naszej klasy średniej, jak i marzeń każdego marketingowca. Tylko że nie istnieją. Facebookowa Rodzinka Stokowskich to założony niedawno fanpage oparty na tzw. stockach – ekstremalnie tanich, masowo produkowanych tandetnych zdjęciach z fotobanków – w tym wypadku przedstawiających lukrowaną, pastelową wersję życia czteroosobowej rodziny. Były już prześmiewcze fanpage o warszawskim lemingu i o tym, jak hipsterującemu Antkowi nie wyszło. Stokowscy wydają się nieco bardziej mrocznym eksperymentem – przede wszystkim za sprawą części fanów, którzy nie chwytając konwencji, całkiem serio gratulują Stokowskim udanych wyjazdów czy zakupów. Pewnie też chcieliby żyć tak jak oni. A przecież wystarczy do tego bank tanich zdjęć i odrobina wyobraźni. → kw



DESIGN

Krzesełko nie całkiem własne

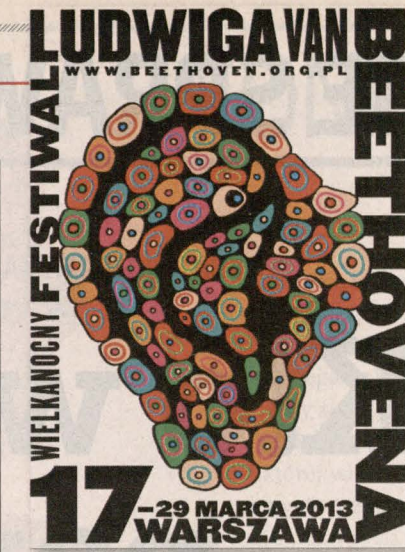
Plik muzyczny kupiony w iTunes nie jest w pełni naszą własnością. Film z VOD pooglądamy tylko przez określony czas albo ustaloną liczbę razy. Playlisty ze Spotify możemy słuchać, ile chcemy – ale przecież tylko dopóki pozwala nam na to abonament i dopóki działa firma. Czy czasowe użytkowanie za określoną cenę zamiast stałej własności to model biznesowy przyszłości? I czy da się go przenieść poza świat technologii i treści kultury? Na całym świecie już dziś podejmowane są takie próby – przykładem choćby rozwój car-sharingu albo nawet miejskich sieci rowerowych. Ale gdzie leży granica między własnością a jej kompletnym brakiem? I między pozorną wolnością a pełnym uzależnieniem od dostawcy? Szukając jej, studenci Uniwersytetu Sztuki i Designu EGAL stworzyli artystyczny projekt DRM Chair. A więc krzesełko, które można użytkować tylko na zasadach zbliżonych do tych, które obowiązują w wypadku filmu z VOD. Na tym meblu można usiąść tylko osiem razy. Potem krzesełko nie tyle zostaje zablokowane, ile ulega autodestrukcji – elektryczny mechanizm „zabezpieczający prawa autorskie” powoduje, że topi się spoiwo między poszczególnymi jego częściami. Warto to zobaczyć na własne oczy – filmik na Vimeo daje do myślenia. → kw



FILM

Wężę jak Maliny

Złote Maliny – antynagrody dla najgorszych produkcji filmowych minionego sezonu – trafiają do nieszczęśników 24 godziny przed uroczystością rozdania Oscarów. Ich nazwa pochodzi od angielskiego idiomu blowing a raspberry, oznaczającego wystawienie języka i lekceważące prychnięcie. W tym roku zwycięzcą tego niechlubnego rankingu jest „Saga Zmierzch: Przed świtem. Część 2” – dostała siedem Złotych Malin. Co ciekawe, film pobił w Polsce rekord otwarcia – w pierwszy weekend przyciągnął do kin 420 tys. widzów. Sukcesu frekwencyjnego nie powtórzył „Kac Wawa”, zdobywca największej liczby nominacji (16) do polskich odpowiedników Złotych Malin – Węży. Historia wieczoru kawalerskiego z udziałem Borysa Szyca, Sonii Bohosiewicz i Romy Gąsiorowskiej zeszła z ekranów po dwóch tygodniach. Film stał się przyczynkiem do dyskusji o roli krytyka, po tym jak Tomasz Raczek „szczerze i nieodwołalnie” odradził pójście do kina, nazwał „Kac Wawa” „nowotworem” i wszedł w konflikt z producentem filmu Jackiem Samojłowiczem. W konkurencji o Wielkiego Węża dla najgorszego filmu startuje również „Big Love”. Tym razem fala internetowej krytyki uderzyła w Barbarę Białowąs. Internauci szeroko komentowali kompromitującą rozmowę młodej reżyserki z recenzentem Michałem Walkiewiczem. „Wy bez nas nie istniejecie” – mówiła Białowąs. Wojna krytyków ze złymi produkcjami trwa. Pełna lista nominowanych do Węży krąży w sieci. Laureatów poznamy 3 kwietnia. → eb



MUZYKA

Jak zdobyć artystów i publiczność

XVII Wielkanocny Festiwal Beethovenowski to ponad 20 koncertów w Warszawie oraz w sześciu innych miastach. Start w najbliższą niedzielę, finał w Wielki Piątek. O kulisach opowiada dyrektor Elżbieta Penderecka.

Musi pani zabiegać o publiczność?

Lubię to robić, mimo że już pierwszego dnia przedsprzedaży biletów ustawiła się kolejka chętnych. Nie ma miejsc na koncert inauguracyjny z IX Symfonią Beethovena i finałowy z „Requiem” Verdiego, podobnie jak na wieczór ze skrzypkiem Erżanem Kulibajewem i wenezuelskim dyrygentem Rafaellem Payarem.

Kulibajew zagra koncert Czajkowskiego. To hit, podobnie jak IX Symfonia czy „Requiem” Verdiego. Na takie utwory publiczność zawsze przyjdzie.

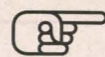
To prawda, ale nie mniejszym zainteresowaniem cieszą się występy orkiestr z Niemiec i Rosji czy Tokyo String Quartet. A wybory publiczności bywają zaskakujące. Musieliśmy dołożyć starań, by wypromować koncertowe wykonanie II aktu „Tristana i Izoldy” Wagnera, choć wydawało się, że nazwiska solistów i fakt, że tak rzadko ta muzyka jest u nas grana, będą wystarczającą zachętą.

Nie ma pani ochoty odejść od znanej klasyki i trochę eksperymentować?

Wolimy wyszukiwać rzeczy zaskakujące w dorobku wielkich kompozytorów. W tym roku będzie pierwsza wersja opery Verdiego „Simon Boccanegra”, której nie zna nawet wielu profesjonalistów.

Festiwal ma swoich artystów, choćby Tokyo Quartet. Wystąpi już po raz trzeci.

Każdy poważny festiwal zabiega o muzyków z nim związanych. Do nas oni chętnie wracają, bo są nie tylko zachwyceni publicznością, ale i organizacją. Przez lata podróży po świecie z moim mężem podpatrzyłam, czego artyści potrzebują i co może ich przyjemnie zaskoczyć. Coraz mniej festiwali dba o to, staramy się być szlachetnym wyjątkiem. → rozmawiał Jacek Marczyński



ANNA GWOZDOWSKA, ILUSTRACJE: KAROLINA KOTOWSKA

Kto wybierze papieża

Tradycjonalista i liberał. Europejczyk i mieszkaniec Południa.
Entuzjasta nowych technologii i medialny abnegat. **Habemus Papam?**

Kiedy zamykaliśmy ten numer „Przekroju”, decyzja o dacie rozpoczęcia konklawe jeszcze nie zapadła, ale Kaplicę Sykstyńską, w której kardynałowie elektorzy wybiorą nowego papieża, już zamknięto dla turystów, a w Watykanie akredytowało się 5 tys. dziennikarzy z 65 krajów świata. Kardynałowie odbywali jeszcze gorące spotkania i narady, jak ognia unikając rozmów z dziennikarzami o swoich faworytach. Tymczasem światowe media wykreowały już własny obraz przyszłego papieża. W tej roli widzą hierarchę, który wprowadzi w Kościele rewolucyjne zmiany, zaczynając od zniesienia celibatu i pozwolenia na wyświęcanie kobiet. Sprawdziliśmy, czy medialna wizja papieża i ta, którą będą się kierować kardynałowie przy wyborze następcy Benedykta XVI, mają ze sobą coś wspólnego.

Tradycja

Kilka dni temu arcybiskup Nowego Jorku, kardynał Timothy Dolan, odprawił w podziemiach Bazyliki św. Piotra mszę, na którą zaprosił amerykańskich dziennikarzy. Według ich relacji kardynał wygłosił kazanie, w którym nawiązał do me-

dialnych spekulacji na temat przyszłego papieża. – Wielu spośród was, profesjonalnych ludzi mediów, pyta często o to, czy nowy papież zmieni Kościół – miał powiedzieć kardynał Dolan, wymieniany zresztą wśród tzw. papabili. – Rzeczywiście, można powiedzieć, że Kościół zajmuje się zmianą – kontynuował – ale chodzi o ludzkie serca, naturą papieżstwa jest zaś wierność przekazaniu następnym pokoleniom słów Chrystusa i podtrzymywanie kościelnej tradycji. Tradycje przez wielkie „T”.

Pontyfikat statystyczny

Czytając najbardziej opiniotwórcze gazety świata, można odnieść wrażenie, że czas konserwatystów na czele Kościoła katolickiego już mija. Liberalny „New York Times” opublikował przed konklawe badanie opinii publicznej, według którego większość amerykańskich katolików zamiast tradycjonalisty woli w Watykanie postępowca. Jak wynika z sondażu, nowy papież powinien mieć nowoczesną wizję Kościoła: zezwolić na wyświęcanie kobiet, znieść celibat i zliberalizować podejście do antykoncepcji, a nawet poprzeć legalizację związków homoseksualnych. Respondentom



nie podobał się również sposób, w jaki emerytowany papież radził sobie z aferami pedofilskimi w Kościele. Co ciekawe, większość badanych opowiedziała się jednak za tym, żeby nowy papież utrzymał sprzeciw Kościoła wobec aborcji i kary śmierci, mimo że sami mają często na ten temat inne zdanie. W każdym razie nowojorski dziennik konkludował, że amerykańscy wierni są za Kościołem elastycznym i otwartym na dialog ze współczesnym światem. Czy próby kształtowania przez media opinii Kościoła, a zwłaszcza wrażliwości samych kardynałów elektorów, są skuteczne?

– Nacisk mediów i części opinii publicznej, aby nowy papież zmienił doktrynę Kościoła, jest olbrzymi – przyznał w rozmowie z „Przekrojem” ks. prałat Jarosław Cielecki, dyrektor Agencji Telewizyjnej Watykańskiego Serwisu Informacyjnego. Zastrzegł jednak, że kreowanie ultranowoczesnego papieża to tylko myślenie życzeniowe. – Nawet w najtrudniejszych czasach kościelna doktryna pozostawała taka sama, np. w kwestii wyświęcania kobiet, i żaden papież jej nie zmieni.

Według ks. dr. Roberta Skrzypczaka, wykładowcy Papieskiego Wydziału Teologicznego w Warszawie, wszystkie kalkulacje i prognozy mediów okażą się nie trafione z powodu nieprzystawalności kryteriów politycznych, którymi się posługują, do zjawiska innej natury, jakim jest przecież konklawe. Nie mówiąc już o tym, że do oceny obecnej sytuacji, rzeczywiście pod wieloma względami kryzysowej, zaprasza się komentatorów często zupełnie niezwiązanych z Kościołem.

– Do wydarzeń z kategorii wiary media dopasowują kategorie polityczne, zgola przeciwieństwo, na podobieństwo działania parlamentu albo wyborów prezydenckich, gdzie waży się proporcje stronniectw, operuje się pojęciami lewicy i prawicy, dostrzega się lobby i koterie, zlicza się szanse poszczególnych kandydatów, stosując arytmetykę rozkładania się głosów. Tak wygląda zabawa



Papież spoza Europy: kandydaci z Azji, Afryki i Ameryki Południowej są wymieniani wśród papabili (np. Brazylijczyk Odilo Scherer czy Afrykanin Peter Appiah Turkson) – geografia jednak nie wystarczy, potrzebą chwili są też zdolności do zarządzania kurii.

Konserwatysta: Większość kardynałów mówi o konieczności wyboru kontynuatora dzieła Jana Pawła II i Benedykta XVI, dlatego liberałowie (np. austriacki kardynał Christoph Schönborn) mogą mieć mniejsze szanse.

w papabili, czyli najbardziej „papieskopodobnych” kardynałów – tłumaczy ks. Skrzypczak i przypomina: – Przed wyborem Karola Wojtyły w 1978 r. amerykańska organizacja badania opinii publicznych przygotowała specjalny program komputerowy. Wprowadzono doń wszelkie cechy oczekiwane od nowego Ojca Świętego i wynik pokazał wybranego po raz pierwszy papieża komputerowego: kardynała Ursi z Sycylii. Słyszała pani o nim?

Medialny lobbying mający wykreować nowego papieża ma też swoich zwolenników wśród konserwatystów.

– Niektórzy tradycjonalisci usiłują naciskać na kardynałów poprzez wywołanie efektu paniki społecznej, wykazując, że Kościołowi potrzeba dziś nowego Piusa, silnego, wpływowego władcy, który wyznaczy wyraźną granicę pomiędzy tym, co katolickie a co nim już nie jest, i potrafi zdyscyplinować katolików na wzór jakiejś organizacji poszerzania własnego wpływu – mówi ks. Skrzypczak i tłumaczy, że do wyboru pa-

pieża trzeba raczej użyć „okularów wiary”: – Osobiście oczekuję papieża, który będzie misjonarzem, kimś w rodzaju św. Grzegorza Wielkiego, który na obszar Europy zlaicyzowanej i spoganiałej VI/VII wieku, po inwazji barbarzyńskiej, w której wielu ludzi bardzo powierzchownie przyjmowało chrzest bez żadnej zmiany życia i myślenia, rozsyłał nowych apostołów. Tak odtwarzał się Kościół – następowało Plantatio Ecclesiae, czyli zaszczepianie nowej egzystencjalnej alternatywy w postaci żywych wspólnot przyciągających samotnych nomadów pogubionych w świecie.

Wybór należy do kardynałów

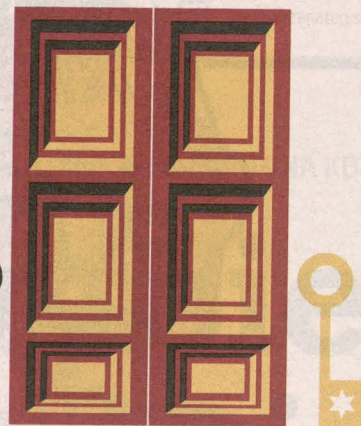
Gdyby zebrać skąpe uwagi kardynałów dotyczące cech przyszłego papieża, które wyciekły dotąd do mediów, to okazuje się, że szukają właśnie takiego charyzmatycznego człowieka modlitwy, dynamicznego pasterza, który powstrzyma laicyzację Starego Kontynentu, ale i podtrzyma rozwój chrześcijaństwa na półkuli południowej.

– Nie sądzę jednak, abyśmy znaleźli kandydata kalibru Jana Pawła II czy Benedykta XVI. Oczywiście może się tak zdarzyć, ale według mnie byłaby to niespodzianka – przyznał cytowany przez dziennik „La Stampa” arcybiskup Sydney George Pell, który brał także udział w konklawe z 2005 r. Zresztą elektorzy byli raczej zgodni co do tego, że na kilka dni przed konklawe trudno było mówić o jakimś wyróżniającym się kandydacie na następcę Benedykta XVI. Kilka oczekiwanych cech powtarzało się jednak w większości wypowiedzi. Sporo mówiło się na przykład o wieku przyszłego papieża.

Według kardynała Pella nowy lider Kościoła musi być na tyle młody, aby mógł sprawować swój urząd przez najbliższe 10–20 lat. – Dlatego moim zdaniem jest mało prawdopodobne, że wybierzemy kogoś w wieku 77–78 lat – uważa kardynał Pell. Wśród papabili trudno zresztą znaleźć kogoś w równie podeszłym wieku. Najpoważniejszy



W obecnym konklawe weźmie udział 115 kardynałów.



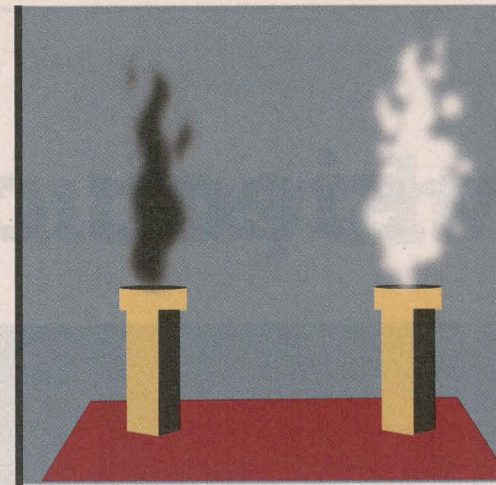
„Cum clave” znaczy „pod kluczem”.



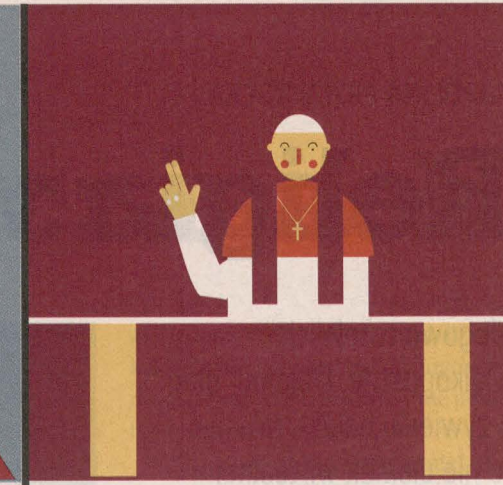
Kardynałowie głosują, zapisują nazwisko na kartce.



Papież jest wybierany przez 2/3 głosów, do skutku.

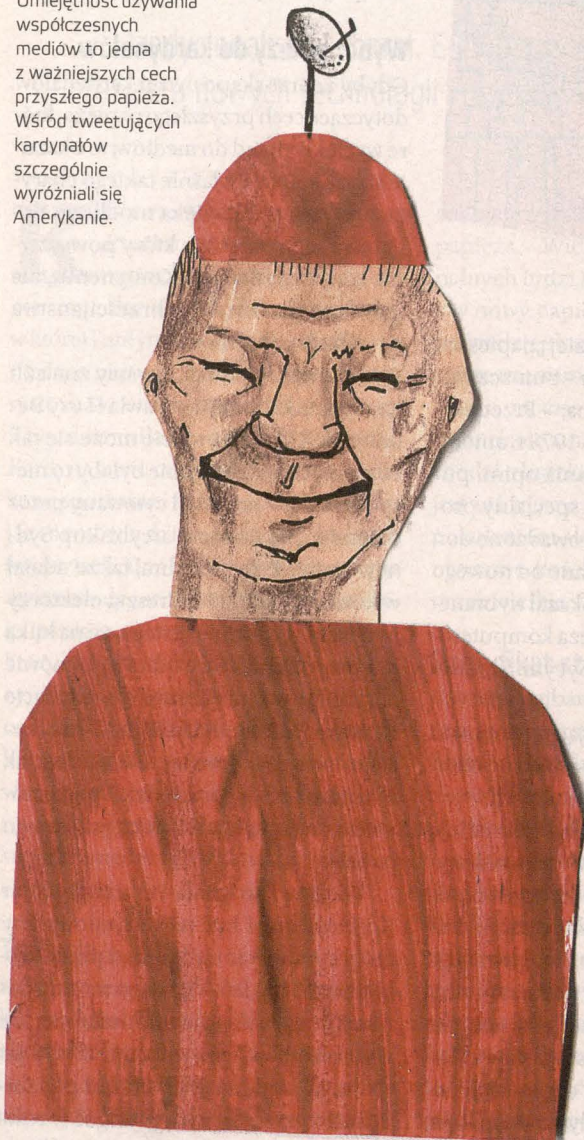


Biały dym oznacza sukces konklawe.



Nowy papież wygłasza z balkonu Bazyliki św. Piotra przemówienie i udziela błogosławieństwa urbi et orbi.

Umiejętność używania współczesnych mediów to jedna z ważniejszych cech przyszłego papieża. Wśród tweetujących kardynałów szczególnie wyróżniali się Amerykanie.



włoski kandydat na papieża, Angelo Scola, arcybiskup Mediolanu, ma zaledwie 71 lat. Ale wśród faworytów konklawe są i młodszy. Na przykład węgierski arcybiskup Esztergom i Budapesztu Peter Erdő ma 60 lat. Stosując jednak miarę kardynała Pella z Sydney, 60 lat to z kolei zbyt mało, bo wróży zbyt długi pontyfikat.

A co z pochodzeniem geograficznym? Po abdykacji Benedykta XVI mnożą się spekulacje na temat możliwości wyboru czarnoskórego następcy św. Piotra albo purpurata z równie dynamicznie rozwijającego się Kościoła południowoamerykańskiego. Jednak według samych elektorów nie ma, aż tak dużego znaczenia.

– Wystarczy, że nowy papież będzie pasterzem żywotnej wspólnoty, kolor skóry nie gra żadnej roli – mówi na portalu VaticanInsider Wilfrid Napier, kardynał z Afryki Południowej. Tego samego zdania jest kardynał Telesfor Toppo z Indii, jeden z pięciu hinduskich elektorów, którzy wezmą udział w konklawe.

– Siłą przyszłego papieża jest jego lokalny Kościół, tak było w przypadku Jana Pawła, którego stworzył silny katolicyzm w Polsce, czy Benedykta, pochodzącego z katolickiej w morzu protestantyzmu Bawarii – tłumaczy kardynał Toppo. Nic dziwnego, że wśród papabili wymienia się bardzo młodego... 55-letniego arcybiskupa Manilii, Luisa Antonio Tagle, reprezentującego olbrzymi i dynamiczny Kościół filipiński. Równie mocną pozycję, ze względu na siłę swoich współ-

not, mają Brazylijczycy i Afrykanie, m.in. 64-letni konserwatywny kardynał z Ghany Peter Appiah Turkson i Brazylijczyk Odilo Scherer.

Ewangelizacja na Twitterze

Wśród najbardziej pożądanых cech nowego papieża wymienia się także zdolności komunikacyjne. – Musi mieć pomysł, jak nawiązać dialog z młodymi – uważa amerykański kardynał Donald Wuerl, arcybiskup Waszyngtonu, jeden z 11 elektorów z USA. – Będzie musiał być jeszcze bardziej obecny wśród wiernych niż jego poprzednicy, ale niekoniecznie podróżując tak jak Jan Paweł II. Wystarczy, że będzie umiał wykorzystywać współczesne media. Powinien poświęcić część czasu i posługi na obecność wirtualną, elektroniczną. Można przecież poświęcić codziennie choćby godzinę na nagrywanie plików wideo i w ten sposób docierać do najdalszych chrześcijańskich wspólnot.

Część kościelnych hierarchów, mimo że dość wiekowa, doskonale rozumie potrzebę obecności Kościoła w mediach społecznościowych. Przed konklawe kardynałowie ścigali strony z profilami kolegów elektorów, a dziennikarze zakładali się, który z nich wypuści, mimo ślubowania milczenia, tweeta z zaryglowanej od wewnątrz Kaplicy Sykstyńskiej.

Jednak przed nowym pasterzem Kościoła katolickiego stoją znacznie poważniejsze wyzwania, jak choćby zdefiniowanie polityki wobec islamu.

W Afryce mnożą się ataki muzułmanów na chrześcijan i afrykańscy hierarchowie coraz głośniej mówią o potrzebie zajęcia przez Watykan jasnego stanowiska w tej sprawie. Niektórzy z nich mówią wręcz o islamskiej ofensywie, a wątpliwym purpuratom z Europy wytykają, że na Starym Kontynencie buduje się więcej meczetów niż kościołów.

Nowy papież będzie też musiał poradzić sobie z aferami pedofilskimi wewnątrz Kościoła. Kilku amerykańskich purpuratów, jak choćby Sean Patrick O'Malley, kapucyn (przyszły papież z brodą i w sandałach?), równocześnie arcybiskup Bostonu, oraz Kanadyjczyk Mark Quellet, obaj wymieniani wśród papabili, dobrze poradzi sobie z tym problemem w swoich diecezjach. O'Malley sprzedał m.in. siedzibę bostońskich arcybiskupów, aby móc zapłacić odszkodowania ofiarom molestowania, ale co najważniejsze udało mu się odnowić wspólnotę i po latach posuchy wierni wracają.

Tego typu doświadczenia jednak nie wystarczą, problemów do rozwiązania jest w Kościele znacznie więcej. Dlatego nowemu papieżowi przydadzą się też umiejętności dobrego zarządcy, który podejmie się reformy kurii rzymskiej. W tej sprawie ludzie Kościoła są zresztą zgodni z przedstawicielami mediów. Reforma kurii, na listach życzeń, które do nowego papieża adresują publicyści, m.in. dziennikarze „The Washington Post”, zajmuje jedno z pierwszych miejsc.

Już w ubiegłym roku kuria znalazła się w ogniu krytyki. Vittorio Messori, pisarz i były współpracownik Jana Pawła II, mówił nawet w wywiadzie dla dziennika „La Stampa” o „gnieździe żmij”. Ten jedyny w swoim rodzaju rząd, który miał służyć choćby poprzedniemu papieżowi, według wielu komentatorów go zdradził. Dlatego przed konklawe sporo dyskutowano o raporcie na temat afery związanej z wyciekiem informacji z Watykanu (VatiLeaks), który na polecenie poprzedniego papieża przygotowali trzej kardynałowie. Z raportem, który Benedykt XVI polecił utajnić, ma się zapoznać nowy papież. Nie wszystkim kardynałom to się podobało i domagali się dostępu do dokumentu, aby zyskać pewność, że wśród elektorów nie znajdzie się ktoś zamieszany w aferę. Andrea Tornielli, jeden z najwybitniejszych włoskich watykanistów, uważa, że trzeba wymienić personel kurii na kluczowych stanowiskach. Jego zdaniem kapłani powinni w kurii pracować, a nie robić karierę. Kto może dokonać takich zmian? – Papież pasterz, człowiek boży, przybywający spoza kurii – pisze w serwisie VaticanInsider Tornielli. Najlepiej mechanizmy kurii znają Włosi, ale nie brakuje głosów, że to oni są winni chaosowi, który zaplanował w watykańskich urzędach i nie będą chcieli żadnych reform. Dlatego też szanse włoskich purpuratów maleją. Ale to oczywiście wyłącznie medialne spekulacje.

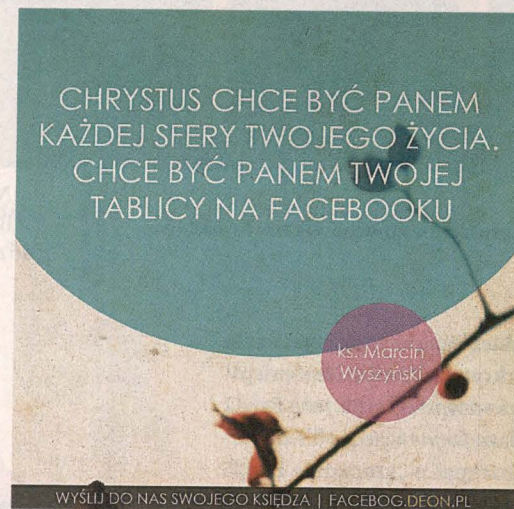


Liberał: choć wśród kardynałów są osoby o mniej tradycyjnym światopoglądzie niż BXVI, medialna wizja hierarchy, który zerwie z tradycją, jest oderwana od rzeczywistości.

KAROLINA PRZEWROCKA

Religia w sieci: obfity pól w trudnych czasach

Vlogowe rekolekcje wielkopostne, iTalmud, blog o żywieniu halal – reli-sieć to nie ułamek wirtualnej rzeczywistości, to już całe imperium. Zgodnie korzystają z niego wszyscy: polscy chrześcijanie, muzułmanie i żydzi – choć **co wyznanie, to inne oczekiwania.**



Facebookowa ewangelizacja zdobywa kolejnych zwolenników. Ubiegłoroczny projekt faceBóg ma już 52,5 tys. lajków.

Choć Miriam zapewnia, że to za ledwie wycinek jej religijnego życia, nijak mający się do realu, nie ma wątpliwości: bez nowych mediów nie byłoby tak łatwo. Potwierdzają to katolicy, protestanci i muzułmanie, choć religia w sieci dla każdego oznacza co innego. Jednych tylko informuje, drugich skłania do pogłębionej refleksji, trzecich nawołuje do wyznania. Niewielelu przechodzi wobec niej obojętnie. Zwłaszcza wtedy, gdy to, co w realu, daje solidnego klapsa.

Z iPadem pod Kotel

– Judaizm nie jest misyjny, co dobrze widać w Internecie i po charakterze dostępnych aplikacji. Te, z których korzystam, mają charakter informacyjny, istotny głównie dla samych wyznawców judaizmu – mówi Miriam Gonczarska. – W naszej szkole Yeshivat Maharat część zajęć odbywa się przez Internet. To pozwala nam być na wykładach nawet wówczas, gdy fizycznie znajdujemy się w różnych częściach świata. Na ekranie komputera widzę wtedy mojego wykładowcę



i innych studentów. Możemy się między sobą komunikować i zadawać pytania – opowiada Miriam.

Jej znajomi korzystają z WebYeshiva.org, platformy e-learningowej, która umożliwia religijnym żydom studiowanie Tory i Talmudu online, oferując bibliotekę i wykłady online. Robi to na przykład Joel Nowicki, młody polski rabin, który na portalu nie tylko studiuje, ale też prowadzi wirtualne wykłady. Wirtualna szkoła religijna istnieje też w Polsce – to Jesziwa Pardes, dostępna pod adre-

Religijni żydzi dobrze odnajdują się w nowych mediach. Chętnie korzystają z aplikacji na iPadzie, przenoszących np. jednym kliknięciem pod Ścianę Płacz.

sem Jesziwa.pl. Od 2011 r. prowadzi ją rabin Sacha Pecaric. Wykłady na żywo można obejrzeć w czwartki i w niedzielę, a w każdej chwili dostępne jest bogate archiwum. Miriam żartuje, że religijni żydzi wyjątkowo dobrze odnajdują się w nowych mediach, bo Talmud przypomina swoim skomplikowaniem Internet. – Tak jak w Internecie, kwestie w Talmudzie nie łączą się ze sobą w sposób linearny, ale przestrzenny, wielowymiarowy. Nic dziwnego, że dobrze sobie radzimy z nowymi technologiami – mówi Miriam.

Ale religia ma z założenia gromadzić w realu, podkreśla Miriam. To, co w sieci, jest tylko dodatkiem. – Nowe media ułatwiają życie według tradycji w świecie zdominowanym przez szybką informację. Na pewno w niego nie ingerują, choć zdarzają się i takie przypadki – śmieje się Miriam, podając przykład internetowych portali randkowych dla żydów, które niemal wyeliminowały rolę tradycyjnej swatki.

Zainteresowani tematyką żydowską znajdują w Internecie wszystko – od debat o kwestii uboju religijnego, przez rolę kobiet w judaizmie, po kwestię obrzezania czy dialog chrześcijańsko-żydowski. Czy jest coś, czego w żydowskim Internecie jest za mało? – Dialog między kulturami. To jest przestrzeń, w której interaktywność mogłaby być większa – uważa Miriam Gonczarska.

Młodzi w akcji

Koniec roku 2012 zaskoczył internautów katolików. Polskie portale religijne ruszyły z najbogatszą w swoich dziejach ofertą internetowych rekolekcji adwentowych i zdobyły rekordową liczbę subskrypcji. Promowana w sieci i na portalach społecznościowych akcja Szlachetna Paczka ks. Jacka Stryczyka przyciągnęła 300 tysięcy wolontariuszy. LangustaNaPalmie.pl i jej profil na Facebooku wypromowały rekolekcjonistę

gwiazdora: o. Adama Szustaka. Co ciekawe, ponad głowami tradycyjnych mediów, bo sam zainteresowany nie udzielił im ani jednej wypowiedzi.

„Kato-sieć jest w dobrej formie” – napisał wtedy Piotrek Żyłka, młody publicysta portalu Deon.pl i twórca wirtualnego Projektu faceBóg. Rok temu założył konto na popularnym portalu społecznościowym, a zaraz po nim stronę internetową. Dziś ewangelizacyjny profil faceBóg ma aż 52,5 tysiąca lajków. – Często obracam się wśród ludzi, których coraz mniej łączy z Kościołem. Pomyślałem, że skoro przestają przychodzić na msze, trzeba do nich wyjść z Ewangelią. Moi rówieśnicy są na Facebooku – wiem, bo sam spędzam tam mnóstwo czasu – a Kościół powinien przecież iść tam, gdzie są ludzie – mówi Piotrek. O tym, co jest w Ewangeli, na stronie i profilu pisze językiem sieci. – Zamieszczamy virale, filmiki, grafiki, linki do artykułów i ciekawych projektów. Na początku sami to robiliśmy, ale wkrótce użytkownicy przejęli pałeczkę. I o to chodziło: teraz sami postulują lub wysyłają nam treści i mają udział w facebookowej ewangelizacji – cieszy się Piotrek.

Chciałby, żeby profil faceBóg zmienił wizerunek Kościoła: żeby jednoczył, a nie dzielił. – To jest ten moment w historii Kościoła, w którym my, świeccy, powinniśmy się brać do pracy. Nie czekać, aż zrobią to za nas duchowni. I nie bać się odważnych rozwiązań – mówi Piotrek.

Podobnie twierdzą wolontariusze katolickiego Instytutu Tertio Millennio, którzy dziewięć lat temu ruszyli z ogólnopolskim Konkursem Papieskim. Wiedzę licealistów z zakresu życia i działalności Jana Pawła II początkowo sprawdzali w testach pisanych w uczelnianych aulach. Szybko przenieśli jednak część konkursu do Internetu. Liczba uczestników wirtualnego quizu zaskakująco wzrosła, a konkurs dotarł w ten sposób

do uczestników z małych miejscowości, którzy wcześniej nie mogli sobie pozwolić na dojeżdżanie do dużych miast na kolejne etapy eliminacji. – Internet zmniejszył koszty organizacji konkursu. Poza tym cieszymy się, że docieramy do młodych ludzi środkiem, z którego sami chętnie korzystają – mówi Janek Barcik, koordynator Konkursu Papieskiego.

Media w rękach profesjonalistów

Koniec ubiegłego roku był też szczęśliwy dla fanów kanału Religia.tv, gdy tuż po informacji o rozwiązaniu redakcji pojawiła się kolejna: byli dziennikarze stacji ruszą wkrótce z własnymi projektami w Internecie. Tak się stało. Już w grudniu rozpoczęła działalność Stacja7.pl pod egidą Szymona Hołowni, a równolegle telewizja internetowa Boska.tv. – Portal nie jest kontynuacją Religii.tv, lecz efektem współpracy grona przyjaciół, którzy realizowali projekty na potrzeby kanału. Wszyscy zgodnie uznaliśmy, że trzeba działać dalej, tym bardziej że obecności w mediach naszych prowadzących domagali się nasi widzowie. Wielu z nich to zapaleni internauci – mówi Anna Wasiewicz, która wraz z Joanną Gwardys wpadła na pomysł internetowej telewizji. Dzisiaj Boska.tv ewangelizuje na wszystkich frontach: zza kamery, znad Biblii i znad patelni. I to dosłownie. Dominikanin o. Wojciech Jędrzejewski prowadzi w stacji program „Boska uczta”. Ubrany w ochraniacz z sugestywną deklaracją „Nie oddam fartucha!” pomiędzy krojeniem marchewki i pieczeniem kurczaków opowiada o kontrastach w Biblii. W Boskiej.tv znajdziemy też program kacycyna o. Jordana Śliwińskiego o spowiedzi, rekolekcje prowadzone przez znanych aktorów i vlogi ojców, księży i osób świeckich – m.in. Janiny Ochojskiej.

Aby sfinansować działanie telewizji, Anna Wasiewicz i Joanna Gwardys założyły Fundację 21 Gramów. Mają nadzieję, że telewizja nie powtórzy losu Religii.tv. Jest na to szansa. – Żyjemy w czasach mediów tematycznych. Kościół coraz lepiej radzi sobie w sieci, choć wydaje się, że potencjał Internetu jest nadal przez wielu duchownych niedoceniany. Kuleje też atrakcyjność wizualna i przystęp-

ność religijnych treści – w końcu ważnych i nie zawsze łatwych. Na szczęście istnieje kilka portali chrześcijańskich, których ten problem nie dotyczy – mówi Anna Wasiewicz.

Publicysta i redaktor naczelny portalu Fronda.pl, Tomasz Terlikowski, w Boskiej.tv czyta swoją książkę „Operacja Chusta”. Przyznaje, że i Boską, i Stację7 bardzo lubi, choć na co dzień korzysta z innych portali katolickich, takich jak Deon.pl czy portal Polonia Christiana – PCh24.pl. – W polskiej sieci wyróżniłbym dwa rodzaje mediów katolickich: takie, które niosą ze sobą przesłanie ewangelizacyjne, oraz portale newsowo-publicystyczne, które komentują rzeczywistość z perspektywy osób wierzących. Ta różnorodność naprawdę cieszy – mówi Terlikowski.

Redaktor nie ma wątpliwości: możliwości Internetu są coraz większe, a chrześcijanie coraz lepiej z tego korzystają. – Charakterystyczne dla katolickich pro-

Fora internetowe i Facebook stają się też miejscem spotkania polskich muzułmanów. W sieci rozmawiają o religii, o kuchni, o kosmetykach, o związkach mieszanych, o tym, gdzie pójść na basen albo kupić fajne ubranie.

jektów w sieci jest to, że lwia część z nich to inicjatywy osób świeckich. Duchowni występują w nich głównie jako goście lub osoby prowadzące programy, piszące teksty. I dobrze – Leon XIII podkreślał w końcu, że zadanie robienia mediów należy do świeckich, nie do duchownych – mówi Terlikowski. Podkreśla, że istotne jest to, czy przekazywane treści są zgodne z magisterium Kościoła, a nie to, kto je wypowiada. – Zaledwie kilku polskich biskupów ma swoje blogi. Mam nadzieję, że będzie ich więcej, bo to genialna forma kontaktowania się z wiernymi ponad granicami mediów – mówi publicysta.

Alejkumki podbijają sieć

– To nie do pomyślenia, jak w ostatnich latach społeczność muzułmańska nam

się rozgadała. Siedzą na forach, Facebooku i gadają: o religii, o kuchni, o kosmetykach, o związkach mieszanych, o tym, gdzie pójść na basen albo kupić fajne ubranie. Te wirtualne światy mnie akurat nie interesują, ale trudno ich nie zauważyć, bo rozsadzają fejsa – śmieje się Karina, młoda muzułmanka z Warszawy. I zauważa, że przestrzeń polskich muzułmanów w sieci różni się od tej chrześcijańskiej.

– Islam reguluje wszystkie dziedziny życia muzułmanów, nic więc dziwnego, że to one stają się głównym tematem facebookowych debat – mówi Beata Abdallah-Krzepkowska, arabistka z Uniwersytetu Śląskiego. – W polskiej sieci jest mało islamskich portali o charakterze misyjnym. Tym, co zajmuje ludzi, są informacje praktyczne. A przede wszystkim: jednocześnie społeczności, ummy. Fora i Facebook stają się miejscem spotkania – dodaje arabistka. Sama administruje na Facebooku kilkoma grupami dla muzułmanów.

Podobne obserwacje ma studentka neurobiopsychologii Joasia Trochimowicz. Gdy sześć lat temu przechodziła na islam, informacji w Internecie było jak na lekarstwo. – Ludzie rozmawiali głównie na forach internetowych, ale na pewno nie było ich tak wiele jak teraz. Dopiero jakiś rok temu na Facebooku zaczął się prawdziwy boom. Grup jest tyle, że nie sposób ich policzyć: podzielonych tematycznie, pod kątem zainteresowań, poglądów albo po prostu miejsca na mapie, w którym się aktualnie przebywa – mówi Joasia.

Do Facebooka dołączają też polskie organizacje zrzeszające muzułmanów i meczety. W sieci prowadzą strony WWW, a ich charakter jest bardziej informacyjny niż misyjny: zamieszczają ogólne informacje o działalności, porach modlitw, eventach. Artykuły, teksty modlitw. – Wykorzystujemy Internet, ale jednocześnie nie rezygnujemy z tradycyjnych form przekazywania informacji – przez ulotki, plakaty. Staramy się tak docierać do starszych osób, wiele z nich nie korzysta z Internetu – mówi Musa Czachorowski, rzecznik Muzułmańskiego Związku Religijnego.



Ale prawdziwy boom w muzułmańskiej sieci w Polsce przeżywają blogi. Na przykład te z portalu Alejkumki.blog-pot.com, którego współzałożycielką jest Joasia Trochimowicz. Jak mówi, ideą jest pokazanie młodym muzułmanów: aktywnych, ciekawych świata, otwartych na dialog międzykulturowy. Portalowi towarzyszy profil na Facebooku i kanał na YouTube. – Wybrałyśmy islam, jesteśmy z tego dumne i chcemy o tym opowiadać! Pokazujemy, że na muzułmańskim portalu może być miejsce na pluralizm poglądów. Dotychczas w sieci istniało wiele miejsc, w których pokazywano jakiś jeden konkretny nurt myśli – np. na portalu PlanetaIslam.com, utrzymanym w duchu salafickim. A u nas jest różnorodnie – cieszy się Joasia.

Studentka prowadzi portal wraz z trzema koleżankami. Wśród nich jest jedna niemuzułmanka. – Jej zdanie jest dla nas nieocenione, bo czasami jest coś, co nam się wydaje świetne, a ona wtedy patrzy z perspektywy i konstruktywnie ocenia, czy pomysł wypali czy nie – tłumaczy Joasia.

Islam jest praktyczny, dlatego na portalu, oprócz informacji o religii, znajdziemy informator kulturalny, kącik z poradami i dla konwertytów. Dowiemy się, gdzie kupić hijab i jak urozmaicić własną

szafę. Znajdziemy linki do innych blogów polskich muzułmanów. Są też informacje o akcjach społecznych i ważnych wydarzeniach – na przykład wezwaniu do brania udziału w wyborach. – Uważam, że islam promuje postawy aktywne i prospołeczne, że trzeba być dobrym członkiem społeczeństwa, by być dobrym muzułmaninem. Chcemy zachęcać młodych ludzi, żeby nie zamykali się w swoich kręgach, by się aktywizowali i dzielili swoimi doświadczeniami z ludźmi innych wyznań czy poglądów – mówi Joasia.

Jeśli chcesz, uwierzysz

– KosciolOnline.tv, Dobra-Telewizja.pl, Ewangelia.com, Jezus.pl, Chrzescijanin.tv, Klub Dobrej Muzyki Kdm.pl – wymienia ulubione strony Maciek Młynek, protestant z Krakowa. Subskrybuje newsletter dla mężczyzn „Żyj na maxa” – Meczyzna.org.pl. Zagląda też na lokalną stronę Kościoła Zielonościńskiego KosciołDlaMiasta.pl. Lubi ją, bo jest nowoczesna i ciekawa graficznie, a dla Macieka – dyrektora kreatywnego jednej z krakowskich agencji – walory wizualne i jakość materiałów mają ogromne znaczenie. Sam ma już kilka pomysłów na to, jak wykorzystać nowe media w ewangelizacji. – Wierzę, że każdy sposób głosz-

Boska.tv ewangelizuje na wszystkich frontach: zza kamery, znad Biblii i znad patelni. Dominikanin o. Wojciech Jędrzejewski prowadzi program „Boska uczta”.

nia Ewangelii jest dobry i za każdym stoi Duch Święty. Ewangelia dla kogoś może pozostać jedynie informacją, ale jeśli ktoś ma otwarte serce, zrobi w jego życiu rewolucję. Bóg ma swoje sposoby na każdego z nas – mówi Maciek.

Pytanie o to, czy religia w sieci w ogóle może mieć wymiar duchowy, zadaje sobie też Piotrek Żyłka. Zastanawia się, czy interakcja na jego faceBogu nie kończy się na klikaniu „lubię to”. Tego by nie chciał, dlatego na wallu proponuje modlitwne eventy. – Po aferze VatiLeaks zorganizowaliśmy wspólną modlitwę, teraz, przed konklawe, promujemy wirtualną akcję modlitewną Adopt Cardinal. Mamy nadzieję, że to, co ludzie deklarują w sieci, znajduje przełożenie na ich zaangażowanie w życie duchowe – mówi Piotrek.

– Internet jest obecnie jednym z środków tworzących moją relację z Kościołem. Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że nie może być oparta tylko na Internecie – w końcu nic nie zastąpi niedzielnej mszy czy sakramentów – podkreśla Janek Barcik z Instytutu Tertio Millennio. A Maciek Młynek dodaje: – Chyba nie chciałbym, żeby faktycznie powstał taki twór jak „reli-sieć”. Wolałbym widzieć w Internecie ludzi uwalnianych z sieci. Tych swoich życiowych, jak najbardziej realnych. ☺

EDYTA BORKOWSKA

Turystyka śmierci

Podróż. Paryż? Istambuł? Hawana? Tanaturysta nawet nie pomyśli o takich miejscach. Będzie wołał **naznaczone śmiercią i cierpieniem** Hiroszimę, Majdanek, Czarnobyl. Odwiedzi je kolejno – dla przyjemności. A gdy zaliczy już te najbardziej znane, będzie szukał czegoś nowego. Właśnie szykuje mu się gratka.

Tuż przed przypadającą 11 marca drugą rocznicą tragedii w Fukushima grupa japońskich intelektualistów pod wodzą socjologa Hiroshi Kainumy zaczęła lansować pomysł przekształcenia pozostałości elektrowni atomowej w atrakcję turystyczną w rodzaju edukacyjnego parku rozrywki. A przy tym wpisania Fukushimy na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Dlaczego? Bo zdaniem pomysłodawców w takim miejscu ludzie doskonale uczyliby się historii.

Czy nuklearny edupark to dobry pomysł? O to w tej chwili spierają się mieszkańcy Japonii, gdzie pomysł Kainumy i spółki wywołał ostrą debatę. Niezależnie od osądu – jedno jest pewne. Jeśli plan zostanie zrealizowany, za 25 lat, gdy tylko osłabnie skala skażenia, Fukushima stanie się kolejnym punktem na mapie tak zwanej turystyki śmierci – jak Czarnobyl, nowojorskie Trade Center czy nawet Auschwitz.

Spojrzenie śmierci w oczy

Chęć oddania hołdu ofiarom tych miejsc nie jest już bynajmniej jedynym powodem ich odwiedzania przez rzesze ludzi

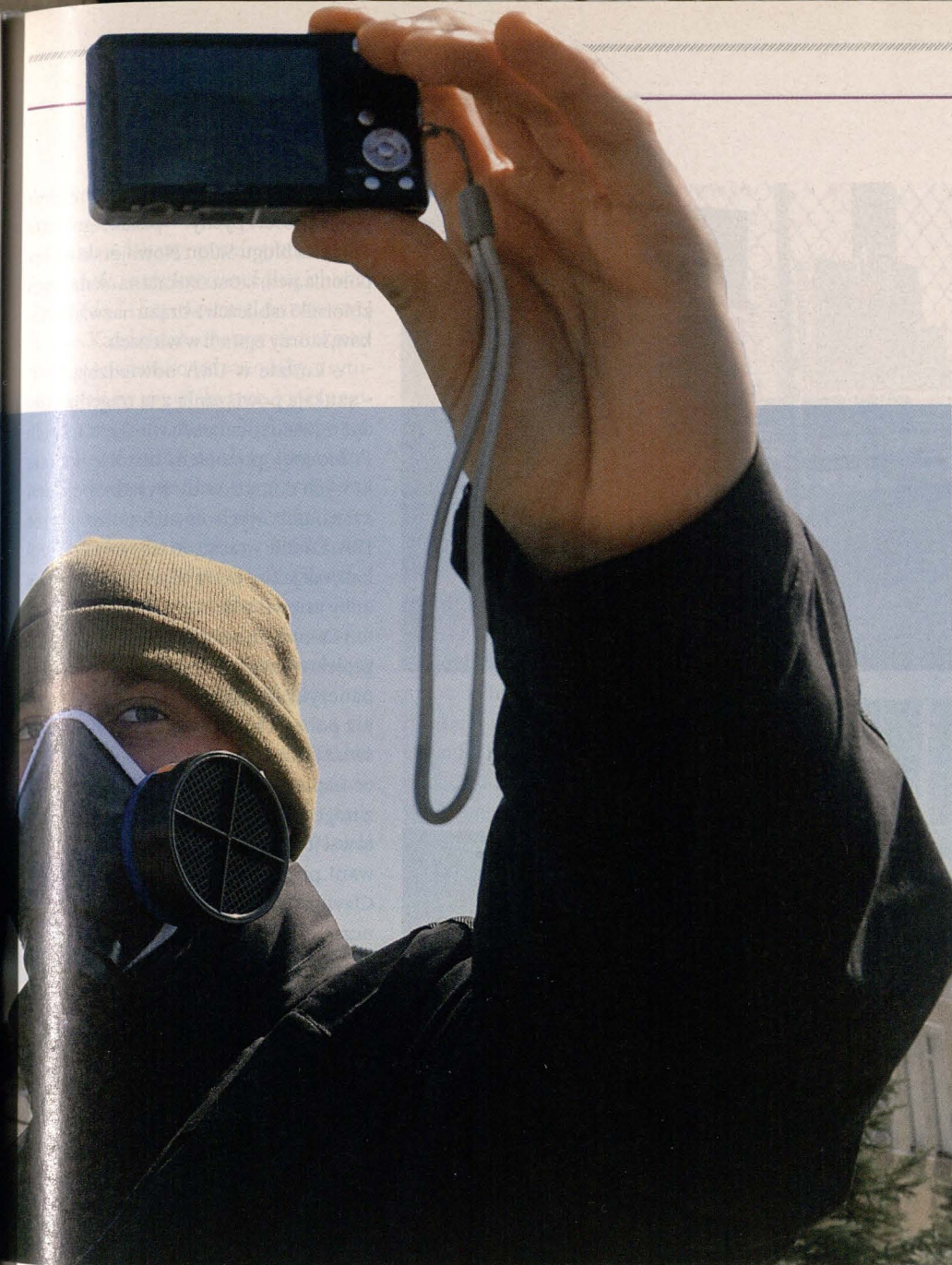


z całego świata. Śmierć, mrok i strach stają się takimi samymi towarami branży turystycznej jak zdrowie, słońce i spokój. Rynek dobrze wyczuł potrzeby części odbiorców. Czarna, katastroficzna turystyka – zwana również Thanatourism, od Tanatosa, greckiego boga śmierci – staje się coraz bardziej popularna. Mroczni turyści wymieniają się propozycjami miejsc naznaczonych masowymi mordami lub kataklizmami (www.dark-tourism.org.uk). I jeżdżą tam. Niektórzy pragną już całkiem bez przerośni spojrzeć śmierci w oczy. Więc organizują wyprawy tam, gdzie toczą się walki. Powstają nawet firmy oferujące wycieczki do afrykańskich

Trwają próby zamiany skażonej zony w Czarnobylu w park. Już dziś można tam pojechać za 1000 zł. Chętnych turystów nie brakuje, mimo że narażają się na napromieniowanie.

slumsów czy brazylijskich faveli po to, by tanaturysta mógł na własne oczy zobaczyć nędzę, głód i przemoc.

Czy będzie mógł przebiegać w ofertach zapewniających także postnuklearne wrażenia? Japońscy intelektualiści twierdzą, że park edukacyjny w Fukushima będzie przypominać o niebezpieczeństwie, jakie niesie ze sobą niewystarczająco kontrolowana technologia. Jednak nie ulega wątpliwości, że za takimi inwestycjami czai się także komercja. Nawet Hiroszimę co roku odwiedza przeciętnie ponad milion ludzi, którzy przy okazji śpią w japońskich hotelach, jedzą w restauracjach i płacą za transport.



1800 osób i wyrządził szkody szacowane na niemal 100 mld dolarów). Odpowiadały w ten sposób na żądania części mieszkańców miasta, zdegradowanych rosnącą liczbą firm specjalizujących się w organizowaniu wycieczek katastroficznych – „Oprócz wycieczek specjalnymi autobusami pojawiła się nawet oferta oprowadzania zorganizowanych grup motocyklowych” – informował w tym czasie portal motovoyager.net. Byli jednak i tacy nowoorleańczycy, którzy w pełni akceptowali tego typu akcje. Nic dziwnego, skoro z badań pracowników Uniwersytetu Nowego Orleanu wynika, że w pierwszej połowie 2012 r. miasto odwiedziło 4,9 mln gości, którzy wydali 3,45 mld dolarów, czyli 11 proc. więcej niż w tym samym okresie roku 2011. 74,1 proc. z nich odwiedziło miasto dla przyjemności, zapewne część czerpała ją z przyglądania się zniszczeniom, jakie wyrządziła Katrina.

Płacimy, by zwiedzać miejsca tragedii, pcha nas do tego ciekawość – zdrowa i niezdrowa – musimy wiedzieć, widzieć, dotknąć jak niewierny Tomasz. Żądę poznania dyktuje też pewien rodzaj masochizmu – chcemy się trochę pogłębić widokiem cudzego bólu. Słowa „pogłębić” nie użyłby zapewne Artur Schopenhauer, który uważał, że życie jest męką, z której wyzwala nas współczucie bliźnim. Gdy przejmujemy ich cierpienia, zapominamy o naszych troskach. Co prawda niemiecki filozof pisał także o zbawczej roli sztuki, ale jak ktoś woli zamiast podziwiać obrazy w muzeach i architekturę najpiękniejszych miast patrzeć na ślady śmierci – jego wybór.

Motywowi zwiedzania obiektów, w których zdarzyła się katastrofa lub miejsc masowej zagłady, jest wiele. – One zawsze będą zależeć od naszej głębi, zdolności do refleksji, rzeczywistej wartości sumienia. Niestety ich poziomy w coraz większej części społeczeństw maleją, głównie jako skutek masowej strategii obnażania się, dehumanizacji, zaniku „tajemnicy istnienia”, sprowadzania śmierci do roli towaru. Są cztery symbole, które mnie ciągle przerażają – malutkie buciki w obozie w Oświęcimiu, cichutkie dzwonki Hiroszimy, przestrzelone czas-

– Pomysł na Fukushima jako atrakcję turystyczną nie jest szczęśliwy i z pewnością nie mieści się w kanonie kultury japońskiej – wystarczy spojrzeć na ich podejście do takich miejsc jak Hiroszima czy Nagasaki. Inną rzeczą jest już podróżowanie ludzi do takich miejsc symboli. Bo Fukushima i Czarnobyl to symbole dramatycznego zderzenia humanum z potęgą technologii, w której człowiek przegrał ze względu na człowieka – mówi Mariusz Jędrzejko, pedagog społeczny i socjolog, profesor w Katedrze Pedagogiki Wyższej Szkoły Biznesu w Dąbrowie Górniczej. – Wielu ludzi podróżuje do miejsc tragicznych – WTC, Linia Ma-

ginota, inkaskie świątynie, obozy Pol-Polta. Wybory są najpewniej indywidualne – raz jest to refleksja nad naszym przemianami i zdolnościami człowieka do czynienia rzeczy najohydniejszych, innym razem poszukiwanie odpowiedzi na pytanie – dlaczego do tego doszło? – dodaje Jędrzejko.

Szczytne idee i kasa

Ale nie zawsze chodzi o refleksję i filozoficzne znaki zapytania. W październiku 2012 r. władze Nowego Orleanu zabrały się do przygotowywania zakażu odwiedzania miejsc zniszczonych przez huragan Katrina (w 2005 r. zabił

SERGEI SUPINSKY/AFP



je rozmachem, a jednocześnie brakiem dosłowności i pychy” – pisała Agnieszka Tracz na blogu Salon Nowojorski (salon.polenia.net), która szukała na okalających zbiorniki tablicach z brązu nazwisk Polaków, którzy zginęli w wieżach.

– Ludzie w USA odwiedzają WTC – szukają powiązania z tą tragedią. Kiedyś odwiedziłem małą wioskę w Irlandii Północnej, poznałem historię rodzin, których domy zostały wysadzone w atakach bombowych organizowanych przez IRA. Ludzie wracali do tego miejsca, czekali, tak jakby wierzyli, że zmarli wrócą, żeby znowu tam żyć – opowiada Clayton Campbell, amerykański artysta, autor projektu fotograficznego „Słowa, których nauczyliśmy się od dnia 9.11”. Wykonał już ponad 1300 portretów osób z całego świata. Każdą z nich prosił, by na kartce napisała słowa, które kojarzą się jej z tragedią z 11 września 2001 r. Fotografował je z tymi napisami, np. „zamordowani przyjaciele”, „jestem terrorystą”. Clayton Campbell jest w pewnym sensie uczestnikiem „czarnej turystyki” – jeździ ze swoimi projektem do różnych miejsc. Z ludźmi, których spotyka, rozmawia o tym, jaki wpływ ten atak terrorystyczny miał na ich życie.

Po ponad 10 latach nowojorczyacy oswoili się już z tą tragedią i na co dzień o niej zapominają. – Tam się teraz nie chodzi, to teren budowy. Jeżeli mam obstawiać, to ludzie tam raczej jadą do Century21 – megaoutletu z markowymi ciuchami – opowiada o miejscu, w którym kiedyś stały wieże WTC Dominika, Polka, która przez 2,5 roku mieszkała w Nowym Jorku. Potwierdza to Darek, który do Nowego Jorku pojechał w delegację. – Miałem mało czasu, nie koncentrowałem się na zwiedzaniu. Zapytałem znajomych, gdzie mogę jechać na zakupy, chciałem przywieźć coś dzieciom i żonie, pojechałem do Century21 i nagle okazało się, że stoję nad tą przepaścią – opowiada.

Codziennosc codziennością, ale przywiązanie obywateli USA do narodowych symboli daje jednak znać o sobie w trakcie obchodów kolejnych rocznic zamachu. Pentagon Memorial w Arlington w Wirginii został odsłonięty 11 września 2008 r. Zaprojektowana przez Julie

Beckman i Keitha Kasemana instalacja składa się z symbolizujących 184 ofiary zamachu w Waszyngtonie podświetlonych ławek, ustawionych według ich wieku (od 3 do 71 lat) na niemal dwukrowej działce. Każda ławka ma wyryte na oparciu imię i nazwisko jednej osoby, usytuowane tak, by nazwiska tych, którzy zginęli w samolocie, mogły być odczytane przez ludzi zwróconych twarzą w kierunku nieba – wzdłuż trajektorii lotu, a tych, którzy zginęli w budynku przez osoby patrzące w kierunku południowej ściany Pentagonu, w którą uderzył samolot. Koszty budowy instalacji wyceniono na 22 mln dolarów, 10 mln przeznaczono na fundusz inwestycyjny zapewniający konserwację i koszty utrzymania.

Tak wielkie inwestycje muszą się zwrócić. Zapewne miejsce po WTC będzie odwiedzane nie tylko ze względu na tragedię, wielu przyjedzie tam, by podziwiać ostateczny efekt projektu Daniela

Libeskinda, słynnego urodzonego w Łodzi amerykańskiego architekta, który jest odpowiedzialny za zagospodarowanie Ground Zero, czyli pozostałości po WTC. I za budowę w tym miejscu Wieży Wolności. A Libeskind ma już na swoim koncie między innymi Imperial Museum North w Manchesterze i Muzeum Żydowskie w Berlinie.

Titanic zmartwychwstaje

Jednym z największych światowych symboli luksusu był Titanic (w katastrofie zginęło ok. 1500 osób). Mimo że od katastrofy minęło już ponad 100 lat, z Titanicem wciąż kojarzone są ogromne pieniądze. Wyprodukowany w 1997 r. film był jednym z najbardziej kasowych hitów historii kina – jako pierwszy przekroczył granicę 1 miliarda USD przychodów (w sumie ponad 1,8 mld USD). Dziś natomiast Clive Palmer – miliarder z Australii – chce w Chinach zbudować replikę statku.

Rzekomo biletami na dziewiczy rejs jest już zainteresowanych ok. 40 tys. osób. 31 marca 2012 r. otwarto zaś muzeum i centrum informacyjne Titanic Belfast. Można w nim podziwiać zrekonstruowane wnętrza statku, dźwięki i zapachy. Klatka schodowa, podobna do tej, po której w filmie stąpali Leonardo DiCaprio i Kate Winslet, będzie dostępna dla gości, którzy wynajmą górne pokłady na przyjęcia biznesowe lub wesela. Na Wielkanoc muzeum ma specjalną ofertę, bilet wstępu ma kosztować tylko 28 funtów dla dorosłych i 10 funtów dla dzieci (www.titanic-belfast.com).

U nas i obok nas

Znanym na całym świecie polskim punktem docelowym „czarnej turystyki” jest Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau. W czasie II wojny światowej w niemieckim obozie zagłady wymordowano około miliona osób, w przeważającej czę-

REKLAMA

NOVA MUSIC Entertainment w współpracy z DOLPHIN Touring i PRESTIGE MJM prezentują

BECAUSE WE CAN

BON JOVI

19 CZERWCA 2013

PIERWSZY KONCERT W POLSCE!

PGE ARENA GDAŃSK

Bilety: www.eventim.pl & www.imprezyprestige.com BONJOVI.COM #BECAUSEWECAN @Bonjovi

Nowy album „What About Now”
Premiera: 12 marca 2013

ki polskich oficerów z Katynia i samoloty wbijające się w WTC. We wszystkich przypadkach są to ofiary barbarzyńców. Do każdego z tych miejsc jadą ludzie z jakimiś – raz głębszymi, raz płytszymi – pytaniami – mówi Mariusz Jędrzejko.

Śmierć, mrok i strach stają się takimi samymi towarami branży turystycznej jak zdrowie, słońce i spokój.

Na zdjęciach: miejsce po nowojorskim WTC i Czarnobyl.

miejsca pamięci po tych, którzy odeszli – w serii ataków Al-Kaidy zginęło wtedy blisko 3 tys. osób. Nic w tym dziwnego, że ludzie chcą odwiedzać takie obiekty jak National 9/11 Memorial otworzony 11 września 2011 r. (wstęp jest bezpłatny, ale trzeba się rejestrować na stronie www.911memorial.org). „Po przejściu labiryntu wokół ogromnego placu budowy, jakim jest teraz teren dawnego Trade Center, ominąwszy dźwigi, koparki, betoniarzy, robotników w kaskach i pomarańczowych kamizelkach, doszliśmy – i zaparło nam dech z wrażenia. Zobaczyliśmy przed sobą piękny park miejski z 400 dębami, kamiennymi ławkami i zbiornikami wodnymi w miejscach, gdzie kiedyś stały wieże WTC. Miejsce imponu-



JOHN HENNESSY/DEMOTIX/CORBIS

ści Żydów, również Polaków, Romów, jeńców radzieckich i reprezentantów innych narodowości.

W zeszłym roku Muzeum odwiedziło blisko 1,5 miliona osób (liczba odwiedzin rośnie z roku na rok, w 2001 r. było 492 500 zwiedzających). Ogrom dokonanego tam okrucieństwa sprawia, że nawet widząc służące do masowej eksterminacji krematoria i komory gazowe, trudno w to wszystko uwierzyć, nawet w trakcie wizyty w „fabryce śmierci”. Muzeum swoje zadania edukacyjne wykonuje bardzo profesjonalnie, na stronie www.auschwitz.org, można znaleźć informacje o zasadach zwiedzania, historii, książkach i filmach. Dzięki temu można teraz lepiej przygotować się do odwiedzin w miejscu tragedii. Po ponad 40 latach wizytę w Auschwitz wspomina konserwator malarstwa z Krosna: – Pojechałam tam z moją klasą w szkole średniej. Podobną wycieczkę organizowano już w podstawówce, ale rodzice napisali usprawiedliwienie, że nie jestem gotowa na takie doznania i nie pojechałam. W liceum też nie byłam gotowa. Po wyjściu z muzeum przez długi czas miałam przed oczami włosy i stos okularów. Nie chciałam uczestniczyć w dalszej części wycieczki, tym bardziej że jechaliśmy do chorzowskiego wesołego miasteczka.

Na pewno nie można stwierdzić, że muzeum Auschwitz-Birkenau jest obiektem w jakimkolwiek stopniu komercyjnym. Ale przecież nikt nie kontroluje intencji odwiedzających Auschwitz turystów. Także tych „czarnych”.

– Takie miejsca sprzyjają pamięci – raz refleksyjnej, innym razem pełnej nienawiści, prowadzącej do odwetu. Pamięć to korzenie – kulturowe, cywilizacyjne, religijne. Odciąć się od korzeni to „zniknąć” w cywilizacji pustki, płynnej rzeczywistości. Boję się, że coraz skuteczniej w tym kierunku idziemy. Ale – tak przynajmniej wierzę – wielu ludzi odwiedzających miejsca śmierci umacnia swoje przekonania o potrzebie życia tu i teraz – godniej, jak najdłużej, w homeostazie – opowiada prof. Mariusz Jędrzejko. – Jeśli tego typu turystyka jest prowadzona z bazą refleksyjną, z podtekstem moralnym, ze zwracaniem uwagi na coś więcej niż „wielkie boom”, to ma właściwości humanizujące człowieka. Może służyć odkrywaniu prawdy historycznej, wzmacnianiu pamięci, wyjaśnianiu, a także rozsądnym sporom – dodaje.

Czarnobyl. Last Minute

Katastrofą, która zdarzyła się tuż obok nas, była awaria elektrowni w Czarnobylu. I tam również trwają przymiarki do zamiany skażonej zony w park. Tym razem raczej park przygody. 1 marca w Teatrze Dramatycznym im. Aleksandra Węgierki w Białymstoku odbyła się premiera „Czarnobyl. Last Minute” – spektaklu o czarnych turystach odwiedzających ukraińską elektrownię. – Pomysł takiej wycieczki wyrósł z lektury „Czarnobylskiej modlitwy. Kroniki przyszłości” Swietłany Aleksijewicz. Autorka w swoich reportażach oddaje głos tym, którzy nielegalnie i na własne ryzyko żyją w zonie, wspomina też o turystyce katastroficznej. Jest wiele ofert

Śladami Titanica, w którym zginęło 1500 osób, pływają dziś statki wycieczkowe.

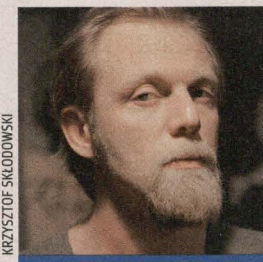
– za niecałe 1000 złotych można pojechać do Czarnobyla i okolic – opowiadają Dana Łukasińska – autorka adaptacji, kierownik literacki teatru i Agnieszka Korytkowska-Mazur – reżyser spektaklu, dyrektorka teatru. Spektakl oparty na prozie Swietłany Aleksijewicz wyreżyserowała również Joanna Szczepkowska w warszawskim Teatrze Studio (premiera 8 marca).

– W książce Aleksijewicz pojawia się wątek zarabiania na katastrofie. Począwszy od handlowania pomocą humanitarną, która dostarczana była wysiedleńcom, przez handel skażonymi produktami, meblami, samochodami, aż po współczesną zorganizowaną turystykę – mówią autorki białostockiej sztuki. Ich zdaniem zwiedzanie miejsc związanych z katastrofą, klęską, nieszczęściem, traumą ma pewne działanie terapeutyczne: pozwala „przepracować” ból, oswoić temat albo doświadczyć szoku, który ma zadziałać na zasadzie: nigdy więcej – wojny, ludobójstwa itd. W przypadku turystyki czarnobylskiej, czy też turystyki jądrowej w ogóle, wycieczkowicze dodatkowo jednak ryzykują własne życie, narażając się na napromieniowanie. – Muzeum Czarnobyla – pewnie tak. Wycieczka na dziko – nie. Sam fakt, że ktoś na nieszczęściu ludzi zarabia, budzi bardzo pejoratywne skojarzenia – mówią autorki sztuki.

Od katastrofy w Czarnobylu minie niedługo 27 lat. Mimo to dwa lata temu powtórka z historii miała miejsce w Fukushima. Żadne miejsce pamięci nie uchroni nas przecież przed kolejną tragedią – tak technologiczną, jak terrorystyczną. Tanatos wciąż poluje...

Max Cegielski

Jest wojna



KRZYSZTOF SKODOWSKI

Wojny są na miejscu, u nas, w naszym grajdołku, a w Azji, Afryce i tym podobnych „dzikich” miejscach odbywają się działania militarne.

Wiem, że macie to głęboko gdzieś i właściwie już przestajecie czytać – zamiast popkultury lub chociaż związków partnerskich czy abdykacji papieża – wojna? Zresztą choć giną cywile i żołnierze, to oficjalnie nie ma żadnej wojny. Jeśli ktoś z was jeszcze ogląda wiadomości w telewizji, widzi jednak, że walka trwa, w dodatku kosztuje nas sporo pieniędzy. Nawet ten pragmatyczny argument do nikogo nie przemawia, bo obecność Wojska Polskiego za górami i lasami to zbyt nudna i niewygodna kwestia. Nazywa się to „misją pokojową” w Afganistanie, ewentualnie, jak mówi pani oficer w TVP Kultura w „Hali odlotów”: misja stabilizacyjna. Z pewnością od 12 lat trwa misja propagandowa, która spowodowała, że większość z nas zapomniała o tożsącością, niech będzie: konflikcie zbrojnym. Łatwiej strawić konflikt niż wojnę, ta kojarzy się z drugą światową, brzmi groźnie. Wojny są na miejscu, u nas, w naszym grajdołku, a w Azji, Afryce i tym podobnych „dzikich” miejscach odbywają się działania militarne. W jakimś małym, „prymitywnym” kraju pełnym „terrorystów” zginęło co prawda ponad 30 rodaków, ale to konieczna ofiara złożona na ołtarzu modernizacji naszej armii, a więc ku chwale polskiego oręża i w ogóle ojczyzny, która autostradami lub Bogiem, ale silna być musi! Nawet jeśli przedmurze chrześcijaństwa to odpowiadzialne i nowoczesne i skoro podpisaliśmy traktaty, to szczególnie przy Amerykanach trwać musimy. Także w Iraku, ale nie chcę wam pogarszać nastrojów... Zresztą tam jesteśmy teraz na „misji szkoleniowej”.

Od 12 lat zastanawia mnie nieproporcjonalna do wydarzeń i skali problemów ilość refleksji społecznej i artystycznej na ten temat. Zamachy w Nowym Jorku z 11 września 2001 r. zmusiły nas do wyjścia z opłotków słowiańskiej prowincji, zauważenia, że Europa jest skrawkiem wielkiej Azjopy, a blisko jest też Afryka. To przecież ze wschodu i południa napływają do nas uchodźcy, którzy w zeszłym roku zdesperowani, zamknięci w obozach i poniżani podjęli w Polsce strajki głodowe. Przez media przetoczyła się fala tekstów i znowu... cisza. O Wietnamczykach w czasach Jarmarku Europa powstał film „Hanoi – Warszawa”, jeden

z afrykańskich uchodźców, a zarazem handlarzy napisał „Stadion. Diabelskie igrzyska”. Poza tym niewiele, tak jakby nawet nasi czuli na krzywdę, zaangażowani artyści lewicowi nie potrafili sobie poradzić z obcością kulturową.

Zamykamy szybko oczy, widząc uchodźców, ale w gruncie rzeczy tak samo nie obchodzą nas polscy żołnierze w Iraku czy Afganistanie. „Za komuny” byliśmy mistrzami kina, także wojennego. Rozumiem, że nasza kinematografia to nie Hollywood, żeby kręcić „Wroga numer jeden”, ani nawet duńska, żeby powstało „Armadillo. Wojna jest w nas”, ale to milczenie jest właściwie obraźliwe dla tych zawodowych żołnierzy, którzy zginęli, kiedy wykonywali swoją pracę. Armią „na misji” najbardziej interesuje się sama armia, której przedstawiciele być może zaraz pozwą mnie do sądu. I może nawet doprowadzą do skazania, jak innych, których wypowiedzi w Internecie nie grzeszyły rzeczywistością kulturą i wyrafinowaniem. Ja, grzecznie, ze współczuciem dla wdów, ale upieram się, że śmierć jest częścią pracy, którą wybrał sobie żołnierz.

Nasi czołowi reportażyści popełnili książki o tych zapomnianych wojnach, ale większość została napisana przez byłych wojskowych. Powstała sztuka teatralna o Nangar Khel, w zeszłym roku jeden serial fabularny, może parę filmów dokumentalnych, które jednak w ogóle się nie przebiły, nie dostały nawet nagród na krajowych, tych prestiżowych festiwalach. Oglądam „Przeżyć Afganistan” Małgorzaty Imielskiej z 2012 r., współprodukowany przez telewizję publiczną i Polski Instytut Sztuki Filmowej. Rzetelny, telewizyjny reportaż dokumentalny, który chyba niechcący odziera „misję” z całego propagandowego szumu. Sami żołnierze mówią do kamery: „To jest wojna”. Zarówno polskie, jak i amerykańskie filmy nie zajmują się zresztą „obcymi”, tylko „naszymi”. Walczymy za wolność afgańskich kobiet, ale one same i ich mężowie są nam zbędni. Nawet w globalnej wiosce XXI w. Polakom do życia wystarczy Polacy w Polsce. Może wojna polega właśnie na tym, że kompletnie nie obchodzi tych, którzy w niej nie giną?

Autor jest dziennikarzem i pisarzem. Ostatnio opublikował „Mozaike. Śladami Rechowiczów”.

ANNA WITTENBERG

Idą brunatni

Rasizm i ksenofobia najpierw na dobre rozsiadły się na stadionach i rozepchały na ulicach. Teraz w rytmie hard bass wkroczyły na uniwersytety. Hasłami pełnymi nienawiści skutecznie docierają do młodych ludzi, którymi nie zajmują się pogrążone we własnych konfliktach partie i skupione na pomnażaniu kapitału organizacje.

Czarna k...” i „bambus” – usłyszała Romka i kilkoro jej dzieci od grupy skinów w Siemianowicach Śląskich. Podobnie jak studenci z Kamerunu w Łodzi. Jeden z nich został uderzony potłuczoną butelką w oko. W Warszawie były sędzia prześladował wietnamską rodzinę, która mieszkała po sąsiedzku. „Żółtki!” – wykrzykiwał w ich kierunku. „Nasza rasa, biała rasa!” – usłyszał z kolei czarnoskóry mężczyzna na deptaku we Władysławowie.

Tylko w ciągu ostatnich dwóch lat ponad 600 podobnych przypadków odnotowali autorzy wydanej właśnie „Brunatnej księgi”. Jak twierdzi jej autor Marcin Kornak, przestępstw i aktów agresji ze strony skrajnej prawicy jest o jedną trzecią więcej, niż kiedy pracował nad poprzednimi edycjami zestawienia. W całej Polsce profanowane są żydowskie cmentarze, dewastowane romskie domy, niszczone pomniki. Rasistowskie hasła pojawiają się na demonstracjach i stadionach. Tak jak wtedy, gdy przebrani w stroje Ku-Klux-Klanu kibice Hutnika Warszawa powiesili na drzewie kukłę przedstawiającą czarnoskórego mężczyznę w barwach innego klubu. Inni kibice, tym razem Legii Warszawa, zalepili autobusy obrazkami, na których rzymski legionista wskazuje na zakrwawionego Żyda-kibica

Widzewa Łódź i mówi do niego „Znaj swoje miejsce, pejsie”.

Ruch Narodowy podnosi głowę

– Z podobnymi incydentami mieliśmy w Polsce do czynienia od lat. Dochodziło też do znacznie poważniejszych przestępstw, takich jak próba zasztyletowania Macieja Dowhyłuka [antyfaszystowski działacz w 2006 r. został pchnięty nożem przez Macieja B. powiązanego z ultranacjonalistyczną organizacją Redwatch – aut.] – mówi Adam Bodnar, prawnik z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. – To, co jest charakterystyczne dziś i czego obawiałbym się bardziej niż samych opisanych w „Brunatnej księdze” wybryków, to kształtowanie się mocnego ruchu narodowego. Nie mówimy tu już o małych grupach, lokalnych faszystach, ale o coraz bardziej zwartym i pewnym siebie środowisku, które posuwa się do bezczelnych wręcz aktów – ocenia. Jako przykład podaje wydarzenia, do których doszło na Uniwersytecie Warszawskim.

20 lutego w jednej z sal UW miała się odbyć debata poświęcona ruchowi narodowemu. Organizator, Niezależne Zrzeszenie Studentów, złożył do władz uczelni podanie o udostępnienie sali i rozpoczął promocję wydarzenia, między innymi na Facebooku. Zaproszeni zostali: Krzysztof Bosak

ze stowarzyszenia Marsz Niepodległości, Robert Winnicki reprezentujący Młodzież Wszechpolską i Marian Kowalski z Obozu Narodowo-Radykalnego. Sali na spotkanie narodowcom jednak nie przyznano.

– To nie była debata akademicka, tylko rodzaj wiecu politycznego. Zaproszeni zostali wyłącznie reprezentanci środowiska politycznego, wśród gości nie było żadnego przedstawiciela społeczności uniwersyteckiej, autorytetu

naukowego – wyjaśnia Anna Korzekwa, rzeczniczka UW.

Narodowcy decyzję władz uczelni przyjęli jako zamach na wolność debaty uniwersyteckiej. Dzień przed wyznaczonym terminem odwołanego spotkania grupa zamaskowanych osób wtargnęła na wykład prof. Magdaleny Środy, wykrzykując hasła „Pedały!”, „Wolności słowa żądamy!”, „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę” i podrygując w rytm hard bassu – prymitywnej muzy-

ki, którą zachwycają się rosyjskie (!) blokowiska. Po krótkiej przepychance sytuację opanowała straż uniwersytecka.

Choć do zorganizowania incydentu przyznało się Niezależne Stronnictwo Studenckie, które jasno określa się jako organizacja nacjonalistyczna i zrzesza osoby, które równolegle są członkami ONR i Młodzieży Wszechpolskiej, były rektor UW bagatelizował sprawę i apelował na łamach „Gazety Wyborczej”, by „nie robić sensacji z wybryku

Prawicowi ekstremiści oficjalnie deklarują walkę z przejawami antypolonizmu i przekonują, że ich wystąpienia są wyrazem konserwatywnych poglądów. Eksperci ostrzegają, że to kamufaż.

30 szczeniaków”. Szybko się jednak okazało, że problem nie jest jednostkowy. Kilka dni później do podobnego zdarzenia doszło podczas spotkania z Adamem Michnikiem w Wyższej Szkole Nauk Społecznych i Technicznych w Radomiu.

– Jesteśmy zaniepokojeni tymi wystąpieniami – przyznaje Tomasz Koczanowicz, który 8 marca na UW współorganizuje debatę na temat zachowań narodowców. – Uniwersytet ma już



BARTŁOJEWI KUDOWICZ/FORUM

doświadczenie ruchów antydemokratycznych: najpierw poprzez getto ławkowe w latach 30., później także Marzec '68. Zasadne wydaje się pytanie, czy zachowania, które dziś obserwujemy, są kolejną próbą złamania niezależności uczelni – mówi.

– To się nie dzieje od dziś, choć dziś przybiera na sile. Pół roku temu na Wydziale Prawa i Administracji studenci zorganizowali spotkanie z Anną Grodzką. W pewnym momencie z sali wyszły trzy osoby, które zostawiły w niej świecę dymną – przypomina Adam Bodnar i dodaje, że w tych sytuacjach martwi nawet zachowanie nie tyle narodowców, dla których przemoc jest tradycyjną formą działania, ile osób, które się z nimi stykają. – Coraz częściej reakcją jest strach, który tylko umacnia ich pewność siebie i pokazuje, że społeczeństwo nie potrafi jeszcze bronić swoich liberalnych wartości.

Strachem zareagowali kustosze wrocławskiej galerii BWA, w której miał się odbyć pokaz filmów słowackiego artysty Tomáša Rafty dokumentującego działania ruchu narodowego. Wydarzenie przełożono z obawy przed narodowcami. Podobnie było na Uniwersytecie Gdańskim, gdzie spotkanie dotyczące związków partnerskich odwołano po tym, jak członkowie Młodzieży Wszechpolskiej wysłali list protestacyjny do władz uczelni.

Będzie LPR-bis?

Narodowcy świetnie wykorzystują nastroje społeczne. Tam, gdzie jedni ustępują, oni budują swoją pozycję. Robert Winnicki przed zakończeniem ubiegłorocznego Marszu Niepodległości zaanonsował wręcz powstanie formalnego Ruchu Narodowego, który stanie się nową siłą polityczną na prawicy i „obali republikę Okrągłego Stołu”. Powtórzyły to za nim nawet największe media, co sprawiło, że przekaz dotarł do potężnej liczby odbiorców.

O celach nowo powstającego ruchu wiele mówi jego bieżąca działalność. – Kiedyś głównym tematem dla narodowców był antysemityzm. Teraz zastępuje go homoseksualizm. Narodowcy

zaczęli rosnać w siłę w sposób proporcjonalny do poparcia, jakie zyskują grupy LGBT. Ich wróg już nie jest domniemany, ukryty, ale najzupełniej realny, obecny w mediach i parlamencie. Dzięki temu mogą alarmować o zagrożeniu dla rodziny i tradycyjnych wartości, podobnie jak dziesięć lat temu alarmowali o zagrażającej polskiej tożsamości Unii Europejskiej – mówi Adam Bodnar. Zdaniem prawnika z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka takie postawy wzmacniają dodatkowo politycy głównego nurtu. – Posłanka Krystyna Pałowicz staje się dla nich punktem odniesienia. Przekonują się, że propagują pogląd, który nie jest już obciachem, ale częścią debaty publicznej. Ale nie tylko ona wzmacnia narodowców. Robi to także Jarosław Gowin, który nieustannie puszcza do sympatyków tego ruchu oko w wywiadach, opowiadając się przeciwko związkowi partnerskiemu, a także przyznając, że nie wie, czy Anna Grodzka jest kobietą czy mężczyzną. Dzięki takim wypowiedziom ci ludzie nie czują się wykluczeni, osamotnieni. Coraz łatwiej im promować skrajne postawy, skoro znajdują one odbicie w parlamencie.

Narodowcy przekonują, że ich wystąpienia są po prostu wyrazem konserwatywnych poglądów. Czasem jednak spod takich wypowiedzi przebija się prawdziwa ideologia przyświecająca znacznej części tego środowiska. W wywiadzie dla serwisu fronda.pl Przemysław Holoher, lider Obozu Narodowo-Radykalnego, stwierdził, że w ruchu działają radykałowie i „nikt tego nie ukrywa”. Przyznał także, że członkowie ONR w uzasadnionych sytuacjach nie będą się wstrzymywać od używania przemocy, i zapewnił, że w organizacji „antysemityzm wygląda jak przed wojną”. Dodał też: „Będziemy walczyli z każdym przejawem antypolonizmu, nie patrząc nikomu do metryki, ale za to, że często krzewicielami antypolonizmu są Żydzi, nie ponosimy winy”. Adam Gmurczyk, szef Narodowego Odrodzenia Polski, ustawił z kolei jako główne zdjęcie w swoim facebookowym profilu hasło „To jest wojna”. Niedługo potem narodowcy napadali na squat we Wrocławiu.

Marcin Kornak, prezes antyfaszystowskiego stowarzyszenia Nigdy Więcej, wymienia całą listę symboli, z którymi narodowcy pojawiają się publicznie, a które nie powinny pozosta-

wać wątpliwości co do ich identyfikacji. – Krzyże celtyckie, czyli najbardziej znany i powszechnie stosowany symbol rasistowski na całym świecie. Ręka z mieczem, miecz Chrobrego, tzw. toporzek (dwuramienny topór stylizowany na sylwetkę orła – przedwojenny symbol faszystzująco-neopogańskiej Zadrugi i jej współczesnych następców), swastyka nazistowska i jej możliwe modyfikacje – wlicza i dodaje, że jego zdaniem organizacje takie, jak NOP, ONR czy Młodzież Wszechpolska powinny zostać zdelegalizowane. Konstytucja na to pozwala, gdy organizacja jawnie odwołuje się do ideologii nazistowskiej lub komunistycznej. Żadna z wymienionych przez Kornaka organizacji nie robi tego zdaniem wymiaru sprawiedliwości wprost. Wyjątkiem była komórka ONR w Brzegu. Zarejestrowana w 2003 r., została przez sąd w Opolu zdelegalizowana sześć lat później.

Wiele wskazuje na to, że organizacje narodowe idą w drugą stronę i niebawem zmienią się w poważniejszy polityczny projekt. „Gazeta Wyborcza” informowała niedawno, że Sylwester Chruszcz, były poseł Ligi Polskich Rodzin, zbiera kandydatów na listę do Parlamentu Europejskiego. Robert Winnicki zapewnił, że temat pojawia się w „bardzo luźnych dyskusjach”. – Możemy się doczekać partii podobnej do Ligi Polskich Rodzin – uważa Adam Bodnar. Prawnik Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka dodaje, że jest to możliwe z powodu kamuflażu, jakim narodowcy się posługują, by funkcjonować w demokratycznej przestrzeni. – Doskonale wiedzą, jaki typ narracji trzeba dziś prowadzić. Nie powiedzą już głośno: „Żydzi do Izraela”, bo wiedzą, że będą mieli prokuratora na karku. Eksponują te elementy ideologii, które budują im szerszą bazę poparcia. Nie pozwalają, by nadano im szybką etykietę.

Milcząca masa

Kiedy obserwujemy tworzący się w Polsce Ruch Narodowy, zwykle zwracamy uwagę na liderów, którzy od lat stoją na czele tych samych organizacji. O sile narodowców decydują jednak nie oni,



Marcin Kornak, „Brunatna księga 2011-2012” Stowarzyszenie „NIGDY WIĘCEJ” 2013

lecz masy, które dopiero od niedawna zaczęły odpowiadać na wezwanie. Skąd taka popularność radykalnych ideologii?

– Młodzież nie ma dziś zbyt wielu propozycji. Nie wszyscy uczestnicy Marszów Niepodległości to neofaszyści, ale prawda jest niestety taka, że dla wielu z nich propozycja skrajnej prawicy jest najciekawsza. Jeszcze w latach 90. mieliśmy różne subkultury muzyczne, silny ruch ekologiczny, wolnościowy, sceną alternatywną – coś, z czym można się było identyfikować, zaspokajając potrzeby przynależności. Dziś to wszystko

Wstępujący w szeregi narodowców są rozczarowani władzą i szukają sposobu na wyrażenie sprzeciwu. O swoje racje coraz częściej walczą na ulicy.

jest zinstytucjonalizowane albo przygastło, nie przeradza się w masowe działania. Brakuje ruchów kulturowych czy impulsów, które by przyciągnęły młodych ludzi – ocenia Marcin Kornak i dodaje, że podobnie jest w sferze polityki, która młodzieży niczego nie oferuje. – Partie parlamentarne nie zwracają się do młodych – mówi.

Jego słowa potwierdza dr Łukasz Jurczyszyn, socjolog z Akademii Humanistycznej im. A. Gięsztor, który naukowo zajmuje się badaniem ruchu narodowego w Polsce, Rosji i Francji. Zdaniem Jurczyszyna w ruchu narodowym trwa „faza mobilizacyjna”. Ludzie,

którzy wstępują w szeregi narodowców, są rozczarowani władzą, systemem polityczno-społecznym i szukają sposobu na wyrażenie wobec niego sprzeciwu. Do komunikowania się z władzą nie chcą już używać pośredników typowych dla demokracji: mediów, stowarzyszeń, związków zawodowych. Instytucje się w ich oczach skompromitowały, przestały spełniać swoją funkcję. Więc o własne racje narodowcy walczą na ulicy. – Między młodymi obywatelami a przedstawicielami porządku społecznego pogłębia się przepaść – mówi.

Dobrze to widać na przykładzie pseudokibiców, którzy także dołączyli do powstającego Ruchu Narodowego. Jak przyznaje Adam Bodnar, na wyraźne życzenie rządu. – Niezrozumiałe były decyzje dotyczące zamykania stadionów tuż przed ważnymi meczami ani długi areszt dla „Starucha”. Kibice są rozczarowani, buntują się przeciwko gabinetowi Donalda Tuska – przyznaje prawnik.

Dr Łukasz Jurczyszyn porównuje zaangażowanie w Marsz Niepodległości do protestów, które odbywały się w całej Polsce, gdy w ubiegłym roku rząd próbował ratyfikować międzynarodową umowę ACTA. W obronie wolnego Internetu na ulice wychodziły wówczas tysiące młodych ludzi. – Zdecydowana większość uczestników nie wiedziała, co to za umowa. Atrakcyjne były same działania: spotkanie, wspólny sprzeciw, pokazanie władzy, że musi się z nami liczyć. I najzwyczajniej w świecie dobra zabawa. Zresztą kiedy rozmawiałem z liderami tych protestów, okazało się, że wielu z nich zdobywało demonstracyjne szlify właśnie w marszach na 11 listopada – przekonuje i dodaje: – Ważne jest, by nie doprowadzić do eskalacji ulicznej przemocy, podobnej jak w Rosji. To kluczowe zadanie demokracji, by najpierw zrozumieć, następnie rozładowywać napięcia, pogodzić współzycie tych grup poprzez dialog. W ten dialog powinny się włączyć instytucje publiczne, policja, badacze, dziennikarze i III sektor, ale również sami radykałowie.

Autorka jest dziennikarką serwisu naTemat.pl.



MIKE URBANIAK

Rodzice wychodzą z szafy

Po raz pierwszy w Polsce rodzice gejów i lesbijek zabierają publicznie głos w sprawie własnych dzieci. Dzięki trwającej właśnie społecznej kampanii medialnej matki i ojcowie mówią głośno to, czego wielu nie chce słyszeć.

Pani Barbara nie chce rozmawiać nawet przez telefon. W końcu się zgadza, ale pod warunkiem że zmienię jej imię. – Mam dosłownie kilka minut, obiad gotuje. Zresztą, czym tu się chwalić? – pyta. Syn Paweł powiedział jej, że jest gejem, trzy lata temu. Poczuli, jakby ktoś ją walnął obuchem w głowę. – Po prostu oniemiałam, bo – proszę pana – my jesteśmy porządną, katolicką rodziną. Córka już wyszła za męża, ma dwójkę dzieci. Myślałam, że syn także się ożeni i założy rodzinę, a tu takie coś – mówi i zaczyna płakać.

Paweł wyraźnie smutnieje, kiedy opowiada o matce. Nie spodziewał się takiego odrzucenia. Były awantury, błagania, sprawdzanie telefonu i dzwonienie do kolegów, szantaż, prośby, płacze, nawet wizyta u księdza i potem psychologa, który rozłożył tylko ręce i powiedział, że nic nie może zrobić, bo homoseksualizm to nie choroba. Paweł myślał, że matce w końcu przejdzie, że to tylko taka faza, ale to już trwa lata. Kiedyś jego matka wpadła nawet do jednego z warszawskich klubów ge-

jowskich w poszukiwaniu syna. Wstyd był nieprawdopodobny. Panią Barbarę wyprowadziła ochrona.

Jak jest dzisiaj? O tyle lepiej, że nie mieszkają razem. Z matką Paweł utrzymuje sporadyczny kontakt, głównie telefoniczny. W zeszłym roku po raz pierwszy nie pojechał na święta Bożego Narodzenia. W Wigilię – jak mówi – zapłakał się prawie na śmierć. – Nie brakowało pani syna przy świątecznym stole? – pytam panią Barbarę.

– Jak znormalnieje, to będzie miejsce. Boże, jaki wstyd. Syn pederasta! Ja sąsiadom w oczy spojrzeć nie mogę, czy pan to rozumie?

Połączenie przerwane.

Tabloid ujawnia

„Syn Gruchy jest homoseksualistą” – obwieścił światu jeden z tabloidów. Grucha to postać, którą w filmie „Chłopaki nie płaczą” Olafa Lubaszenki gra Mirosław Zbrojewicz, na co dzień aktor Teatru Studio w Warszawie. Sensacyjny tytuł zilustrowano zdjęciem Zbrojewicza z synem. Tylko nie z tym, co trzeba. Gejem został więc z namaszczenia redakcji młodszy, Michał. – Nie tylko pomyłono osoby, ale jeszcze napisano, że „Grucha się ujawnił”, więc już naprawdę nie wiadomo, kto jest gejem i o co tu chodzi. Tak właśnie funkcjonują nasze media – mówi Mirosław Zbro-

jewicz i dodaje: – Kiedy rozpoczęła się ta cała kampania, rozdzwonił się oczywiście mój telefon. Kolorowe magazyny, telewizje śniadaniowe – wszyscy chcieli zaprosić mnie i syna, już właściwego, Mateusza, ale oni nie są zainteresowani poważną rozmową, tylko sensacją. Nie zgadzam się na bycie wypełniaczem ramówki. To zbyt poważna sprawa.

Kampania, o której mówi aktor, to najnowszy projekt Kampanii Przeciw Homofobii sfinansowany przez Open Society Foundation. Wystartowała pod hasłem „Rodzice, odważcie się mówić”. Biorą w niej udział – po raz pierwszy w Polsce – nie tylko geje i lesbijki, ale przede wszystkim ich matki i ojcowie. Na całość składają się billboardy, plakaty, strona internetowa (www.OdważcieSieMowic.pl) i powstający film dokumentalny. Jest jeszcze niespełna dziesięćminutowy filmik na YouTube, w którym występuje między innymi właśnie Mirosław Zbrojewicz z synem. Aktora do udziału w nagraniu namówiła znajoma Anna Grzelewska – twórczyni filmu. A właściwie nie namówiła, tylko zaproponowała. Zgodził się od razu.

Trudno o lepszy czas na taką kampanię, bo tematy związane ze sprawami LGBT nie schodzą z pierwszych stron gazet. A to za sprawą debaty o związkach partnerskich lub kandydatury Anny Grodzkiej na wicemarszałkinię

syn nauczył mnie, jak ważne jest być sobą

Władysław ojciec geja



kampania przeciw homofobii

www.OdważcieSieMowic.pl

Patroni: wysokie obcasy.ii PANI repleka TOK

Sejmu albo kolejnej „błyskotliwej” wypowiedzi któregoś polityka. O tym się mówi.

Rodzice, gdzie jesteście?

– Rzeczywiście wstrzeliliśmy się idealnie – mówi Katarzyna Remin, koordynatorka kampanii, którą wymyśliła

wspólnie z Gregorym Czarneckim. – Wiedziałam, że zainteresowanie mediów będzie, ale że aż takie? Nasze mamy są dosłownie rozrywane przez stacje radiowe, telewizję, gazety. Są wszędzie. To pokazuje, że „Rodzice, odważcie się mówić” porusza ludzi. A plakaty są proste, pełne ciepła i mó-

wią o czymś tak uniwersalnym jak relacja między dzieckiem i rodzicem.

Prace nad projektem rozpoczęły się dwa lata temu, kiedy Katarzyna i Gregory dzwoniли do rodziców gejów, lesbijek i osób biseksualnych. Tych, o których wiedzieli, oczywiście. Pytali o to, czego im trzeba, i o to, czy gdyby powstała medialna kampania angażująca rodziców, to wzięliby w niej udział. Odpowiedzi były różne, ale zapotrzebowanie na wiedzę ogromne. Przetłumaczona przez Katarzynę broszura „My, rodzice” zniknęła błyskawicznie: – Dzwoniliśmy do nas organizacje, poradnie psychologiczne, osoby prywatne. Trzy tysiące sztuk rozeszło się jak świeże bułeczki. To utwierdziło nas w przekonaniu, że mamy w kwestii wsparcia rodziców wiele do zrobienia.

Kolejnym krokiem była powołana w zeszłym roku dzięki pieniądzą z Fundacji Róży Luksemburg Akademia Zaangażowanego Rodzica, czyli cykl weekendowych warsztatów dla rodziców osób LGB. Wyłączono z tego projektu T (czyli osoby transpłciowe, a dokładnie ich ojców i matki), bo sytuacja i potrzeby rodziców osób trans są nieco inne i wymagają oddzielnego potraktowania.

Zgłosiły się niemal same mamy (i dwóch ojców), w sumie 14 osób. Zjechały z całej Polski: Gdyni i Tarnobrzega, Wrocławia i Poznania, Łodzi i Kędzierzyna-Koźła oraz oczywiście z Warszawy. Katarzyna Remin: – Zajęcia były po to, żeby przekazać rodzicom wiedzę, wzmocnić ich, przygotować do publicznych wystąpień i kontaktów z mediami.

Spotkali się między innymi, we współpracy z ambasadą USA w Polsce, z ikonami ruchu LGBT w Stanach Zjednoczonych. Do Warszawy przylecieli Judy i Dennis Shepard, których 21-letni syn Matthew został w 1998 r. zamordowany dlatego, że był gejem. Shepardowie założyli fundację imienia syna i od ponad dekady działają na rzecz równouprawnienia i niedyskryminacji osób homoseksualnych. Z polskimi rodzicami spotkał się także Jody M. Huckaby, dyrektor PFLAG (Parents,

moja córka nauczyła mnie odwagi

Elżbieta
matka lesbijki



kampania przeciw homofobii www.OdwazcieSieMowic.pl

Partnerzy: PANI Republika

Families and Friends of Lesbians nad Gays – Rodzice, Rodziny i Przyjaciele Lesbijek i Gejów), potężnej organizacji liczącej ponad 200 tys. członków. Pokłosiem tego spotkania jest Stowarzyszenie Rodzin i Przyjaciół Osób Homoseksualnych, Biseksualnych i Transseksualnych AKCEPTACJA, które właśnie jest rejestrowane w polskim sądzie.

– Skrzyknęliśmy się z rodzicami, zaprosiliśmy członków rodzin i przyjaciół, nawet babcię, i właśnie kończymy formalności. Nasze stowarzyszenie zacznie działać niebawem – mówi Aneta Ostrowska (matka Wiktorii), która razem z mężem Rafałem wystąpiła na jednym z billboardów. Ich fotografii (autorem zdjęć jest współpracujący z „Przekrojem” Kuba Dąbrowski) towarzyszy hasło „Córka nauczyła nas mówić otwarcie”.

Otwarte mówienie pociąga za sobą niestety także mnóstwo przykrości. To są nie tylko negatywne komentarze w Internecie, które towarzyszą

każdej aktywności środowiska LGBT (po co się afiszować, to chore, zбочeńcy, nie ma się czym chwalić), ale także, a może przede wszystkim, pełne nienawiści wypowiedzi osób publicznych, w tym głównie polityków. Aneta Ostrowska tak to widzi: – Wypowiedzi polityków atakujących naszą kampanię są dowodem na to, że jest potrzebna. Bo nie potrafie zrozumieć, w jaki sposób my, rodzice, molestujemy panią posłankę Pawłowicz. A to właśnie powiedziała, że czuje się molestowana. Pan poseł Brudziński z kolei nam współczuje. Ale czego? Tego, że mamy zdolne, zdrowe, wspaniałe dzieci? Ale przyznaję, że najbardziej dotknęła mnie wypowiedź Lecha Wałęsy, który chce zagonić nasze dzieci do getta. Po tym, co powiedział, całą noc nie mogłam spać.

Alleluja i do przodu!

Ale jest lepiej, dużo lepiej. Postęp widać gołym okiem, bo negatywne reakcje dzisiaj są niczym w porównaniu z tym, co się działo dziesięć lat temu, kiedy w Polsce wystartowała pierwsza kampania medialna poświęcona obecności gejów i lesbijek w społeczeństwie, czyli „Niech nas zobaczą”. Artystka Karolina Breguła sfotografowała wówczas 30 par homo. Ot, zwykłych ludzi trzymających się za ręce. Ich zdjęcia znalazły się na billboardach i wywołały wściekłe ataki, z fizycznym niszczeniem nośników reklamowych łącznie. Breguła: – Krótco po tym, jak zrobiłam „Niech nas zobaczą”, mój przyjaciel Marcin wyznał mi, że jest gejem. Znałam go już wtedy kilka lat i nigdy wcześniej mi o tym nie powiedział, bo nie był pewien, jak zareaguje. Dopiero moja wystawa go ośmieliła. Kiedy poznałam jego orientację seksualną, zaczęłam rozumieć jego historię, jego życiowe decyzje. Moja przyjaźń z nim zaczęła mieć większy sens. To był bardzo wzruszający moment, który, jak sądzę, jest tylko namiastką tego, co może przeżywać rodzic, który dowiaduje się, że jego dziecko jest gejem czy lesbijką. Dlatego uważam, że kampania z rodzicami osób homoseksualnych jest fantastycz-

na, bo pokazuje, że poprzez akceptację możemy w pełni uczestniczyć w życiu swoich najbliższych.

Podejście do tematu zmieniło się bardzo, także w mediach. Dzisiaj prasa głównego nurtu czy programy telewizyjne walczą o to, by rodzice biorący udział w kampanii wystąpili właśnie u nich. Geje, lesbijki, osoby bi i trans stają się coraz bardziej oswojone, pojawiają się także jako postaci w serialach rodzinnych. To znak czasów. Ale najlepiej radzą sobie młodzi w dużych miastach. Ten progres widzi też Katarzyna Remin, choć nie na każdym polu: – W ciągu ostatniej dekady zmieniło się bardzo dużo, to prawda, ale dla gejów czy lesbijek. Mają kluby, miejsca spotkań, organizacje, strony internetowe, portale randkowe, media. Gorzej jest z ich rodzicami. Oni nie mają nic. Dowiadują się, że ich syn czy córka są homoseksualni, i nie wiedzą, co z tym zrobić, jak zareagować, gdzie szukać podstawowych informacji, nie mają z kim porozmawiać. I to właśnie dla nich jest nasza kampania i strona internetowa. Fakt, że istnienie rodziców osób LGBT stało się taką sensacją medialną, dowodzi, że w tym obszarze była pustka.

– A rodzice osób LGBT to naprawdę duża grupa ludzi – dodaje Elżbieta Bajan, która występuje na plakacie z córką Mirosławą i hasłem „Moja córka nauczyła mnie odwagi”. – Bo jeśli statystycznie mamy w społeczeństwie 5 proc. osób homoseksualnych, to w Polsce są ich 2 mln. A 2 mln gejów i lesbijek to 4 mln rodziców. Dlatego pamiętam moje zaskoczenie, kiedy przyjechałam z Wrocławia do Warszawy na warsztaty Akademii Zaangażowanego Rodzica i okazało się, że zamiast tłumów jest nas trochę ponad dziesięć osób. No, ale to dopiero początek.

Najtrudniejszy pierwszy krok

Początek nadzwyczaj udany. Choć wcześniej musiał być poprzedzony coming outem, wyjściem z szafy, czyli powiedzeniem rodzicom o swojej lub homoseksualnej orientacji. Geje i lesbijki mają z tym niemal zawsze naj-

wiekszy problem, bowiem strach przed odrzuceniem przez matkę czy ojca jest paraliżujący. Ale także często, jak pokazują biorący udział w kampanii rodzice, niepotrzebny.

Mirosław Zbrojewicz: – Syn powiedział mojej żonie, która ze trzy dni płakała w kuchni. Ale nie dlatego, że jest gejem, tylko ze strachu o jego bezpieczeństwo. Żona powiedziała mi, a ja zupełnie nie wiedziałem, jak się mam do tego odnieść, bo – proszę mi wierzyć – homoseksualizm mojego syna nie stanowi dla mnie żadnego problemu. Naprawdę żadnego. W moich relacjach z Mateuszem to niczego nie zmieniło. Poza tym to było ponad dziesięć lat temu. Syn zrobił coming out, jak miał chyba 18 lat. Teraz ma 30, jest samodzielny, a my go wspieramy, jak możemy. Naszą jedyną obawą było jego bezpieczeństwo, bo żyjemy w takim kraju, jak widać. Na szczęście mieszkamy w Warszawie i obracamy się w takim, a nie innym środowisku, więc nie jest źle.

Elżbieta Bajan: – Coś czułam, że moja córka jest lesbijką, ale nigdy wprost nie pytałam. Powiedziała mi o tym jej młodsza siostra, ale ja nadal czekałam na rozmowę z Mireczką. Cieszałam się, żeby mi sama powiedziała, i to wtedy, kiedy będzie gotowa. Zrobiła to w końcu w wieku 23 lat, teraz ma 31. Między nami kompletnie nic się nie zmieniło. Oczywiście była walka z myślami, czy jej się nie stanie przez

Geje, lesbijki, osoby bi i trans stają się coraz bardziej oswojone, pojawiają się także jako postaci w serialach rodzinnych. To znak czasów.

to krzywda, czy nie będzie szykanowana. Przecież wiedziałam, w jak homofobicznym społeczeństwie żyjemy. Do tego te ciągle straszne, dyskryminujące wypowiedzi polityków. Zrozumiałam, że teraz muszę ją wspierać i kochać jeszcze bardziej. Zaczęłam coraz więcej czytać, szukać u źródeł, pożyczając książki i teraz nadszedł moment na aktywniejsze wsparcie mojego dziecka i innych rodziców osób LGBT. Dlatego właśnie wzięłam udział w kampanii.

Władysław Kowalski, aktor Teatru Dramatycznego w Warszawie, który wystąpił na plakacie z synem Kubą i hasłem „Syn nauczył mnie, jak ważne jest być sobą”: – Kuba wysłał mi i żonie mejla, kiedy studiował sinologię na Tajwanie. Napisał, że jest gejem i że jeśli go nie zaakceptujemy, to on nie wróci. To był szantaż, który wywołał u mnie chyba dwugodzinny płacz, bo poczułem się jak homofob. Ja miałbym nie zaakceptować mojego syna? Coś takiego nie przyszło mi do głowy. Pomyślałem sobie, że Kuba mnie nie zna, skoro stawia takie ultimatum. Przestraszyłem się tylko jednego, że będzie wyklęty, że będzie

Żydem. A że spędziłem dzieciństwo w okolicy Bełżca, wiedziałem, czym pachnie rasizm, ksenofobia, nienawiść. Na szczęście Kuba jako człowiek, który z nadatkiem spełniał ambicje ojca o wykształconym, mądrym, pracowitym człowieku, radzi sobie z tym wszystkim nieźle. Jestem z niego bardzo dumny.

Aneta Ostrowska: – Któregoś ranka córka powiedziała, że jak wrócę z pracy, to chce ze mną o czymś porozmawiać. Wtedy pomyślałam: „Oho, jest coś na rzeczy”. Cały dzień nie mogłam się skupić. Wiktorii miała wówczas 15 lat. Kiedy wróciłam do domu, powiedziała, że zakochała się w koleżance z klasy. Przytuliłam ją tylko, zapewniłam, że ją kocham i akceptuję. Tyle. Sam temat miałam przerobiony dość dobrze, bo przyjaźniłam się i do dziś przyjaźnię z wieloma gejami. Poza tym byłam wychowywana w otwartej, tolerancyjnej rodzinie. Wiktorię wspierają też jej ojciec i ojczym. Jedyne, czego się bałam, to czy nie skrzywdzi jej społeczeństwo, no i trudno było mi się pogodzić, że nie będę miała wnuków, ale potem sobie pomyślałam: „A właściwie dlaczego ja nie? Jeśli moja córka i jej partnerka będą chciały mieć dziecko, to będą i wnuki”. Tylko strach o bezpieczeństwo córki jest we mnie nadal.

Rodzina przede wszystkim

Billboardy ze zdjęciami stoją od 1 marca w Warszawie, Krakowie, Poznaniu

REKLAMA

KRS: 0000097123



... bo jutro



Fundacja
Warszawskie
Hospicjum dla Dzieci

mnie nie będzie

i Wrocławiu oraz na terenie Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego. W sumie w 140 lokalizacjach. Honorowy patronat nad kampanią objęła (tu dość spore zaskoczenie) znana ze swoich konserwatywnych poglądów i religijności wiceprzewodnicząca Platformy Obywatelskiej i prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz. Na pytanie o ten patronat, a raczej matronat, Katarzyna Remin odpowiada: – Nie było w tej kwestii żadnych specjalnych starań. Po prostu napisałam mejla do biura pani prezydent i po dwóch tygodniach dostałam pozytywną odpowiedź. A dlaczego ona? Bo myślę, że nasza kampania jest w gruncie rzeczy oparta na wartościach rodzinnych, które pani prezydent promuje. Pomyślałam też, że dla tych rodziców, którzy mają też w części poglądy konserwatywne i są związani z Kościołem katolickim, ważne będzie, że taka osoba rekomenduje nasz projekt.

Z badań, które prowadzi Kampania Przeciw Homofobii, wynika, że 41 proc. osób LGBT ukrywa swoją orientację przed najbliższą rodziną. Ale to nie znaczy, że w rodzinach 59 proc. gejów, lesbijek i osób biseksualnych jest pełna akceptacja. Wie o tym najlepiej Elżbieta Szczęsna, która po coming outcie syna Jerzego postanowiła się zaangażować w pomoc rodzicom osób LGBT i od sześciu lat prowadzi w Lambdzie w Warszawie grupę wsparcia: – Mój syn po tym, jak mi powiedział, usłyszał tylko, że go kocham. To był jedyny możliwy komunikat z mojej strony. A jako osoba aktywna pomyślałam, że skoro jest więcej rodziców w podobnej do mojej sytuacji, a niekoniecznie sobie z nią radzą, to ja im spróbuję pomóc. Prowadzę grupę wsparcia, która jest miejscem rozmowy i przekazywania konkretnych informacji dla rodziców, którzy nie radzą sobie z tym, że ich dziecko jest homoseksualne, ale mają chęć zrozumienia i porozmawiania z kimś, kto ma za sobą podobne doświadczenia.

Spotkania odbywają się w każdy ostatni czwartek miesiąca. Może na nie przyjść każdy. Nie trzeba dokonywać

żadnych formalności. Wystarczy imię. Chodzi o to, żeby rodzice mieli pełen komfort. A jeśli będą chcieli zostać aktywistami, to lepszej osoby niż pani Elżbieta nie znajdą, została ona bowiem prezeską wspomnianego Stowarzyszenia AKCEPTACJA.

Co dalej?

Czy kampania „Rodzice, odważcie się mówić” będzie sukcesem? Katarzyna Remin: – Już nim jest w sensie impaktu medialnego, ale prawdziwy sukces odniesiemy, kiedy rodzice gejów i lesbijek wezmą z tej akcji coś dla siebie, niez-



córka nauczyła nas mówić otwarcie

aneta i rafal rodzice lesbijki

kampania przeciw homofobii www.OdwazcieSieMowic.pl

Partner: wysłaj SMS-a PANI

ależnie od tego, na jakim są teraz etapie akceptacji swoich dzieci. Chciałbym, żeby poczuli, że może być dobrze, że mogą głośno mówić o swoich homoseksualnych dzieciach. A najbardziej będą szczęśliwi, kiedy rodzice lesbijek i gejów staną się silną i widoczną grupą broniącą praw swoich dzieci.

Ci, którzy zdecydowali dać kampanii swoje twarze, nie żałują. Elżbieta Bajan mówi krótko: – Jako matka zawsze wspierałam i będę wspierać moją córkę, czy to przytulaniem, czy na forum ogólnokrajowym. To nie ma znaczenia. Liczę, że tym naszym działaniem podniesiemy poziom akceptacji i tolerancji w Polsce, bo geje i lesbijki to nie jakieś potwory, tylko nasze dzieci. I to chyba już działa, bo dostaję mnóstwo pozytywnych reakcji. – Jestem dosłownie zasypana esemesami – śmieje się Aneta Ostrowska.

– Ludzie gratulują mi odwagi, piszą, że trzymają kciuki. Zadzwoń do mnie nawet koleżanka, z którą od lat nie miałam kontaktu. Powiedziała, że widziała mnie w telewizji i jest dumna. Myślę, że Polacy są bardziej otwarci, niż się nam wydaje, kiedy słuchamy nieustannie homofobicznych wypowiedzi polityków.

Mirosław Zbrojewicz jest trochę zaskoczony zainteresowaniem wokół niego i syna, w końcu powiedział tylko kilka zdań w internetowym filmiku, ale uważa, że z mówienia o osobach homoseksualnych – mimo wielu inwektyw i agresji – musi wynikać coś dobrego. – A kołtuństwo to ja mam w nosie. Mogę sobie nosić ciuchy, które powszechnie uchodzą za pedalskie. Mogę sobie przyczepić tęczową chorągiewkę do motocykla, którą dostałem od syna. I co z tego? – I to jest właśnie w tej kampanii najpiękniejsze – podsumowuje Katarzyna Remin. – Mamy rodziców oraz ich nieustannie obrazane i poniżane dzieci, które tym razem słyszą: „Szanuję cię, akceptuję cię, kocham cię”. To jest siła.

– Dostałem oczywiście mnóstwo telefonów i esemesów z dobrym słowem oraz wiele negatywnych, obraźliwych anonimów. Trudno – mówi Władysław Kowalski. – Ale nie mogę się godzić, by mój syn był sadzany w ostatnich rzędach. A jeżeli już ten ostatni rząd jest konieczny, to bardzo proszę. Byleby był – siedząc w nim – mądrzejszy, bardziej tolerancyjny i twórczy niż ci, którzy siedzą w pierwszym rzędzie. ☞

Jakub Żulczyk

Włączyć własne oczy



JAKUB OSTALOWSKI

Polscy twórcy nie chcą opowiadać o Polsce. Polscy twórcy, tak jak cała reszta Polaków, nie chcą w niej być. Chcą uciec, a przede wszystkim chcą uciec stąd mentalnie.

Podobno Zanussi powiedział kiedyś, że tworząc sztukę, trzeba być świadomym miejsca, z którego się pochodzi: trzeba je czuć, dobrze je widzieć i w jakimś sensie trzeba chcieć w nim przebywać. Dlatego właśnie bułgarski film o napadzie na bank zawsze będzie tragifarsą, dodał reżyser „Iluminacji”. Gdybym był czepialski, napisałbym, że zapewne powstał kiedyś chociaż jeden dobry bułgarski film, w którym ktoś napada na bank. Dodałbym też, że Zanussi – czym za specjalnie dzisiaj się nie chwali – wyreżyserował onegdaj w USA „Zabójstwo w Catamount”, film o napadzie na bank. Jeśli ktokolwiek go dzisiaj ogląda, najprawdopodobniej jest bezwolną ofiarą psychopatycznego sadysty.

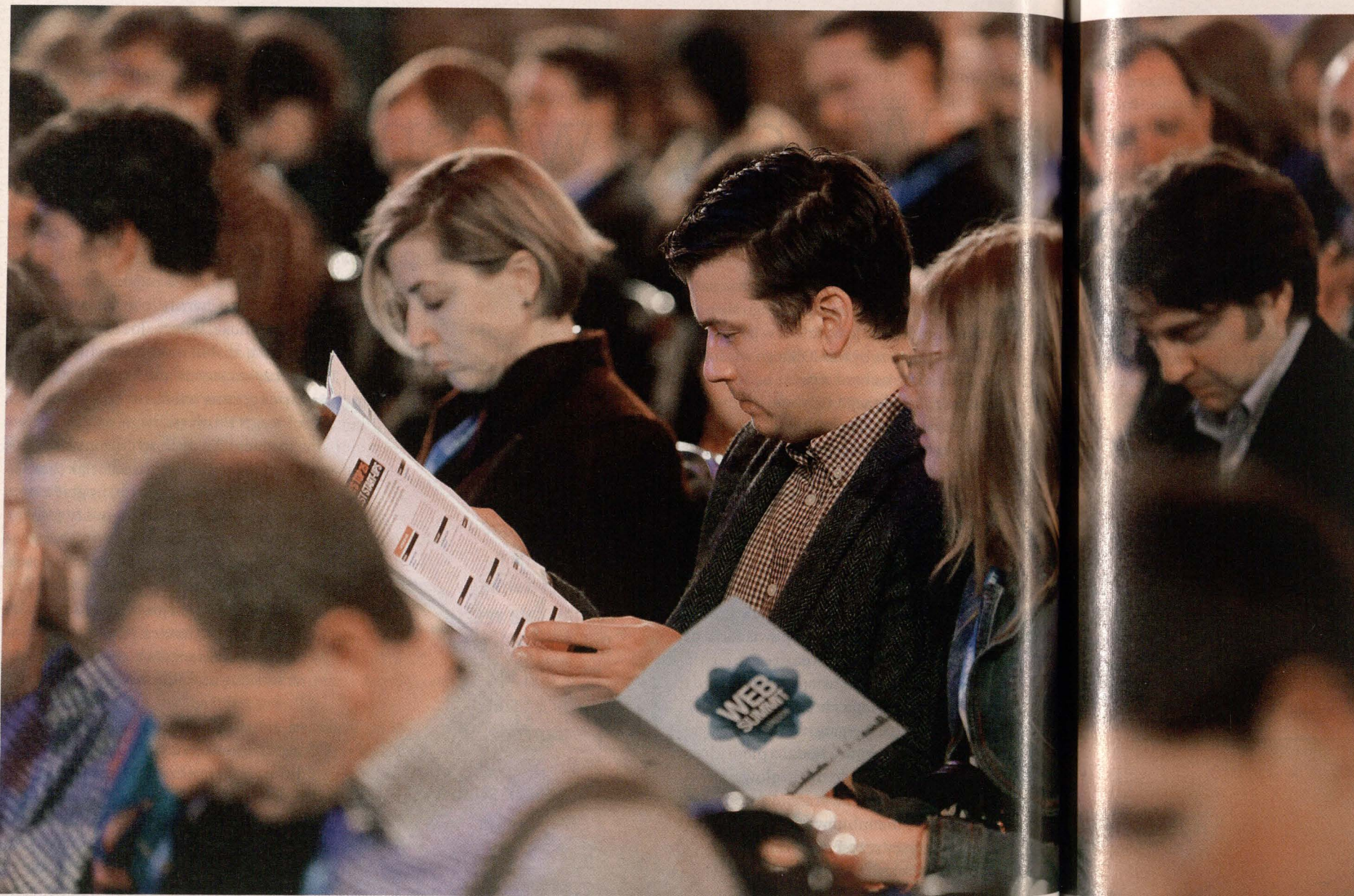
Tak naprawdę jednak Zanussi ma rację. Wiedza o tym, skąd się jest, a przez to kim się jest, chęć opowiadania o tym, jest absolutną podstawą tworzenia czegoś, co nie jest kłepawą błądą. Od wielu lat zastanawiam się nad tym, dlaczego w Polsce powstają złe filmy i dlaczego najbardziej popularnym u nas gatunkiem filmowym jest kicha. Najpierw myślałem, że chodzi o pieniądze, a raczej ich brak. Potem przyszło mi do głowy, że chodzi o cynizm producentów, ich wyrachowane przekonanie o tym, że gównu to ulubiony smak Polaka. Olsniło mnie też, że ci wszyscy reżyserzy i scenarzyści po prostu nie potrafią zrobić tak, aby było dobrze. Mają pychę, ignorancję i słomę z butów tam, gdzie powinna być intuicja, inteligencja, znajomość kontekstów, kody kulturowe. Nie umieją i nie chcą się nauczyć.

Odpowiedź jest jednak inna. Polsky twórcy nie chcą opowiadać o Polsce. Polsky twórcy, tak jak cała reszta Polaków, nie chcą w niej być. Chcą uciec, a przede wszystkim chcą uciec stąd mentalnie. Trudno się temu dziwić. Jesteśmy narodem, który przez 50 lat wegetował w państwie do szpiku bandyckim, a któremu następnie obiecano Amerykę i sprawiedliwość, które, jak dotąd, wciąż jakoś nie chcą przyjść na imprezę. Wstydzimy się tego miejsca. Nie potrafimy spojrzeć mu w oczy. Jeśli chcemy o nim opowiadać, to jedynie przez cudze oczy, które przecież muszą działać lepiej, jak wszystko, co z Zachodu. Jestem przekonany, że

najczęściej wypowiediane przez polskich filmowców zdania to: „Zróbmy to jak Lynch, to może jak Tarantino, tutaj może jak Haneke, kurczę, Józek, bardzo bym chciał, żebyśmy tutaj zrobili trochę w stylu Michaela Manna”. Te uporcezywie stosowane filtry są nakładane na zupełnie zapożyczoną wiedzę o rzeczywistości. Pragniemy zrobić coś uniwersalnego, coś, co wpisze się w globalną narrację, z całych sił chcemy dołączyć się do chóru, jak wystający na boisku dzieciak czekający na to, aż starsi chłopcy pozwolą mu pograć z nimi w piłkę. Łudzimy się, że Zachód nas zauważy, jeśli pokazemy mu, jak wspaniale potrafimy go udawać. Nie dopuszczamy do świadomości tego, że jedyny sposób, w jaki możemy zwrócić uwagę na siebie na zewnątrz, to opowiadanie o sobie. Swoim językiem. Rumuńskie filmy dostają Złote Palmy w Cannes. Nie sprawiają wrażenia, jakby podczas ich kręcenia ktokolwiek powiedział, że akurat tę scenę zrobiłby w stylu Hanekego.

Moim ulubionym polskim filmem jest „Pociąg” Jerzego Kawalerowicza. To kino na najwyższym światowym poziomie. Film z suspensem najlepszego thrillerera, w którym najważniejsze jest to, co pod spodem słów i gestów, to, co naprawdę chcą powiedzieć i zrobić bohaterowie, poruszając się po pociągu, który na początku – zwłaszcza w nocnych sekwencjach – wydaje się mknąć przez nicłość, być zawieszonym w kosmicznej próżni. Do pewnego momentu „Pociąg” jest filmem, który mógłby powstać i działać wszędzie na świecie. Tylko że w pewnym momencie pociąg się zatrzymuje. O świecie milicja i straż kolejowa wybiegają na zewnątrz, aby szukać mordercy. To, co jest poza pociągiem, jest Polską. Rozległy, płaski jak tacka nieużytek, zamieszany przez bezpańskie psy. Kamera patrzy mu w oczy ze spokojem rewolwerowca, nie odwraca się. Nawet za 100 lat polski widz, oglądając „Pociąg”, będzie czuł się jak w domu. Będzie wiedział, że ten film rozgrywa się w jego świecie i o nim opowiada, że jest tutaj, że jest w Polsce. Może kiedyś powstanie następny taki film. Być może kiedy jakaś nieznana mi jeszcze osoba, z butami wolnymi od słomy, włączy własne oczy i rozejrzy się dookoła. Bardzo uważnie. ☞

Autor jest pisarzem, dziennikarzem i felietonistą. Wydał m.in. „Radio Armageddon” (2008) i „Świątynie” (2011).



CONOR MCCABE

MARIANNA SASKA, LONDYN

Na kryzys start-upy

Londyn to technologiczna stolica Europy. Tu się wymyśla, rozpoczyna i rozwija biznesy XXI w. Brytyjski rząd postawił sobie za cel, aby miasto rozwijać właśnie w tym kierunku. I odnosi ogromne sukcesy. Zgodnie potwierdzili to uczestnicy **London Web Summit**, jednej z największych technologicznych konferencji w Europie, która odbyła się 1 marca.

Wschodni Londyn rozwija się w zawrotnym tempie. Zaprziałe zaułki zmieniają się w modne dzielnice, gdzie praca miesza się z rozrywką. Młode technologiczne start-upy, a także wielkie technologiczne firmy upodobały sobie szczególnie okolice Old Street i Shoreditch. Zmiana wynika z potrzeby: nowych firm nie było stać na wynajęcie biur w centrum stolicy. Probiznesowy rząd postanowił pomóc przedsiębiorcom poprzez stworzenie inwestycyjnej organizacji Tech

City wspierającej start-upy działające we wschodniej części miasta. Od siedmiu tygodni jej szefową jest Joanna Shields, która w przeszłości piastowała dyrektorskie stanowiska w Facebooku, Google i Bebo. Jak mówi, jest teraz urzędnikiem państwowym. – Wspieramy to, co i tak już oddolnie dzieje się w Londynie. Tech City to już istniejący ruch społeczny. My mamy na celu sprawienie, żeby Londyn stał się najlepszym miejscem w Europie na wymyślenie, rozpoczęcie i rozwijanie biznesu – tłumaczy i dodaje: – Sytuacja ekonomiczna od dawna jest trudna. Ale to właśnie z niej wyrósł ten nowy gatunek przedsiębiorców. Oni nie czekają, aż duże firmy znowu zaczną zatrudniać albo aż rząd da im pracę. Wzięli przyszłość we własne ręce.

Wizjonerzy, a nie frustraci

– Na sukces naszej branży składa się kilka czynników – mówi Greg Marsh z technologicznej firmy OneFineStay. – Jesteśmy w recesji. Bankom źle się powodzi. Z tego powodu rząd stara się zwiększyć świadomość obywateli na temat przedsiębiorczości. Czekamy już tylko na zmianę kulturową, na moment, w którym założenie własnej firmy przestanie być wyborem banity, lecz prawdziwym, wymarzonym pomysłem na życie tych najlepszych i najzdolniejszych. Myślę, że tutaj w Europie i w Londynie tworzymy właśnie coś niezwykłego.

Częścią Tech City jest Google Campus, startupowa społeczność, w której wspólnie pracują i uczą się przedsiębiorcy, programiści, designerzy i inwestorzy. – To niezwykle miejsce. Jest tam niesamowita ilość pozytywnej energii i entuzjazmu – opowiada „Przekroju” Joanna Shields.

Eze Vidra, szef Google Campus, wyjaśnia cel przedsięwzięcia:

– Pracujemy nad wypełnieniem luki, jaką jest brak dostatecznej liczby wysokiej klasy deweloperów. Ale przede wszystkim oferujemy miejsce, w którym następuje wymiana wiedzy i startupowego doświadczenia. Wspomagamy się

nawzajem jako fundatorzy, zespoły, firmy i ci, którzy wyszli już z okopów i są gotowi zostać mentorami nowej generacji startupowców.

Nowy styl pracy

W latach 80. wszyscy chcieli grać w zespole. W 90. każdy chciał być didżejem. Teraz najfajniej jest być przedsiębiorcą – przekonują mnie moi rozmówcy. – Ale trzeba pamiętać, że nie każdy jest do tego stworzony – ostrzega Shak Khan, notoryczny inwestor i szef projektów specjalnych w serwisie Spotify, który właśnie zaczął podbijać polski rynek muzyczny.

Nawet jeśli nie jesteś urodzonym przedsiębiorcą, nadal możesz wziąć udział w startupowej rewolucji. Andy McLoughlin, założyciel Hudlle, mówi, że zbudował biznes, w którym on sam chciałby pracować gdyby znowu miał 22 lata. W jego firmie pracownicy mają dostęp do zdrowego jedzenia, napojów, także alkoholowych, mogą odpocząć, odbywać luźne spotkania. – To pomaga w budowaniu kultury firmy i pozytywnej atmosfery. Ludzie chcą u nas pracować i są z tego dumni. Poza tym wszyscy nasi pracownicy mają udziały w firmie – dodaje Andy.

Czekamy na moment, w którym założenie własnej firmy przestanie być wyborem banity, lecz wymarzonym pomysłem na życie tych najlepszych i najzdolniejszych.

Startupowe zespoły tworzą też nowe standardy pracy, zmieniają firmowe obyczaje. To, co kręci uczestników takich wydarzeń jak Web Summit, to przede wszystkim technologia. Nowy iPhone jest sexy, biurkowy telefon z dziesiątkami przycisków – nie. Dlatego jednym z trendów, który sprawia, że nowoczesne firmy są przyjazne technologicznym geekom, jest według Jacka Welde z firmy Smartling praca na własnym sprzęcie (bring your own device). Przedpotopowe komputery

to z mora pracowników wielu korporacji. Jeśli przyjdiesz do biura ze swoim laptopem i podłączysz go do sieci, możesz być pewien, że zaraz przybiegnie do ciebie pobladły pracownik działu IT, informując cię, że właśnie złamałeś wszelkie zasady firmowego bezpieczeństwa. Tymczasem w nowoczesnych firmach to ty decydujesz, na jakim sprzęcie chcesz pracować. Dbasz o niego, bo jest twój. I nie marnujesz czasu, gapiąc się w ekran, podczas gdy powoli łąduje się strona w przeglądarce Internet Explorer 6. Kwestia oprogramowania to kolejna sprawa, która sprawia, że nowoczesne firmy są sexy.

– Chcemy, żeby nasze firmowe oprogramowanie działało jak Facebook, było łatwe w obsłudze, żebyśmy nie musieli czekać sześć miesięcy na jego instalację i wydawać pół miliona dolarów na proces konsultacyjny. Firmowe oprogramowanie powinno działać tak dobrze, sprawnie i łatwo jak software konsumencki – tłumaczy Welde.

Philippe Botteri z firmy Accel (inwestor typu venture capital) tak opisuje zmiany technologiczne w przedsiębiorstwach: – W przeszłości to dział IT decydował, do jakich programów będą mieli dostęp pracownicy. Jeśli chciałeś sprzedać swój produkt dużej firmie, musiałeś najpierw udać się do informatyków i od nich dostać zielone światło. Dzisiaj te decyzje wychodzą od użytkownika. Firmy produkujące oprogramowanie myślą przede wszystkim o odbiorcy końcowym. Nie muszą już dbać o to, jak stworzyć produkt, który spodoba się IT. Oczywiście na pewnym etapie będą musieli odpowiedzieć na pytania działu technicznego, ponieważ produkt musi spełniać wymogi bezpieczeństwa. Przykładem tego typu produktu może być Dropbox, który stał się niezwykle popularny wśród prywatnych użytkowników i to oni zaczęli wprowadzać go do użytku w swoich firmach.

Jaka jest przyszłość technologii w przedsiębiorstwach? Według McLoughlina to mobilność, mobilność i jeszcze raz mobilność. – Dostęp do danych



GAVIN CONLAN/TECH CITY

Wschodni Londyn, okolice Old Street i Shoreditch – tu swoją siedzibę mają zarówno młode technologiczne start-upy, jak i wielkie i znane firmy.

bez względu na to, gdzie jesteś. I nie chodzi tylko o zawartość czy dokumenty, które sam stworzyłeś. To dostęp do danych, o których nawet nie wiedziałeś, że istnieją, a które pozwalają ci wykonywać pracę dla firmy bez względu na to, gdzie jesteś – tłumaczy biznesmen.

Kto wyłoży kasę

Nawet najlepszy projekt nie wyjdzie poza garaż (w którym powstał pierwszy Mac) czy pokój akademika, jeśli w pewnym momencie nie dostanie zastrzyku kapitału. Takie wydarzenia jak Web Summit mają na celu przede wszystkim

kim pomoc w nawiązaniu kontaktów. Większość uczestników konferencji to startupowcy, którzy chcą poznać potencjalnych inwestorów. Podczas gdy na głównej scenie odbywają się dyskusje, panele, wywiady i prezentacje, na dole młodzi przedsiębiorcy próbują przekonać inwestorów, że to właśnie ich pomysł zasługuje na uwagę. W jeszcze innej sali przez cały dzień odbywa się konkurs na najlepszy start-up.

Skąd więc wziąć kasę na projekt? Temperatura w głównej sali się podniosła, kiedy zaczęto rozmawiać o pieniądzach. W ostatnich latach do gry wszedł nowy model finansowania – crowdfunding, czyli finansowanie społecznościowe. Jedną z platform działających na tej zasadzie jest Indiegogo, a jego założycielka Danae Ringelmann wzięła udział w dyskusji na temat alternatywnych metod finansowania biznesu. – Naszą misją była demokratyzacja sposobu zdobywania funduszy. Dzięki crowdfundingowi to świat decyduje, jakie projekty dostaną wsparcie finansowe i wejdą w życie. Po raz pierwszy ten proces jest efektywny i sprawiedliwy.

Według Ringelmann crowdfunding to także system wczesnego ostrzegania. – Jeśli twoja kampania nie odniosła sukcesu, to znaczy, że nikt się nią nie interesuje. I już jesteś mądrzejszy!

Oczywiście pieniądze można też pozyczyć. Źródłem pomocy finansowej może być platforma Funding Circles. Serwis pozwala małym firmom na pożyczanie pieniędzy od inwestorów, którzy mogą wyłożyć nawet tak małe sumy jak 20 funtów. Po co ktoś miałby udzielać takich pożyczek? – Jeśli zainwestujesz w jeden biznes, a on zbankrutuje, tracisz wszystkie pieniądze. Ale jeśli pożyczysz trochę różnym przedsiębiorstwom, ryzyko jest rozłożone – wyjaśnia założyciel serwisu Samir Desai.

Jednak marzeniem każdego startupowca jest uzyskanie wielkiej inwestycji. Swoją historię w czasie Web Summit podzielił się twórca platformy blogowej WordPress Matt Mullenweg, wielki zwolennik wolnego Internetu i oprogramowania Open Source. – Moja firma przeszła dwie rundy inwestycji. Pierwsza odbyła się w 2006 r., druga w 2008. W pierwszej rundzie dostaliśmy milion dolarów, w drugiej 30 milionów. Zdo-

bycie tej drugiej sumy było znacznie łatwiejsze – opowiada. Matt podkreśla, jak ważne dla niego było to, kto zostanie inwestorem. – Chcę budować biznes, który przetrwa dziesięciolecia, w związku z tym musiałem znaleźć inwestora, który będzie na to gotowy. O takich rzeczach trzeba mówić otwarcie od początku – przekonuje.

Mullenweg sam jest dziś inwestorem. Czego szuka w start-upie?

– Pewnie powinienem dywersyfikować biznes i szukać ludzi, którzy różnią się ode mnie poglądami. Ale ja naprawdę wierzę w Open Source, uważam, że to jedno z największych dokonań naszych czasów. Mam nadzieję, że w przyszłym roku więcej start-upów biorących udział w konkursie będzie opartych na zasadach Open Source.

Start-upy na start

Na koniec to, na co wszyscy czekali, czyli ostateczna rozgrywka w konkursie na najlepszy start-up. Do finału dostały się cztery młode przedsiębiorstwa, co ciekawe, każde z innego kraju.

Wygrał Flubit, start-up mający swoją siedzibę nie gdzie indziej, tylko właśnie

na Old Street we wschodnim Londynie. Platforma Flubit oferuje użytkownikom robiącym zakupy online ceny niższe niż dostępne gdziekolwiek indziej w sieci. Tak, gdzieś już to słyszeliśmy... Jednak ten serwis działa inaczej niż Groupon i temu podobne platformy. W skrócie: podajesz link do produktu, który chcesz kupić, a Flubit zaproponuje ci lepszą cenę. Na ofertę będziesz musiał poczekać do 48 godzin, ale jeśli się specjalnie nie spieszysz, niższa cena jest gwarantowana.

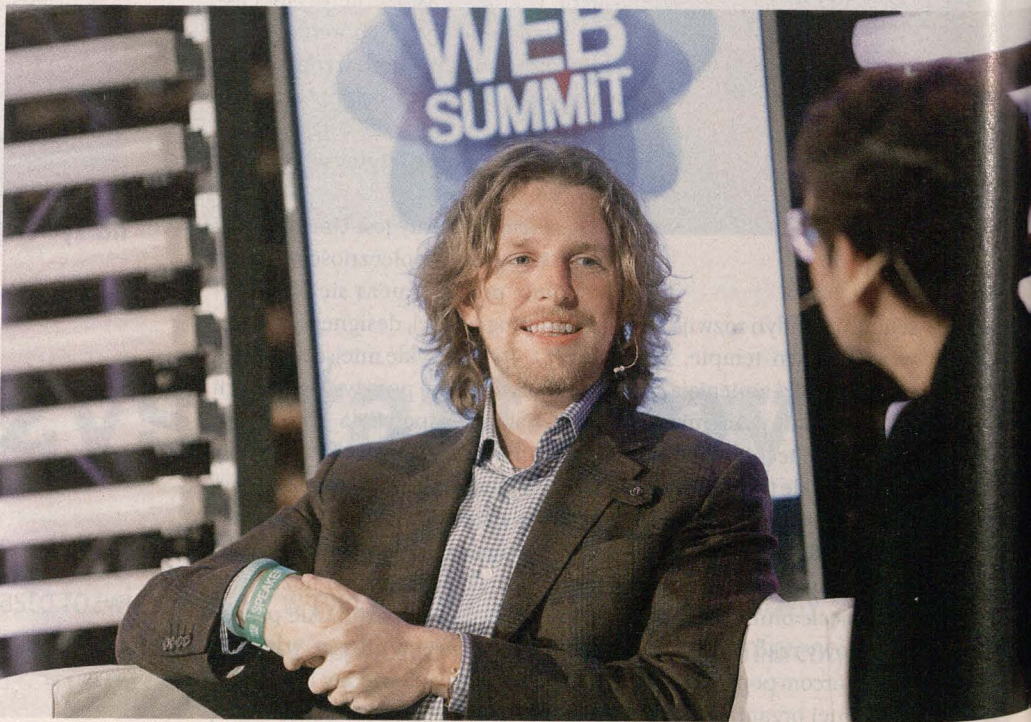
Bertie Stephens, założyciel Flubit, tak skomentował swoją wygraną:

– Od samego początku mieliśmy w firmie dziewięć osób, które postawiły wszystko na jedną kartę. Teraz jest nas 35 osób i nadal wiele ryzykuje my, ale dzięki tej wygranej rozpoczynamy nowy etap naszej przygody.

Jego entuzjazm nie dziwi. Zwycięzcom poprzednich edycji konkursu, firmom SmartThings i Seedrs, udało się zdobyć po 2 mln dolarów inwestycji!

Pozostali finaliści zaprezentowali innowacyjne pomysły w różnych dziedzinach. Irlandzki start-up Trustev umożliwia na przykład weryfikację klientów branży e-commerce dzięki ich aktywności w mediach społecznościowych. Fińskie Grand Cru zaprezentowało swoją pierwszą grę „The Supernauts”, polegającą na budowaniu własnych planet w kosmosie. Natomiast algorytmy, na których opiera się technologia niemieckiej firmy Kreditech, ułatwiają ocenę potencjalnych kredytobiorców.

Kolejny Web Summit odbędzie się w październiku w Dublinie. Organizator konferencji Paddy Cosgrave oprócz jeszcze większej liczby uczestników, start-upów i inwestorów obiecał dodatkowe atrakcje w formie wykwintnego jedzenia i dobrej muzyki. Dla tych, którzy nie będą mogli wziąć udziału w imprezie, dostępna będzie relacja na żywo. Wszystkie materiały filmowe, dyskusje, panele i prezentacje z London Web Summit są dostępne za darmo na stronie london.websummit.net/live.



CONOR MCCABE/WEB SUMMIT



CONOR MCCABE/WEB SUMMIT

OLGA ŚWIĘCICKA

Cztery wesela czy pogrzeb?

Ludzkie szczątki przerobione na kamienie szlachetne, uśmiechnięte urny i kamery w nagrobkach. Śmierć przestała już być w miastach tematem tabu, a stała się zwykłym biznesem. Pogrzeb tak jak urodziny czy wesele stał się uroczystością, którą po prostu trzeba dobrze zorganizować.

Restauracja McDonald's przy warszawskich Powązkach. Na salę wchodzi grupa żałobników. Są ubrani na czarno, poważni. Podchodzą do kontuaru i zamawiają frytki i hamburgery. Taki widok to dla pracowników restauracji codzienność. – To normalne, że ludzie po staniu na zimnie w kościele i na cmentarzu są głodni i zmęczeni – mówi pracownik restauracji. – McDonald's jest blisko, więc zdarza się, że przychodzą do nas klienci przed uroczystościami pogrzebowymi albo po nich. Chcą szybko coś zjeść, zając czymś innym myśli, uciec od cmentarnych klimatów – przyznaje. Nieformalne stypy przy frytkach to nowa świecka tradycja, która dziś szkodzi, ale pewnie niedługo już nie będzie nikogo dziwić. W końcu w dzisiejszych czasach większą ekstrawagancją wydaje się mieszcuchom tradycyjne czuwanie przy otwartej trumnie niż wspomnianie zmarłych w fast foodzie. Ciągłe inaczej jest na polskiej wsi.

Martyna Sieńczewska zeszczej wiosny pochowała swoją babcię, która pochodzi ze wsi. Pogrzeb odbył się w zgodzie z tradycją. – W pokoju panował półmrok. Paliły się tylko dwie wielkie świece. Trumna była otwarta. Po kolei podchodziliśmy do niej i dotykaliśmy ciała – wspomina Martyna. I opowiada: – Nie było obowiązku całowania ciała,

ale każdy czuł taką potrzebę. Czuwanie trwało cały dzień i noc i odbyło się w domu moich dziadków. Towarzyszyły mu śpiewy i modlitwy. Przychodziło wiele osób. Nie tylko najbliższa rodzina, ale także sąsiedzi i znajomi. Przy trumnie siedziały starsze panie, które zajmują się prowadzeniem tego obrzędu. Pojawiają się na każdym pogrzebie we wsi. Intonują modlitwy, nadają całemu obrządkowi rytm.

Moja rodzina pochodzi ze wsi pod Łomżą. Wszystkie pogrzeby odbywają się z zachowaniem tradycji. Początkowo bałam się, jak znieśie to mój mąż, który wychował się w mieście. O dziwo, poradził sobie bardzo dobrze. Dla mnie to było oczyszczające wydarzenie. Po całonocnym czuwaniu udaliśmy się do kościoła i na cmentarz. Te dwa dni, które w pełni poświęciłam mojej rodzinie, były dla mnie bardzo ważne. Na wsi wszyscy są oswojeni ze śmiercią. Od najmłodszych lat się z nią obcuje. Na czuwaniach pojawiają się też dzieci. Wszystko odbywa się tu naturalnie. Zwykle zmarłego żegna się w jego domu wśród bliskich. Jest czas na rozmowy, wspomnianie i zadumę.

Ostatnie pożegnanie jak party

W dzisiejszych czasach tradycyjne pogrzeby w mieście to jednak rzadkość.

Domy pogrzebowe oferują pomoc organizatora pochówku, który przejmuje wszystkie obowiązki za rodzinę. Złatwia akt zgonu, pomaga w zamówieniu nabożeństwa, towarzyszy rodzinie przy wyborze trumny i miejsca pochówku, często też zajmuje się organizacją stypy. – W dużych miastach śmierć jest tematem tabu. Nie mówi się o niej wcale albo tylko pod przymusem. Rodzina stara się jak najszybciej o wszystkim zapomnieć, dlatego chętnie korzysta z pomocy osób trzecich. Pogrzeb, jak wesele czy przyjęcie, po prostu się organizuje. Oczywiście nadal jest to mocne i trudne przeżycie, ale w ostatnich latach przybrało trochę inny charakter. Mniejszą uwagę zwraca się na tradycję czy zachowanie odpowiedniego porządku uroczystości, a większą na indywidualne przeżycie – mówi Agata Zawadzka z Polskiego Towarzystwa Pogrzebowego.

Przemysł pogrzebowy odpowiada na zapotrzebowanie klientów. Na targach funeralnych można przebierać w trumnach, urnach i nietypowych rozwiązaniach. Firma Diament Pamięci oferuje przetwarzanie włosów albo szczątków zmarłego w diament. Kamień można oprawić i nosić w postaci pierścionka czy medalika. W ten sposób zmarły będzie zawsze przy nas obecny.

Sposobów na wiecznie żywą pamięć jest znacznie więcej. Ostatnio chociażby popularne stały się fotorelacje z pogrzebów. Także nowe technologie, które na dobre zagościły w naszym życiu, towarzyszą nam coraz częściej w ostatniej drodze. – Rynek pogrzebowy rządzi się takimi samymi prawami jak inne dziedziny życia. Jest popyt, jest i podaż. Osobom z zewnątrz może się to wydawać dziwne, ale musimy podążać z duchem czasu – mówi Agata Zawadzka. – Na ostatnich targach prezentowane były nagrobki z wbudowanymi kamerkami. Dzięki temu rodzina może obserwować, co się dzieje wokół grobu. Na Zachodzie coraz częściej spotyka się też płyty z kodami QR. Po zeskanowaniu smartfonem kodu można przeczytać



historię zmarłego, obejrzeć jego zdjęcia, dowiedzieć się o ważnych momentach z jego życia. W Polsce takie rozwiązania nie są jeszcze popularne, choć wiele firm decyduje się już na transmitowanie pogrzebu w Internecie. Żyjemy prędko, często nasza rodzina jest rozszarpana po całym świecie. Dzięki takim rozwiązaniom każdy może uczestniczyć w uroczystości – dodaje Zawadzka. Odpowiedzią na potrzebę zabieganego klienta są też ogrody pamięci, czyli strony internetowe, na których za drobną opłatą można zapalić wirtualny znicz. Nie trzeba już odwiedzać cmentarza, żeby okazać pamięć i szacunek zmarłemu. Na stronie można zostawić swoje wspomnienia, wysłać wiadomość do rodziny i złożyć wirtualną wiązkę kwiatów.

Końca nie ma

Portrety trumienne w polskiej tradycji sięgają XVI w. Tworzenie wizerunku zmarłego to jeden ze sposobów oswa-

Nieboszczyk jest traktowany jak wymagający klient, do którego potrzeb należy się dostosować.

jania się ze śmiercią. Wrocławska firma Styks oferuje klientom wykonanie „ostatniego portretu”, który jest wspólną odpowiedzią na malarstwo pogrzebowe. Jest to kilkuminutowy film przedstawiający zmarłego, na który składają się jego zdjęcia i wspomnienia. – Ostatni portret to nie tylko pamiątka dla rodziny, ale także materiał, który pozwala oswoić się z tematem odchodzenia. Zależało nam na tym, żeby pokazać, że śmierć wcale nie musi być końcem wszystkiego. Zamiast więc tworzyć materiały z pogrzebu, chcemy utrwalić w pamięci rodziny żywy ob-

raz zmarłego. Zdjęcia, które dostajemy od najbliższych, często wcale nie pochodzą z ostatniego okresu życia. Pokazują szczęśliwych, uśmiechniętych ludzi. Takich, jakimi byli – mówi właścicielka domu pogrzebowego Styks.

Nowego charakteru nabierają nie tylko pamiątki po zmarłych, ale też cała uroczystość. Od kiedy w Polsce pojawiły się pogrzeby świeckie, częściej odchodzi się od tradycyjnego wyglądu ceremonii. Koszaliński dom pogrzebowy Wrotniewscy na swojej stronie informuje: „Organizujemy pochówki w obrzędzie świeckim, wzbogacone o elementy charakterystyczne dla zainteresowań, pasji lub profesji osoby odchodzącej. Zmarłego motocyklistę żegnała kawalkada motorów, kapitana żegluga wielkiej »szklanki« wybijane na okrętowym dzwonie, zmarłego harcerza capstrzyk i pieśń »Płonie ognisko w lesie«. Jesteśmy otwarci na każdy scenariusz, bez względu na płeć, wyznanie, preferencje polityczne”.

Pojawienie się na pogrzebach mistrzów ceremonii to również zmiana, która wiele wniosła do obrządku i nadała mu indywidualny charakter. – Dawniej mowa pogrzebowa bardziej przypominała CV. Miała schematyczny charakter i opierała się w dużej mierze na przywołaniu najważniejszych dat z życia zmarłego. Dziś bazuje się na emocjach. Więcej mówi się o tym, jakim ktoś był człowiekiem, wspomina się go w konkretnych, prywatnych sytuacjach, opowiada o jego życiu – mówi właścicielka Styksu.

Siła tradycji

Kiedy przegląda się oferty domów pogrzebowych, nietrudno się zorientować, że śmierć się skomercjalizowała. Nieboszczyk jest traktowany jak wymagający klient, do którego potrzeb należy się dostosować. Na pogrzebie można zamówić koncert z ulubionymi piosenkami zmarłego, zorganizować pokaz slajdów i puścić film. W ofercie firm pojawiają się piny ze zdjęciem odchodzą-



cej osoby, które można wpiąć do kłapy marynarki, produkowane są czekoladki z imieniem zmarłego na papierku i napoje energetyczne z napisem „droga do raj”, które producent zachwala jako idealne rozwiązanie na stypę. Konfrontując się z mnogością rozwiązań, można ulec wrażeniu, że pogrzeb już niewiele się różni od wesela. Można zrobić sesję zdjęciową, nakręcić film, a nawet zamówić makijaż dla nieboszczyka. W końcu kto powiedział, że śmierć ma być straszna i odrażająca.

Na szczęście oferty nie przekładają się w pełni na rzeczywistość. Choć domy pogrzebowe prześcigają się w ciekawych i zindywidualizowanych propozycjach, to ich właściciele przyznają, że wciąż najczęściej pochówek organizowany jest w bardzo tradycyjny sposób. – Klient, który odwiedza dom pogrzebowy, to osoba, która w gruncie rzeczy nie chce skorzystać z naszych usług. To nie jest jak w banku czy w biurze podróży, gdzie ludzie są pozytywnie nastawieni do wszelkich promocji i nowości. Przekonanie klienta do skorzystania z nietypowej oferty jest więc wyjątkowo trudne. Trauma związana ze śmiercią bliskiej osoby nie daje dużo przestrzeni do rozmowy – tłumaczy właścicielka domu pogrzebowego Styks.

Pogrzeb już niewiele się różni od wesela. Można zrobić sesję zdjęciową, nakręcić film, a nawet zamówić makijaż dla nieboszczyka.

Kolejnym ograniczeniem są po prostu pieniądze. – W ostatnich latach zasiłek pogrzebowy drastycznie się zmniejszył. Kiedyś stypy to były duże imprezy, z alkoholem i ciepłym posiłkiem. Dziś to raczej skromne spotkania rodziny przy herbacie i ciastku. Z jednej strony wynika to z funduszy, z drugiej z faktu, że rodzina w dzisiejszych czasach nie jest już tak silną jednostką. Często zdarza się, że bliscy widzą się od ślubu do pogrzebu, niewiele ich łączy, więc i potrzeba do wspólnego spotkania jest mniejsza – tłumaczy Jan Szczuciński z domu pogrzebowego Służew.

Zmiany tradycji pogrzebowych można też upatrywać w migracjach.

– Dawniej przywiązanie do ziemi i lokalnych zwyczajów było znacznie więk-

sze – mówi Agata Zawadzka z Polskiego Towarzystwa Pogrzebowego. – Dziś niewiele osób zna te obrzędy, nie mówiąc już o ich praktykowaniu. Kiedyś chociażby panował zwyczaj chowania panny czy kawalera w białym stroju. W dzisiejszych czasach te pojęcia mocno straciły na znaczeniu. W końcu nie każda niezamężna kobieta jest panną. Wiele zmienił też fakt dopuszczenia przez Kościół katolicki możliwości kremacji zwłok. Jeszcze 30 lat temu krematoria kojarzyły się jednoznacznie z Holokaustem, dziś to coraz popularniejsze rozwiązanie. Choć rozsypywanie prochów wciąż jest u nas zakazane, to sam fakt posiadania bliskiego w takiej postaci wiele zmienia w podejściu do tematu

śmierci. Ciało to już nie gryzione przez robaki zwłoki, lecz zapakowany w piękną urnę proszek – tłumaczy Zawadzka.

Ze śmiercią im do twarzy

Młode projektantki działające w duecie Lessdesign zaprojektowały urnę, na której znajduje się uśmiechnięte zdjęcie zmarłego. La Urna bardziej przypomina wnętrzański gadżet niż pudełeczko na prochy. Jest wykonana z dobrego materiału, świetnie zaprojektowana i bardzo estetyczna. W opisie produktu projektantki tłumaczą, że ich urna idealnie wzbogaci każde wnętrze. Choć pomysły na „uśmiechniętą śmierć” wydaje się trochę ryzykowny, to niewykluczone, że wkrótce takie podejście do tematu odchodzenia stanie się normą.

Na Zachodzie od pewnego czasu popularny jest trend na ekopogrzeby. Skoro używamy ekologicznych kosmetyków, jemy tylko biowarzywa i dbamy o przyrodę, to dlaczego by nie odchodzić z tego świata w biodegradowalnej trumnie, z której w przyszłości wyrośnie drzewo? W końcu śmierć to nic innego, jak ostatni akt, który – jak całe życie – można sobie wyreżyserować.

Polskie społeczeństwo jeszcze nie dojrzało w pełni do nekrorewolucji, choć zmiany powoli się wkradają. Również dzięki emigrantom, którzy coraz chętniej osiedlają się w naszym kraju. – Od kilku lat organizujemy pogrzeby społeczności wietnamskiej, które wyglądają zupełnie inaczej niż nasze – mówi Jan Szczuciński z domu pogrzebowego Służew. – Są o wiele weselsze, głośniejsze i bardziej spontaniczne. Pałają się kadzidła, gra muzyka, nad grobem toczą się dyskusje. W Polsce pokutuje przeświadczenie, że dobry pogrzeb to taki, na którym wszyscy płaczą. Kiedy jednak rozmawiamy o tym, jak chcemy, żeby wyglądało nasze pożegnanie, to najczęściej słyszy się „żadnych łez”. Jak tłumaczy Szczuciński: – Przemysł pogrzebowy jest wieczny. Ludzie nie przestaną umierać, ale sposób, w jaki odchodzą, na pewno można zmienić.



NOWY NUMER w sprzedaży, a w nim m.in.:

- prof. Antony Beevor / Upadek Stalingradu nie oznaczałby jeszcze niemieckiego zwycięstwa
- prof. Grzegorz Motyka / To Borowiec stworzył „pierwszą UPA”, ale banderowcy ukradli mu nazwę
- Michał Kurkiewicz / O tym, jak katolicki ksiądz z sowieckiej partyzantki został kapelanem berlingowców



Available on the App Store



Google play

POBIERZ APLIKACJĘ NA SWÓJ TABLET

www.historia.uwazamrze.pl

SYLWIA KAWALEROWICZ

Nawróceni na rzemiosło

Nie zawsze doceniali umiejętności swoich rodziców. Początkowo próbowali się buntować i podążać zupełnie inną drogą. Dzisiaj odkrywają na nowo **introligatorstwo, kaletnictwo czy szewstwo** i kontynuują rodzinną tradycję, nadając rzemiosłu nowoczesny wymiar.

Do piwnicy prowadzi wyłożony kamieniami chodniczek. Pierwsze rzucają się w oczy stuletnie maszyny o dziwnych kształtach. Wielkie żelazne wajchy, przekładnie i koła. Z lewej stoi wysoka prasa do wyciskania wzorów na papierze. Jest ogromna gilotyna do przycinania kartek i znacznie mniejsza bigówka, która służy do zaginania stron. W piwnicznym wnętrzu piętrzą się też na półkach stopy papierów, w upychanych gdzie się da pudełkach leżą porozsypane metalowe czcionki. Jest też dziwna ramka do zszywania zeszytów i dziesiątki wysłużonych narzędzi. – Są też rzeczy, które nie wiem, do czego służą – przyznaje właściciel piwniczki Łukasz Zbieranowski. Mały zakład introligatorski należał do jego ojca. Dzisiaj Łukasz rozkręca w nim własny rękodzielniczy biznes – papierniczą markę Nieladaco.

Po papierowej stronie życia

„Przydomowe przedsiębiorstwo produkcyjne w okolicach Koluszek w Łódzkiem” – głosi napis na zeszytce z okładką władny oldschoolowy wzór przywodzący na myśl lata PRL-u. Jest jeszcze dopisek „gołymi rękoma”. Wszystko się zgadza. W małej piwniczce w domu w Starych Koluszkach Łukasz własnoręcznie produkuje notesy i zeszyty. Na co dzień razem z kumplem

prowadzi znane studio graficzne Fajne Chłopaki. Projektuje logotypy, identyfikacje wizualne, robi plakaty i reklamy. Niedawno postanowił połączyć swoje zamiłowanie do vintage'owego designu, który jest ich znakiem rozpoznawczym, z ręczną robotą „w papierze”.

Zwrot w stronę rzemiosła był dla Łukasza związany z potrzebą głębszej zmiany w życiu. – Straciłem dystans, za dużo pracowałem, non stop pod presją. Umysłowiłem sobie, że to galopowanie to droga donikąd. A robienie ręcznych rzeczy otwiera człowiekowi głowę, uświadamia, że można pracować inaczej. Ze niektórych rzeczy nie da się zrobić szybciej. Precyzja nie znosi pośpiechu. Milimetr w tę czy w tamtą i efekt jest niezadowalający. Żeby to było autentyczne, trzeba być takim, jak przedmioty, które się tworzy. Więc trzeba zwolnić tempo.

Ze swoimi zeszytami i notesami zadebiutował na świątecznym kiermaszu Mustache Yardsale w grudniu ubiegłego roku. Przygotował ich ponad 2000. Chce propagować ręczną robotę i dobry design. I coś jeszcze. – Mimo że korzystam z dobrodziejstw technologii na co dzień, jestem wciąż po papierowej stronie życia. Denerwuje mnie to, że cały czas tylko klikamy. Niedługo zapomnimy, jak się trzyma w ręce długopis – martwi się Łukasz. Dlatego chce zachęcać do od-

Łukasz Zbieranowski odziedziczył zakład introligatorski po ojcu. Dziś Łukasz rozkręca w nim własny rękodzielniczy biznes – papierniczą markę Nieladaco.

ręcznego pisania. W dobrze zaprojektowanych i ręcznie wykonanych zeszytach i notesach. – W dzisiejszym świecie panuje bylejakość, bo wszystko można cofnąć. Robimy milion zdjęć, mówimy, że potem wyselekcjonujemy, nie mamy na to czasu i zostajemy z milionem kiepskich fotek. Pisanie na papierze wymusza zupełnie inne podejście do czynności, jaką się wykonuje – tłumaczy Łukasz, który – trochę ku własnemu zdumieniu – podąża w ślady ojca.

Jego tata był chemikiem, ale nie czuł się z tym dobrze. Jego pasją zawsze były książki. Rzucił więc pracę w zakładzie i został introligatorem. Maszyny znalazł na złomie. Posprzedawał, co miał, i kupił resztę sprzętu. Wyposażył piwniczkę.



Zdał egzamin w cechu rzemieślniczym i zaczął prowadzić własny biznes. Do tej pory na oknie domu wisi tabliczka „Introligatorstwo Andrzej Zbieranowski. Z zażaleniami zgłaszać się do cechu”. Do 2005 r. regularnie oprował dzienniki ustaw i Monitor. Ale pracy było coraz mniej. Klienci odchodzili, sięgali po masowy asortyment. Rzemieślników zaczęły zastępować maszyny. Kiedy Łukasz był dzieckiem, tata często zaprzęgał go do pomocy w warsztacie. Jednak jak większość nastolatków Zbieranowski junior nie chciał mieć nic wspólnego z tym, co robią rodzice. Poszedł na psychologię i wyprwadził do Łodzi. Zajmował się promocją kultury, w końcu został grafikiem. Rzemieślnictwo zaczął dla siebie odkrywać

niedawno. – Pod koniec życia ojca zacząłem robić u niego w pracowni jakieś swoje rzeczy, podpytywać o różne techniki i widziałem, że bardzo go to cieszyło. Że jego fach nie zginie, że ktoś chce kontynuować jego pracę. Zacząłem sobie użmyślawiać, że taka umiejętność to skarb. Grafików jest wielu. Ludzi, którzy potrafią coś własnoręcznie wykonać, jest znacznie mniej – tłumaczy Łukasz.

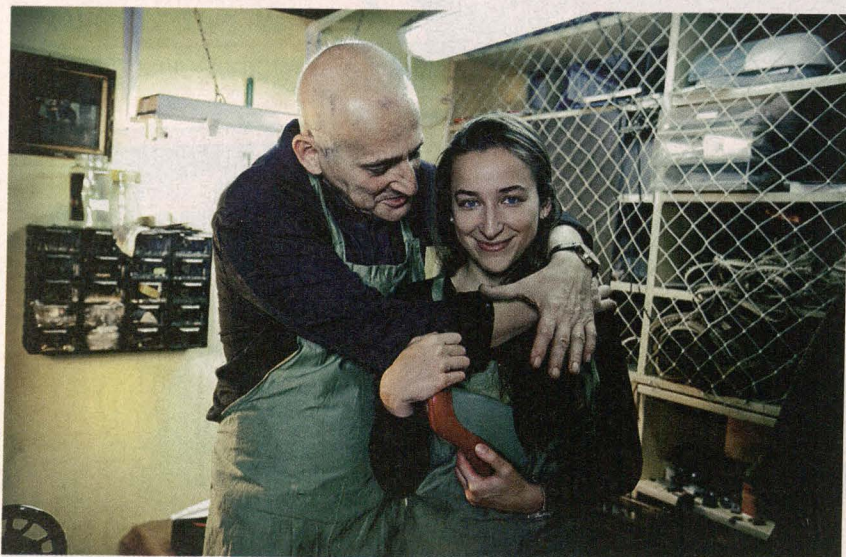
Tradycja szewska w najnowocześniejszej odsłonie

Niemalże te same słowa wypowiada Aga Prus, roztawiając w swoim warszawskim mieszkaniu pudełka z butami, które sama zaprojektowała. Jako pierwsza kobieta w rodzinie zaczęła konty-

nuować rzemieślniczą tradycję i zajęła się ręcznie robionymi butami na miarę. Jako dziewczynka nie sądziła, że kiedyś będzie z dumą mówić o tym, że jej dziadek i ojciec parali się szewstwem. Dzisiaj rodzinna tradycja stała się dla niej bardzo ważna i to ona leży u podstaw obuwniczej marki, którą stworzyła. – Nie że bym robiła to z poczucia misji. Zrozumiałam jednak, że taka tradycja to prawdziwy skarb. Zawsze wydawało mi się, że dziadek i ojciec szewc to nie jest coś, czym warto się chwalić. A teraz nagle zdałam sobie sprawę z tego, że owszem. To jest powód do dumy – mówi Aga.

Jej dziadek Brunon Kamiński był jednym z najbardziej znanych szewców w powojennej Warszawie. Klientki go

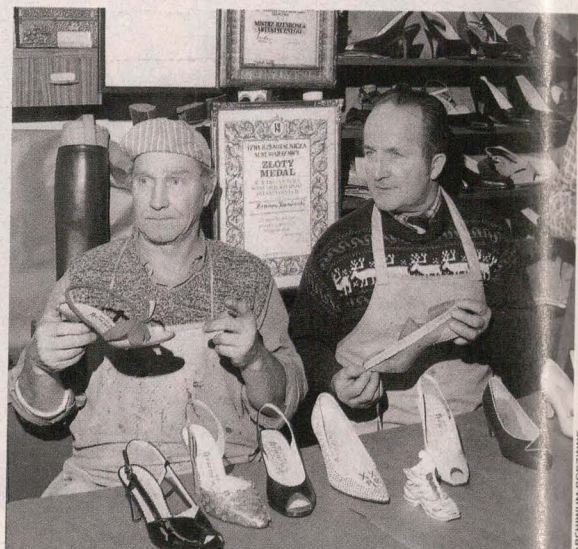
uwielbiały. W latach 60. robił buty dla Mody Polskiej, Xymena Zaniewska zamawiała u niego buty dla swoich prezenterek. Bywały u niego Irena Santor, Beata Tyszkiewicz, partyjni dygnitarze i ich żony. Do Warszawy Kamiński przyjechał ze wsi Pszczółki na Pomorzu. Przed wojną terminował u szewca na Smolnej. Po wojnie wrócił i ruszył w okolice, które znał. Znalazł najmniej zrujnowane gruzi i w kamienicy na tyłach Nowego Świata założył pracownię. Budynek stoi do dzisiaj. Na parterze wciąż działa zakład szewski, który prowadzi bratanek



Aga Prus pracuje z ojcem. Ona projektuje, on szyje. Szewską pasję Aga odziedziczyła po dziadku Brunonie Kamińskim, jednym z najbardziej znanych szewców powojennej Warszawy.

je zaprojektowała. Wykonał je zaś ojciec Agnieszki, który fachu uczył się od teścia. – Tata wzenił się w rzemieślników – tłumaczy Aga. Ona sama skończyła architekturę wewnątrz na ASP. Pracowała jako grafik. Jednak podobnie jak Łukasz w pewnym momencie poczuła, że się w tym zapędziła. – Byłam zmęczona pracą w studiu graficznym. Codzienna rutyna zaczęła mi przeszkadzać. Pasja zaczęła być obowiązkiem i coś chciałam zmienić – tłumaczy. Wtedy wpadła na pomysł, by zacząć robić buty. Namawiał ją do tego tata. On wiedział jak, ale nie za bardzo wiedział co.

pracy w pełnym wymiarze godzin. Najpierw jednak jest etap projektowania – Aga zaczyna od rysunków, potem kreśli na kopycie, przekładając koncepcję z 2D na 3D, zaznacza linie, gdzie ma być szycie, gdzie cięcie, jak but ma być otwarty, jaką ma mieć wysokość. Daje to tacie a on robi wykroje, konstrukcję, szyje próbną cholewkę. Dobrze im się razem pracuje i od kiedy widują się codziennie, lepiej się dogadują, choć nie brakuje punktów zapalnych. – Oboje jesteśmy uparci, impulsywni, bywa gorąco. Zwłaszcza jak mała córeczka krzyczy ojcu nad uchem



ARCHIWUM RODZINNE

Ona miała pomysły. – Postanowiłam dodać nową wartość do tradycji, rzemieślnicze podejście wzbogacić o współczesny pierwiastek. Przekonać kobiety, że buty od szewca mogą być fajne, nowoczesne, choć robione tradycyjnymi metodami. Pierwszą kolekcję sygnowaną nazwą AGA PRUS Handmade Shoes pokazała na łódzkim Fashion Weeku w kwietniu ubiegłego roku. Przygotowała 15 par butów, żeby zaprezentować swoje możliwości. – Gdyby nie tata, nigdy nie mogłabym wystartować z takim biznesem. Wiele osób chciałoby projektować buty, ale nie mają z kim pracować, nie mogą znaleźć zaufanego, dobrego fachowca albo ich na to nie stać. Bo ręczna robota jest droga – tłumaczy.

Zrobienie jednej pary butów zajmuje cztery–pięć dni ciężkiej fizycznej

„do roboty!”, pilnuje terminów i zagania do pracy, bo trzeba wyrobić się z terminami – opowiada Aga i dodaje, że na szczęście tata ma do tego dystans. – Widzi, że to, co robie, się podoba, więc mi ufa, choć czasem próbuje forsować własne pomysły – śmieje się.

Poszła z torbami ojca

O tym, że warto wrócić do korzeni i przychylnym okiem spojrzeć na rodzinny biznes, przekonana jest też Julia Seferynowicz, która od ojca uczy się nie tylko pracy ze skórą, ale i prowadzenia biznesu. Skończyła architekturę, ale nie pracuje w zawodzie. Zajął się modą i rok temu zadebiutowała jako projektantka skórzanych toreb. Choć skończyła trzydziestkę, wszystkie posunięcia związane ze swoją marką konsultuje z ojcem. – On

ma doświadczenie i najczęściej racja jest po jego stronie – tłumaczy. – Jedną z najważniejszych rzeczy, których się nauczyłam, pracując z ojcem, jest pokora – przyznaje.

Wychowała się w światku harleyowców. Jej ojciec już od ponad 20 lat zajmuje się produkcją akcesoriów i skórzanych sak w motocyklowych. Wszystko robi sam ręcznie w swojej łódzkiej pracowni. Julka od małego zaglądała mu przez ramię, coś tam dziurkowała, zszywała. Nigdy jednak nie przyszło jej do głowy, by jakoś wykorzystać umiejętności ojca. Pomysł narodził się z konieczności. – Zawsze noszę przy sobie tony rzeczy. W razie wojny muszę mieć wszystko ze sobą – śmieje się Julia. Ponieważ żadna torba tego nie wytrzymała, zwróciła się o pomoc do taty, który na co dzień produkuje niemal pancerne sakwy z grubej skóry, szyte silnymi niemi, zbijane ciężkimi ćwiekami – może mógłby uszyć równie wytrzymałą torbę dla niej. Tata wysłuchał, jak taka idealna torba powinna wyglądać, i zabrał się do roboty. Tłumaczył, jak rozkładają się przeciążenia, jak pracuje skóra. Tak powstała pierwsza torba projektu Julii. Duża, solidna, surowa. Potem druga udoskonalona wersja. Wtedy znajomi zaczęli pytać, skąd taka fajna torba. – Feedback był bardzo pozytywny i nagle zaczęłam się zastanawiać, czy może nie warto przypadkiem „pójść z torbami” – żartuje Julia. Pomysł, jak się okazuje, przyszedł w dobrym momencie – akurat była zima, kiedy ruch w biznesie motocyklowym jest mniejszy. Pan Józef mógł się więc zająć pomysłem córki na spokojnie. – Miał więcej czasu i poświęcił go mnie – tłumaczy Julia. Tak powstał Dziki Józef. Nazwa nawiązuje do harleyowej tradycji. Na początku miał być Wild Joe. W końcu jednak stanęło na polskiej wersji. – Czasami ktoś mnie pyta, czy nie jest mi szkoda, że moja marka nazwana jest imieniem taty. Moim zdaniem świetnie się sprawdza i zapada w pamięć. Dzika Julia nie brzmiałaby tak dobrze – twierdzi projektantka. Podobnie jak Aga Prus Julia z ojcem też miewa spięcia. Zazwyczaj o porządek w pracowni. – Szybko się nauczyłam, że wszystko trzeba odkładać

na miejsce – śmieje się Julia. Choć potrafią się pokłócić i obrazić na siebie, Julia twierdzi, że nie ma nic lepszego niż rodzinny biznes. – Sytuacja idealna – dwie osoby, które chcą tego samego – pracują na siebie nawzajem, do wspólnego woreczka. Nie ma lepszego układu. Skoro mogę się od niego uczyć, powinnam to wykorzystywać. Szybciej nauczę się, obserwując go, niż na własnych błędach – zapewnia. Podobnie jak Aga ciężką robotę ze skórą zostawia ojcu. Sama odpowiada za prace wykończeniowe – przycina nitki, pastuje i szlifuje krawędzie, wybija na torbie kolejny numer.

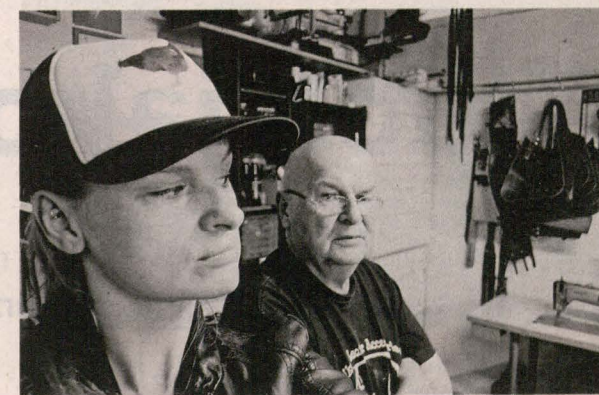
Sila w niszy

Coraz więcej młodych osób zaczyna dostrzegać, że rodzinna tradycja to coś, z czego warto być dumnym i co warto kontynuować. Powoli zaczynamy rozumieć, że nie warto zaprzepaścić umiejętności, które bezpowrotnie giną w nierównej walce z masową maszynową produkcją. – Fachowców, którzy potrafią coś wykonać, jest coraz mniej – tłumaczy Łukasz. – Trzeba pilnować, by przejmować od nich te umiejętności, bo jeszcze chwila i nie będzie miał kto nas nauczyć. Trzeba będzie na nowo wyważać drzwi, które były już otwarte – dodaje. Choć coraz łatwiej im funkcjonować w świecie, w którym coraz modniejsze stają się ruchy typu „slow” stawiające na produkty lokalne, dobrze wykonane, rękodzieło, wciąż nie jest łatwo.

Cały czas trudno przekonać odbiorców, że wyroby rzemieślnicze muszą mieć swoją cenę. Przyzwyczajeni do masówki krzywo patrzemy na buty za 1000 złotych. A ręczna robota przecież kosztuje. Niestety, choć ręcznie wytwarzane przedmioty są w porównaniu z fabrycznymi drogie, ich twórcy wcale nie zarabiają kokosów. Ani Aga, ani Julka, ani Łukasz nie liczą na razie na wielkie zyski. – Gdybym chciała zarabiać dużą kasę, na pewno bym się nie zajęła rękodziełem – zapewnia Aga i dodaje: – Nie ma się co oszukiwać, że nagle wszyscy zwrócą się ku rzemiosłu i zamiast do sieciówek będą biegać do szewca czy kaletnika. Mnie wystarczy małe grono stałych klientek, które będą



MARIAN ZUBRZYCKI



ARCHIWUM RODZINNE

Julia Seferynowicz stworzyła markę Dzikie Józef – to seria superwytrzymałych toreb, które projektuje, korzystając z rad ojca harleyowca.

do mnie wracać. I tak się dzieje. Już teraz niektóre wracają do mieszkania na piętrze przy Nowym Świecie po drugą, trzecią parę butów. Łukasz też dostrzega światelko w tunelu: – Ludzie zaczynają widzieć, że użyteczność przedmiotów nie jest jedyną wartością. Zaczynają dostrzegać dobry design, estetykę. Powoli staje się ważne to, jaką przedmiot ma za sobą historię. Jeszcze trochę trzeba poczekać, ale ludzie zaczną to naprawdę doceniać.



Jan Himilbach wziął mnie na kolana i powiedział: „Pierwszy raz trzymam coś innego niż butelkę wódki”. O dzieciństwie spędzonym na planach filmowych, domu dziadków i o swoim filmie „Baczyński”, który właśnie wchodzi na ekrany kin, opowiada reżyser Kordian Piwowarski → 62



MARCIN RÓŻYC

DZIĘKI UPRZEJMOSCI GALERIEI, ISTANBUL

Ciuch jako dzieło sztuki

Moda w polskich galeriach sztuki pojawia się rzadko. Zawsze w tle – nigdy jako pierwszoplanowa bohaterka wystaw. Na szczęście ten sezon **przełamuje kuratorskie uprzedzenia i stereotypy**.

Nowoczesne placówki artystyczne zaczęły traktować modę jako pełnoprawną dziedzinę kultury, wzornictwa i sztuki. W ubiegłym roku warszawska Królikarnia odkryła przed nami dorobek Sary Lipskiej, nowoczesnej polskiej projektantki i artystki, która w międzywojniu miała swój butik w Paryżu, a Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie zaprosiło współczesnych artystów do zaprojektowania modowych witryn w ramach projektu „Krzyk mody”. A to do-

Tilda Swinton w filmie Husseina Chalayana „Nieobecna obecność”, 2005

piero przedsmak wielkich, związanych z modą wydarzeń, które tej wiosny odbędą się w Polsce. Co najmniej trzy prestiżowe instytucje zajmujące się sztuką współczesną potraktują modę zupełnie poważnie. Już nie jak dodatek do sztuki, ale sztukę samą w sobie.

Pierwsza międzynarodowa wystawa mody w Polsce otworzy się 15 marca w Toruniu. Modę do kujawsko-pomorskiej stolicy sprowadziła Dobriła Denegri. Urodziła się w Belgradzie, z wyboru jest jednak rzymianką, a z zawodu

dyrektorką programową Centrum Sztuki Współczesnej w Toruniu, które stało się drugim, obok Rzymu, domem kuratorki. Wystawa „Cuda niewidy” to część toruńskiego cyklu „Expanding Boundaries” („Poszerzanie granic”). Chodzi oczywiście o poszerzanie granic mody, która mierzy się tu m.in. ze sztuką i nowymi technologiami.

– Kiedy przygotowywałam wystawę „Cuda niewidy”, chciałam znaleźć i wysunąć na plan pierwszy projekty, które kwestionują konwencjonalne pojmo-

wanie mody jako czegoś funkcjonalnego i wygodnego w noszeniu, a także podważają przekonanie, że moda to coś zbytecznego, ulotnego, poddanego rytmowi przemian i konsumpcji. Fascynują mnie projekty eksperymentalne, które łączą ubranie z wyrafinowanymi rozwiązaniami technologicznymi i tworzą żywe, inteligentne, ulegające przekształceniom obiekty – relacjonuje Denegri.

Cwiazdą wystawy „Cuda niewidy” będzie Hussein Chalayan, jeden z najważniejszych współczesnych projektantów, który zrównał modę ze sztuką. Kreator jest cypryjskim Turkiem, urodził się w Nikozji, ale mieszka i pracuje w Londynie. Chalayan zapisał się w historii mody jeszcze w czasach studenckich w 1993 r., kiedy w ramach dyplomowego pokazu na Central Saint Martin's College of Art and Design w Londynie pokazał ubrania w procesie rozkładu. Wcześniej zakopał je w ogrodzie po to, by uległy częściowej destrukcji. Niezwykle i nieco obrzydliwe stroje docenili nie tylko kuratorzy, kolekcjonerzy czy krytycy sztuki. Kolekcję kupił ekskluzywny londyński dom towarowy Browns. Bezprecedensowy zakup był ważnym znakiem powolnej zmiany pojęcia luksusu, który staje się coraz bardziej inteligentny i twórczy.

DNA z ubrań

Hussein Chalayan do dziś tworzy ubrania przekraczające granice mody, a jego pokazy to jednocześnie wyrafinowane projekty artystyczne. W Toruniu zobaczymy m.in. film Chalayana „Nieobecna obecność” z Tildą Swinton w roli głównej. Film reprezentował Turcję podczas Biennale w Wenecji w 2005 r. Swinton zagrała w nim biolożkę, która na zlecenie rządu brytyjskiego stara się wyodrębnić ludzkie DNA z używanego ubrania należącego do potencjalnej emigrantki. Na podstawie kodu genetycznego właścicielki stroju ma powstać trójwymiarowy elektroniczny klon realnej kobiety. Wirtualna emigrantka

Chalayan pokazał ubrania w procesie rozkładu. Wcześniej zakopał je w ogrodzie po to, by uległy częściowej destrukcji.

zostanie przetestowana pod kątem ewentualnej możliwości zamieszkania w Londynie. Wideo jest głosem w sprawie paranoicznej polityki imigracyjnej i coraz bardziej drobiazgowej kontroli osób, które chcą zamieszkać na Wyspach.

Innym, nieco bardziej osobistym filmem, który zostanie pokazany w Toruniu, jest słynne „Miejsce przejścia” z 2003 r. Dzieło łączy w sobie design, sztukę wideo i modę. Androgyniczna modelka ubrana w białe, skrajnie minimalistyczne ubranie wyrusza w symboliczną podróż. Przemieszcza się w hipernowoczesnym wehikule o opływowych, futurystycznych kształtach. Pojazd to doskonała samowystarczalna maszyna do przemierzania ogromnych dystansów – sama serwuje jedzenie, kiedy trzeba, napęnia się wodą lub staje się łóżkiem. Podróż zaczyna się w Londynie, kończy w Istambule, nad cieśniną Bosfor. Bohaterka filmu przemierza wymarłe wielkomiejskie krajobrazy, autostrady, wyjąłowane pola, krainy skute lodem i pokryte śniegiem. „Miejsce przejścia” łączy modę, wzornictwo, film, animację i doskonałą muzykę. Kontemplacyjny obraz przedstawia podróż między cywilizacjami, między Europą, w której Chalayan żyje, a Azją, z której poniekąd się wywodzi. Wehikuł przypomina ponadto samowystarczalne i wielofunkcyjne łono matki, które oferuje ciepło i bezpieczny transport. Film interpretowany bywa również jako studium wpływu technologicznego i komunikacyjnego rozwoju na jednostkę ludzką.

Modowe science fiction

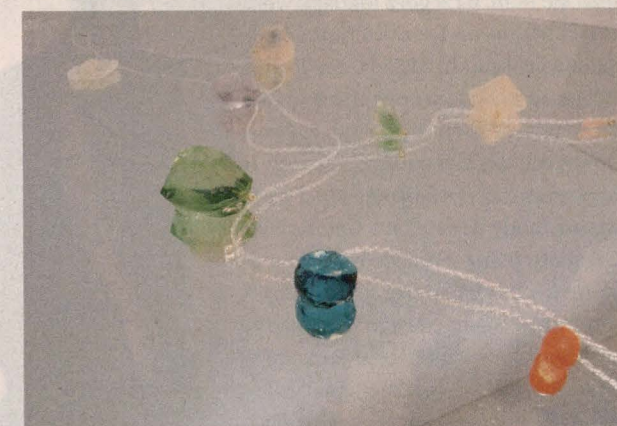
W Toruniu spotkamy się też z Iris van Herpen, holenderską projektantką, która regularnie stawia się na Tygodniu

Mody Haute Couture w Paryżu. Haute couture to wyrafinowane krawiectwo różniące się od kolekcji gotowych do noszenia (prêt-à-porter). Ubrania haute couture powstają zwykle na zamówienie, są przygotowywane z luksusowych tworzyw i bardzo często wykonywane ręcznie. Noszą je niemal wyłącznie miliarderki, gwiazdy zakładają je, gdy mają stanąć na czerwonym dywanie. Wysokie krawiectwo jest najczęściej anachroniczne i kojarzy się z tradycyjnie pojmowaną elegancją i luksusem: drogie tkaniny wysadzone kamieniami i ubrania zdobione misterną koronką. Iris van Herpen to bodaj jedyna projektantka haute couture, która temu radykalnie przeczy. – Van Herpen redefiniuje pojęcia luksusu i drogocności – kwituje Dobriła Denegri. Suknie kreatorki to futurystyczne szkielety wykonane ze specjalnie wymyślonych przez holenderkę tworzyw. Modelki

Kadr z filmu Husseina Chalayana „Miejsce przejścia”, 2003, poniżej: „Zwierciadło tży – klejnot”, kolekcja biżuterii z ludzkich łez, substancji spożywczej, cukru, Tomoko Hayashi, 2011



DZIĘKI UPRZEJMOSCI GALERIEI, ISTANBUL



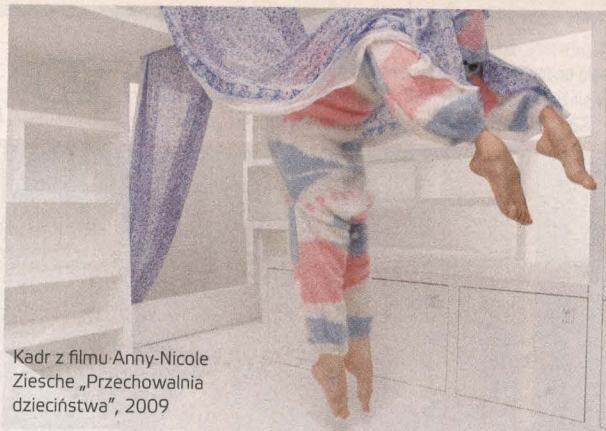
DZIĘKI UPRZEJMOSCI ARTYSTKI

na pokazach van Herpen przypominają potwory z modowego science fiction. Do historii mody przeszła również sukienka w kształcie rozlewającej się wody, naelektryzowany złoty kombinezon i trójwymiarowe nadruki.

Oprócz słynnych twórców w Toruniu pojawiają się również mniej znane, ale bardzo ważne modowe nazwiska. Pochodząca z Kobe projektantka tkanin i artystka Tomoko Hayashi pokaże biżuterię wykonaną z łez uwiecznionych w cukrowej substancji spożywczej przypominającej bursztyn. „Zwierciadło łyż – klejnot” z 2001 r. to projekt, który sugeruje, że najistotniejszym składnikiem mody są silne emocje. Może to być zarówno radość, jak i smutek. Zobaczymy również psychoanalityczny film projektantki Nicole Ziesche. Artystka wiernie odtworzyła swój dziecienny pokój po to, by zbadać wpływ dziecięcych wspomnień na dorosłe życie. Warto też zwrócić uwagę na kolekcję Yuimy Nakazato, uznanego przez magazyn „Dazed & Confused” za „jednego z najbardziej ekscytujących” młodych projektantów z Tokio.

Wystawa jak butik

Z kolei wrocławianie powinni przygotować się na olbrzymią dawkę polskiej mody. Na początku kwietnia w galerii BWA Dizajn otwarta zostanie wystawa „Szafa Polska”. Ekspozycja będzie zwieńczeniem cyklu, w ramach którego przez ostatnie dwa lata w BWA odbywały się spotkania z najciekawszymi polskimi projektantami debiutującymi w latach 1990–2010. Wśród nich znaleźli się m.in. Grzegorz Matłag, twórca marki Maldoror, Leszek Chmielewski, założyciel brandu Marios, czy Paulina Plizga, mieszkająca i pracująca w Paryżu. Wystawa skupi się na dziejach najnowszej polskiej mody. Jej organizatorzy dystansują się od zestawiania mody ze sztuką. – Galeria BWA Dizajn to jedna z niewielu w kraju instytucji poświęconych stricte projektowaniu. Pojęcie „design” jest na tyle pojemne, że nawet w celu emancypacji mody – jako poważnej działalności twórczej – nie ma potrzeby powoływa-



Kadr z filmu Anny-Nicole Ziesche „Przechowalnia dzieciństwa”, 2009



Kołnier z kolekcji Any Rajcević „Zwierzę: Druga strona ewolucji”, 2012

Poniżej: plastikowy strój z kolekcji Kima Hagelinda „Oscylony”, zainspirowanej przez elektroniczne abstrakcje Bena F. Laposky'ego, 2011



ALEXANDER DAHL, DZIĘKI UPRIEMOŚCI ARTYSTY

nia się na kategorię „sztuki”. Czasem się zapomina, że moda to po prostu gałąź wzornictwa przemysłowego – twierdzi Michał Niechaj, kurator projektu.

Tytuł wystawy nawiązuje do filmu dokumentalnego „Szafa Polska 1945–1989”. BWA uzupełnia dzieje polskiej mody o lata 1990–2010 i tworzy ekspozycję stricte historyczną. Nie oznacza to jednak, że zobaczymy tu zakurzony manekiny czy inscenizacje scenek z epoki.

Wystawa zaaranżowana zostanie w formie butiku, który dzięki gigantycznym witrynom zdominuje jedną z głównych arterii handlowych Wrocławia – ulicę Świdnicką. „Szafa Polska” zwraca w ten sposób uwagę na modowy potencjał metropolitalnych ulic, z których modę wysysają dziś centra handlowe. Przestrzeń galerii BWA zdominuje gigantyczny neon

Mody Polskiej. Relikt, który pozostał po PRL-owskim domu mody, od lat zdobył secesyjną kamienicę na wrocławskim Rynku Głównym. Groziło mu zniszczenie, a nawet wyrzucenie na śmietnik. Obiekt, ocalały i odrestaurowany, był jednym z najbardziej charakterystycznych elementów wrocławskiego krajobrazu. Znalazł się też na ikonicznej fotografii Chrisa Niedenthala. Na zdjęciu widać gigantyczną kolekcję zgromadzoną przed salonem w 1982 r. Dokumentalne dzieło sztuki również pojawi się w BWA Dizajn.

Odrestaurowany neon będzie oczywiście tylko tłem dla współczesnej polskiej mody. Na wystawie zobaczymy chociażby kreacje Arkadiusza z kolekcji „United States of Mind” (wiosna – lato 2004), w której pojawiły się m.in. ikoniczne białe suknie w kształcie zakrwawionego gołębia, a także polityczno-symboliczne nadruki: symbol dolara, gwiazda Dawida, fragmenty flagi USA. – Kolekcja odnosi się do nielegalnej inwazji USA na Irak. Wyraża sprzeciw nie tylko wobec działań Stanów Zjednoczonych, ale także tak zwanych ass lickers, czyli sojuszników USA takich jak Wielka Brytania czy Polska – wyjaśnia Arkadiusz.

Wśród projektów zaangażowanych pojawi się także wampiryczna kolekcja „The Accuser” (Oskarżyciel) Maldorora, inspirowana muzycznym performance'em Diamandy Galas „Plague Mass”, który odbył się 1990 r. w katedrze św. Jana w Nowym Jorku. Artystka, naśladując biblijny język, potępiła społeczeństwo i Kościół rzymskokatolicki piętnujący ofiary epidemii HIV/AIDS dziesiątkującej Amerykę i Europę Zachodnią na przełomie lat 80. i 90.

Postpunk i konceptualizm

Kolejne bezprecedensowe i jak na razie najbardziej tajemnicze przedsięwzięcie, które z pewnością wstrząśnie polskimi galeriami, to program rezydencjonalny Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie. W marcu w Laboratorium – budynek zamkowego Arsenału – zamieszkają przedstawiciele dwóch grup artystycz-

nych, dla których tworzywem i punktem odniesienia jest moda.

– Moda jest świadomym wyborem wynikającym z naszych kuratorskich zainteresowań. Artyści posługujący się w swojej twórczości modą dobrze wpisują się w akcyjny, performatywny charakter naszych rezydencji. Dla mnie bardzo ciekawe jest obserwowanie tego, jak artyści przekraczają jej granice i zmierzają w różnych kierunkach – opowiada Ika Sienkiewicz-Nowacka, główna kuratorka A-I-R laboratory.

Na początku marca w Warszawie pracę artystyczną rozpoczęła grupa LVMM, którą współtworzą absolwentki Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Antwerpii: Laura Welker, Valeria Farina, Manon Kundig, Sabrina Fischer, Shell Woods i Raket Fernandez. Oprócz awangardowych kolekcji ubrań i dodatków artystki budują instalacje. Dziewczyny tworzą postpunkowe, śmieciarskie, antykonsumpcyjne dzieła sztuki, które stały się symbolem nowego antwerpskiego undergroundu.

W kultowym butikiu w galerii Ra w Antwerpii podczas walentynkowego przyjęcia powstał ogromny, różowy namiot w kształcie fallusa. W namiocie artystki z LVMM dokonywały pornograficznego pastiszu przy użyciu kwiatów



ZUZANNA KALUZNA

Oprócz awangardowych kolekcji ubrań i dodatków artystki z LVMM budują instalacje. Dziewczyny tworzą postpunkowe, śmieciarskie, antykonsumpcyjne dzieła sztuki, które stały się symbolem nowego antwerpskiego undergroundu.

i owoców. Udawane porno relacjonowane było bezpośrednio w Internecie.

LVMM to jednak nie tylko wywrotowa sztuka. W ich modowych kolekcjach artystki ignorują zasady tradycyjnie pojmowanej estetyki. – Jednym z elementów naszej twórczości jest badanie, testowanie granic estetycznych i łączenie wysokiego z niskim po to, by odkryć nieznane terytoria sztuki – opowiada Laura Welker.

Przerysowane sylwetki ubrań kolektorywu wyglądają jak rzeźby ze śmieci. Masywne sandały LVMM wykonane są z tworzyw używanych do produkcji obuwia ortopedycznego. Na przełomie maja i czerwca LVMM pokaże projekt stworzony specjalnie dla CSW w Warszawie. Pod koniec maja w Zamku Ujazdowskim pojawi się z kolei rumuńska

Po lewej: Emilia Tikka, kolekcja: „Ciało zewnętrzne”, 2012, po prawej: kolekcja Arielle de Pinto/LVMM, wiosna-lato 2013



DZIĘKI UPRIEMOŚCI LVMM

grupa Apparatus22, która używając mody, tworzy konceptualną sztukę. Artyści zaprezentują się również podczas Biennale w Wenecji.

Fantazja o drugiej skórze

Nie chodzi o to, by nadać modzie rangę sztuki – to sprawa drugorzędna. Moda to przede wszystkim produkt kreatywnej gospodarki, który może, ale nie musi być sztuką. Moda to również dziedzina kultury, w ramach której powstają filmy, performance'y, wystawy czy akcje artystyczne. Moda wpływa nawet na architekturę – rewitalizuje i estetyzuje urbanistyczne przestrzenie, lokuje się w dobrze zaprojektowanych budynkach.

Prestiżowe polskie instytucje zaczęły w końcu zauważać kulturotwórczy potencjał ubrania. Nieważne, czy traktują je jako obiekt designu czy tworzywo i punkt wyjścia dla sztuki. Ważne, że modę w Polsce zaczyna się traktować poważnie i przestaje ona być jedynie fanaberią celebrytów. Marzena Nowak, jedna z najważniejszych polskich artystek współczesnych, twierdzi, że „moda to marzenie, fantazja o drugiej skórze, za pomocą której możemy się stworzyć na nowo”. To chyba wystarczający argument, by ubranie badać również w przestrzeni galerii.

DOMINIKA WĘCŁAWEK

Więcej komiksów dla najmłodszych

– Chcemy, żeby komiksy były znów dla dzieci – mówi **Maciej Gierszewski**, redaktor prowadzący nową serię w wydawnictwie Centrala. Bo wbrew obiegu opinii większość albumów ukazujących się w naszym kraju kierowana jest do odbiorcy dorosłego. To przede wszystkim poważne powieści graficzne dotyczące społecznych problemów, wysmakowane artystyczne wizje, komiksy historyczne i autobiograficzne.



„Norka zagłady” Tomka Samojlika rozpocznie serię Krótkie Gatki przygotowaną przez wydawnictwo Kultura Gniewu

Ongrys od kilku lat przygotowuje reedycje popularnych w latach 70. i 80. zabawnych opowieści z życia Kubusia Piekelnego rysowanych przez Szarlotę Pawel. W ofercie ma także wznowienia fantastycznie ilustrowanych, niesamowitych fabularnie komiksów Tadeusza Baranowskiego. Zresztą nie tylko ono. Kultura Gniewu w ubiegłym roku przypomniała choćby „Bezdomne wampiry”. Sam Baranowski wydaje też na własną rękę przeznaczone dla kolekcjonerów numerowane albumy w twardej oprawie, w ekskluzywności swoich działań posuwając się do serii ograniczonej do zaledwie trzech

egzemplarzy komiksu. Bez kłopotu można nabyć nowe wydania przygód Kajka i Kokosza czy Asteriksa i Obeliksa. Egmont publikuje komiksowe zeszyty z przygodami Kaczora Donald, W.I.T.C.H., są historie ze świata „Gwiezdnego Wojen” i kilka odcinkowych serii publikowanych na łamach czasopisma „Fantasy Komiks”. Kto ma życzenie, bez kłopotu skompletuje też przygody młodego belgijskiego reportera Tin Tina czy rysowane już współcześnie przygody 12-letniej Lou. Nie wygląda to imponująco, zwłaszcza jeśli zdamy sobie sprawę z tego, że komiks jako medium mocno się rozwinął.

Jaskółki

Niesmiałe próby łatania dziur i publikowania współczesnych albumów dla dzieci i młodzieży w ostatnich latach podejmowali w zasadzie wszyscy polscy wydawcy. Jedną z najwyższ ocenianych zeszłorocznych premier wydawnictwa Centrala, czyli przewrotna opowieść Toma Gaulta zatytułowana „Goliat”, reklamowana była jako idealny prezent na Pierwszą Komunię Świętą. Także „Wiktor i Wisznu” Jeroena Funke oraz „Samotny Matador” Jaya Wrighta z katalogu Centrali to albumy szczególnie lubiane przez młodych czytelników. Polskie Stowarzyszenie Komiksowe, organizator festiwalu Komiksowa Warszawa w 2011 r., przygotowało darmową, przyjazną najmłodszym czytelnikom antologię „Jazda”. Jan Mazur, koordynator i pomysłodawca projektu, wspomina, że wszystko zaczęło się od pomysłu na prosty gadżet, który nie będzie nikogo do niczego na siłę przekonywał, ale dzięki fajnym historiom najwyczejniej okaże, że komiks jako medium może być wart uwagi. W 24-stronicowej książeczce znalazły się rysowane specjalnie z myślą o tej publikacji historie autorstwa m.in. Mikołaja Ratki, Agaty Wawryniuk czy Piotra Nowackiego. Ten ostatni ma w dorobku dwa darmowe minialbumy doskonale nadające się dla dzieci: „OM” i „MOE”.

Kultura Gniewu kilka lat temu wydała drukiem rzecz ciekawą, dłuższy komiks bez słów przeznaczony dla odbiorcy w każdym wieku, czyli „Louis na Plaży” Guya Delisle, twórcy „Kronik Birmańskich” i „Pyongyang”. Również jeden z najlepszych polskich komiksów ostatnich lat, przeszycona realizmem magicznym „Lauma” Karola Kalinowskiego, postrzegana była jako odpowiednia lektura zarówno dla dorosłych, jak i małoletnich czytelników. – Oba albumy zostały bardzo dobrze przyjęte, a to, że mamy je w katalogu, wielokrotnie ratowało nas na przykład na festiwalach, kiedy do naszego stoiska podchodził rodzic z dzieckiem i chciał jakiś komiks właśnie dla niego – mówi



Szymon Holcman z KG. I dodaje, że teraz wybór będzie większy.

Przebudzenie

W 2013 r. Centrala i Kultura Gniewu ruszają z osobnymi seriami wydawniczymi. Jak mówi Maciej Gierszewski, opiekun Centrali, wydawnictwo z Poznania do tego pomysłu przygotowywało się już od trzech lat. Zaczęło się od międzynarodowego konkursu na komiksy przeznaczone dla dzieci oraz młodzieży ABCEDEX. I to właśnie laureat ubiegłorocznej edycji Martin Ernsten jest pierwszym autorem, którego komiks został przez Centralkę wydany. – „Pustelnik” to opowieść o chłopcu, który spędza samotne wakacje u babci. Historia opisuje rozwój przyjaźni między dwojgiem bohaterów, przedstawia różne sposoby radzenia sobie z nudą. Dodatkowo autor

podejmuje problem rozumienia przez małe dziecko fantazji i rzeczywistości – wyjaśnia Gierszewski. Myślą przewodnią serii jest hasło „Komiksy dla dzieci mądrych rodziców”.

Podobna idea zdawała się przyświecać wydawcom z Kultury Gniewu, którzy także z planami intensywnego poszerzania oferty nosili się już od dawna, bo od 2008 r. – Pomysł pojawił się na chwilę przed narodzinami mojej starszej córki albo chwilę po nich. Wszyscy w wydawnictwie zgodziliśmy się wtedy, że trzeba stworzyć nową linię wydawniczą z komiksami dla dzieci. Mieliśmy wtedy nawet nazwę Mała Kultura i rozglądaliśmy się intensywnie za tytułami. Wkrótce potem zaczął się kryzys, pojawiły się problemy z hurtowniami i musieliśmy odłożyć ten pomysł na półkę. Dzisiaj do niego wracamy – wyjaśnia Holcman. Pod nową

REKLAMA

PRZE
KROJ

patronuje

Płyta już w sprzedaży!

KAYAX
MUSIC

Goście; Paulina Przybysz, Natalia Lubrano, Marsija, Orgonek, Bunio

FOX

PATRONI MEDIALNI

PRZE
KROJ

HIRO

VCE

muo!

dlaStudenta.PL

cojestgrane

PIANETA.fm

www.facebook.com/foxboxalbum ; www.kayax.net/sklep



nazwą Krótkie Gatki startują od premiery komiksu „Norka zagłady” Tomasa Samojlika. Co ciekawe, komiks tego samego autora, „Bartnik Ignat i skarb puszczy”, ukaże się jeszcze w tym roku w Centralce. Wygląda więc na to, że wydawcy pokochali tego rysownika i scenarzystę. – Jest po prostu absolutnie fantastycznym komiksiarzem, doskonałym naukowcem, który potrafi w swoich albumach w atrakcyjny sposób tę przebogata wiedzę sprzedać. On najpełniej wcielił w życie maksymę Papcia Chmiela znaną z „Tytusa, Romka i A’Tomka” – ucząc, bawiąc, ucząc – wyjaśnia Holcman.

Tomek Samojlik, doktor Zakładu Badania Ssaków PAN, zaczął tworzyć z myślą o dzieciach, gdy odkrył, ile koszmarnych błędów i bzdur przyrod-

Komiksy „Ryjówka przeznaczona” (plansza po lewej) i „Ostatni zubr” Samojlika wydał Instytut Biologii Ssaków Polskiej Akademii Nauk

nicznych kryją książeczki dla najmłodszych. – Wynikiem tej złości była moja pierwsza książka o zubrze Pompiku – mówi Samojlik. Dodaje, że po pierwszej publikacji stworzył jeszcze trzy z tym właśnie bohaterem, wszystkie zaś spotkały się z niesamowicie pozytywnym odbiorem. Debiutancki komiks, wydany przez PAN „Ostatni zubr”, był natomiast odpowiedzią na potrzeby czytelników nieco starszych, uczęszczających już do gimnazjum. Obecnie Samojlik ma na koncie już sześć książeczek i trzy komiksy. – Po prostu wymyślałem historię, która przede wszystkim ma być ciekawa dla mnie. Jeśli mnie nie wciąga, to dlaczego miałbym ją rysować? – pyta retorycznie. Pierwszymi czytelnikami jego komiksów zawsze są własne dzieci. Potem koledzy

przyrodnicy. Na żadnym z etapów nie ma mowy o pobłażliwości. I to chyba największy sekret. Samojlik, podobnie jak większość dobrych autorów, nie traktuje protekcyjnie swojego odbiorcy.

Z podobnego założenia wyszła Rutu Modan. Jej „Uczta u królowej” to narysowana charakterystyczną czystą kreską ciepła opowieść o tym, że brudne dzieci to szczęśliwe dzieci i że czasem nawet królową uwiera dworska etykieta. Taki przekaz zachęci najmłodszych czytelników do sięgania po opowieści obrazkowe. I dobrze, bo to najlepszy sposób, by nauczyli się właściwej kolejności odczytywania tekstów, dostrzegania związków przyczynowo-skutkowych i wrażliwości artystycznej.

i Rzeczpospolita



Gdziekolwiek jesteś, korzystaj z najświeższych informacji o Polsce, współczesnym świecie, prawie i gospodarce.

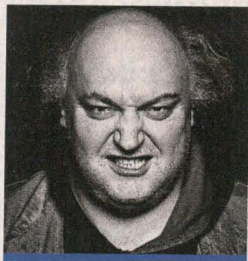
Pobierz aplikację w App Store i Google Play już dziś.

RZECZPOSPOLITA

rp.pl / zakupy

Maciej Nowak

Szczęściem pederasta



ARTUR KOT

A może teatr na tym właśnie polega, że jest błazeński i tandetny, awanturujący się i gorszący? A jednocześnie piekielnie skuteczny, jako ogniskowa społecznych emocji.

Gdy w „Rzeczpospolitej” czytam wywiad z cudownym aktorem Grzegorzem Małeckim, oburzonym, że współczesny teatr opanowały pedały, to zastanawiam się, gdzie się panie Grzegorzu przez te lata chował? Ze świetnej teatralnej rodziny pan przecież pochodzi! W pełni rozumie zaskoczenie i oburzenie prezydenta Lecha Wałęsy, który życie spędził w sferach stoczniowo-rządowych, gdzie do takich uchybień towarzyskich nikt się łatwo nie przyznaje. Ale w teatrze?! Już Aleksander Bardini mawiał, że odkąd na scenie i w kulisach władzę przejęły pedały, Żydzi nie mają tam co robić. Bardini nie żyje prawie dwie dekady, spostrzeżenie to poczynił na długo przed śmiercią, więc nietradycyjna seksualność rządzi w teatrze dobrych kilka dziesiątek lat. A pewnie dużo, dużo dłużej. Zresztą, nie wszyscy artyści na to narzekali. W 1891 r. Gabriela Zapolska pisała do Stefana Laurysiewicza z Paryża, gdzie zatrudniła się w jednym z teatrów, jako aktorka: „Dyrektor teatru jest bardzo dobry i szczęściem pederasta, więc daje mi pokój, a tylko chce mnie dobrze postawić na nogi...”.

Grzegorz Małecki dał się ponieść emocjom i myślowemu frazesowi. Ale to nie dziwne, bo frazes i błazeństwo rządzi środowiskiem teatralnym od wieków. Opowiadają o nim Weronika Szczawińska i Agnieszka Jakimiak w „Artystach prowincjonalnych”, zrealizowanych w Teatrze Powszechnym w Łodzi. Inspiracją dla spektaklu jest film Agnieszki Holland, ale czy dobrze rozumiecie przesunięcie semantyczne, dokonane przez realizatorki? Holland w 1978 r. nakręciła „Aktorów prowincjonalnych”, my w 2013 r. oglądamy prowincjonalnych... artystów. Bo przecież nie tylko o aktorów chodzi, lecz całą teatralną branżę na łódzkiej scenie reprezentowaną przez Aktorkę (Aleksandra Listwan), Aktora (Jakub Kotyński), Reżysera (Piotr Wawer jr) i Krytyka (Arkadiusz Wójcik).

W rozpędzonych jak rozklekotana landara, pobrzmiewających Wyspiańskim i Gombrowiczem frazach Agnieszki Jakimiak z radością odnajduję banały i liczmany naszej teatralnej debaty. Reżyser: „Zawsze

Autor jest teatrologiem, szefem Instytutu Teatralnego, smakoszem, autorem barwnych recenzji kulinarnych. U nas pisze o premierach teatralnych.

chciałem, żeby było blisko życia i od życia jak najdalej. Zawsze chciałem, żeby było zgodnie z prawdą i niezgodnie z prawdopodobieństwem. Zawsze chciałem, żeby było najrealniej, ale nie realistycznie. Zawsze chciałem, żeby było odpowiednio, ale nieodpowiedzialnie”. Aktorka: „Czy dobrze mi się tu wygląda?”. Aktor: „Sam wiem, co i jak powiem, sam wiem, gdzie się tu usadowię, sam się potrafię umieścić, sam siebie osadzę w treści. Wiem sam, jak ja to wszystko zagram, nikt mnie po kątach rozsądzać nie będzie, nikt mi paluchem wytykał kierunku, nikt mi nie będzie dyktował warunków. Skoro jestem myślący, wiedzący i odgrywający, nie będę na scenie błędzący”. I w końcu Krytyk: „Czy napięcie nie opadnie? Czy będzie to spektakl dramatyczny, z dramatycznymi rolami, dramatycznym przebiegiem i dramatycznym finałem? Czy będzie w nim litość, czy będzie w nim trwoga, czy wyjdę z teatru wstrząśnięty i oczyszczony?”.

Mnie najbardziej bawią komunały recenzenckie, bo odkąd w pierwszej połowie XIX w. Wojciech Majcherek założył Towarzystwo Iksów, ciągle stawiamy teatrowi te same zarzuty i szulerujemy tymi samymi zgranymi kartami. Od 200 lat polscy aktorzy czytają, że ich ze sceny nie słycać, że nie umieją nosić stylowo dawnych kostiumów, że wypowiadają pospolite słowa i treści, nieprzystające sztuce wysokiej, jaką jest teatr. Że nie porywają i że bulwersują, że gorszą i nie doprowadzają do katharsis. Czy katharsis w ogóle dotyka kogokolwiek poza recenzentami i Gienią Wątróbkową, która – jak mawia jej małżonek – lubi się w teatrze splakać? Ho, ho, przy awanturze, jaka wybuchła w 1924 r., gdy aktorka Mila Kamińska pokazała się, jak ją Pan Bóg stworzył w spektaklu „Żywy Budda”, dzisiejsze narzekania na mokre przedstawienia to zaiste mała bania. A może generalnie teatr na tym właśnie polega, że nawet w swych rzekomo najwyższych przejawach jest błazeński i tandetny, awanturujący się i gorszący? A jednocześnie piekielnie skuteczny, jako ogniskowa społecznych emocji. ☞



„Artyści prowincjonalni”
Agnieszki Jakimiak,
reż. Weronika
Szczawińska,
Teatr Powszechny
w Łodzi,
spektakle: 18–21.04,
godz. 19.15



MATERIAŁY PRASOWE

ROZMAWIA JACEK TOMCZUK

Baczyński jak Hamlet

Kordian Piwowarski opowiada o ojcu, debiucie u boku Katarzyny Figury i kolanach Jana Himilbacha. Właśnie nakręcił film o Krzysztofie Kamiliu Baczyńskim.

Kordian. Rzadkie imię.

Podobno dziadek czytał przy posiłkach Juliusza Słowackiego. Ja jestem Kordian, mój brat – Cyprian, a siostra miała dostać Balladyna, ale stanęło na Karina. Inspiracje romantyczne są ewidentne.

A pan robi film o innym poecie. Ależ ten pana Baczyński to lalusz.

Im dłużej mu się przyglądałem, tym bardziej odkrywałem w nim sprzeczności. Ci, którzy jeszcze go pamiętają, opowiadali, jak tuż przed wybuchem powstania warszawskiego przyszedł do konspiracyjnego lokalu przy ulicy Focha po przydział butów dla swych żołnierzy. Ledwo trzymał się na nogach, bo musiał przebiec kilka ulic. Astmatyk, delikat-

ny, melancholijny jedynak, nie nadawał się na wojskowego. A został symbolem żołnierskiego poświęcenia. Małomówny, zamknięty w sobie, a dowodził plutonem. Nieśmiały, a zgłosił mieszkanie jako skrytkę na broń AK, co groziło śmiercią całej rodziny.

W jednej ze scen filmu Baczyński bierze udział w akcji wysadzenia pociągu na trasie Tłuszcz – Urle. Wszyscy, łącznie z nim jako dowódcą, zachowują się jak dzieci.

To były dzieci. Chłopcy po 16 lat. Krzysztof miał wtedy 22 lata. Z drugiej strony jego wiersze są niesamowitym dokumentem doświadczeń całego pokolenia, które zdecydowało się walczyć o wolną Polskę. Wiele osób pisało po-

ezję, ale to on najlepiej uchwycił wątpliwości swoich rówieśników. Dla mnie to współczesny Hamlet, który miał podobny dylemat – być czy nie być. Żyć tu i teraz, robić to, co się umie najlepiej, w warunkach, jakie stwarzali hitlerowcy, czy walczyć i zginąć.

Jan Kott opowiadał, że powstanie warszawskie było pierwszą rewolucją seksualną w XX w. Wszyscy wiedzieli, że zginą, ale nikt nie chciał umierać jako prawiczek i dziewczica. Miał pan szansę pokazać powstanie nieco mniej posagowo. Dlaczego u pana całe towarzystwo jest niewinne jak aniołki?

Warstwa dokumentalna była dla mnie ważna, nie chciałem od siebie nic dodawać: dialogów, opisów, głosu narra-

KORDIAN PIWOWARSKI

Urodzony w 1978 r. w Warszawie. Scenarzysta i reżyser filmów dokumentalnych, reklamowych, klipów i programów TV. Jako aktor zadebiutował w filmie swojego ojca Radosława Piwowarskiego – „Pociąg do Hollywood”. Współpracował m.in. z Andrzejem Wajdą przy „Katyniu”. Pierwszy film – „Jasność filozofów” – ukończył w 2011 r. Teraz na ekrany wchodzi jego „Baczyński”.

tora. Wszystkie słowa w filmie są albo Baczyńskiego, albo świadków, którzy go znali. Oczywiście wiem, że apetyt na miłość był wielki, ale trudno było go skosztować, bo gdzie? Mieszkania przeludnione, parki i bramy obstawione Niemcami. Jest w „Baczyńskim” scena, kiedy poeta zaczyna całować przyszlą żonę, Basię. Rozpędza się, sadza ją na stole i wtedy wchodzi do pokoju jego matka. Kiedy tę scenę pokazywaliśmy powstańcom, którzy pamiętają czasy Baczyńskiego, jedna z pań wstała z zarzutem: „Taka lubieżność w domu Baczyńskich nie mogła się zdarzyć!”. Intymność dla każdego ma inne granice. Zresztą matka Krzysztofa całkowicie nie akceptowała jego małżeństwa. Po ślubie pisała w liście, że straciła syna.

Robiąc film o poecie, chcieliśmy, by jego forma była jak najbardziej zbliżona do jego poezji. W przypadku Baczyńskiego nie było mowy o żadnej rewolucji seksualnej, a jego twórczość daleka jest od awangardowych tendencji, bliżej jej do romantyzmu. Stąd i film jest dość klasyczny.

Rzeczywiście, wątek homoseksualistów zakochanych w Baczyńskim pokazał pan wyjątkowo dyskretnie jak na dzisiejsze standardy.

Baczyński, jak byśmy dziś powiedzieli, był ikoną ówczesnej gejowskiej Warszawy. Chłopięcy, o kobiecych, szaroniebieskich oczach, włosy falujące. Jarosław Iwaszkiewicz czy Jerzy Andrzejewski chcieli go przeciągnąć na swoją stronę. Autor „Popiołu i diamentu” do końca życia trzymał jego portret na swoim biurku i nazywał „największą miłością”. Iwaszkiewicz zapraszał do siebie, do dworku w Stawisku, by leczył astmę, i rozmawiali całymi dniami. Po latach pisał: „Krzysztof wysunął się z moich ramion”. Co to znaczy? Do końca nikt nie wie.

Pana ojciec Radosław Piwowarski znany jest z dobrej ręki do młodych aktorów, to on zwrócił uwagę na Katarzynę Figurę, Annę Przybylską czy Marię Seweryn... Dlatego postawił pan na Mateusza Kościukiewicza, a nie któregoś ze znanych przystojnych blondynów?

Trzy lata temu, gdy zaczęliśmy zdjęcia do filmu, Mateusz był niszowym,

dobrze zapowiadającym się aktorem, choć już po „Matce Teresie od kotów”. Zadzwoiłem do jego agentki z propozycją, a ona powiedziała, że jej podopieczny już nie jest zainteresowany filmami, wybiera teatr. Tydzień później dostałem telefon, że jednak koniecznie chce zagrać Baczyńskiego! Podobno przyszedł do siedziby agencji, zobaczył na biurku scenariusz filmu i się zachwyił. Powiedział, że to jego ulubiony poeta i był zły, że nikt mu o tej propozycji nie powiedział. Wrócił chyba z Chin, był totalnie rozedrgany, podczas rozmowy wypalił paczkę papierosów. Po godzinie zapytał, kto będzie reżyserował. Myślał, że może Andrzej Wajda albo inny mistrz, a ja jestem tylko asystentem. Takie były początki naszej znajomości.

W filmie niemalże się nie odzywa.

Za to czyta parę wierszy. Mateusz ma trochę problemy z dykcją, podobało mi się, jak prawie mamrotał te utwory. On ma w sobie tajemnicę, głębię w oczach, pewien rodzaj minimalizmu, co nie jest powszechne wśród młodych aktorów. Na planie dochodziło do różnych spięć. Mateusz jest nieokrzesanym indywidualistą, czasami kontakt z nim jest ograniczony, ale gdy się angażuje, to już jak trzeba, staje na wysokości zadania. Tuż przed kręceniem ujęcia śmierci Baczyńskiego, kulminacyjnej sceny filmu, chodził dookoła, żuł gumę i wysyłał esemesy. Zastanawiałem się, co robi, denerwowałem się, że się nie skupi, nie wczuje. Gdy słyszał, że jest ujęcie, wyłączał telefon, wypluwał gumę i stawał się Baczyńskim.

Mój film zaczyna się od śmierci ojca. Krzysztof jest na wakacjach, nie pożegnał się z nim. Ojciec był piłsudczykiem i literatem. Gdzieś wyczytałem, że o pierwszych wierszach syna powiedział: „Nie czuć w nich zapachu ziemi”, co może być aluzją do wydelikacenia syna. To musiało być bolesne i obciążające, mam swoje przypuszczenie, że późniejsza cała działalność w podziemiu była rodzajem udowodnienia, że Krzysztof potrafi być żołnierzem, sprostać oczekiwaniu ojca.

Nie za prosta ta interpretacja?

Może tak mówię, bo sam mam ojca, który jest reżyserem i ocenia moją twórczość... A cały dom wypełniony był sztuką, obrazami babci i rzeźbami dziadka. Ciągłe trzeba było uważać, by czegoś nie zniszczyć.

„Wszystkie rzeźby były podobne. Wyglądały jak moja mama. Dom to był jeden wielki ołtarz – hold miłości ojca do matki” – mówił Radosław Piwowarski.

Niby mówiło się, że te akty to portrety babci, ale któregoś razu odkryliśmy z kolegami z liceum, że piersi każdej rzeźby są inne. Na pewno babcia była muzą dziadka, ale czy jedyną? Poznali się na ASP przed wojną, ich małżeństwo było mezaliansem. On pochodził z rodziny pszczelarzy z Miechowa pod Krakowem. Podobno, kiedy zdecydował się na naukę, jego ojciec spakował mu tobołek z najpotrzebniejszymi rzeczami, wyprowadził za wieś i wskazał kierunek na Zakopane. Dziadek, zatrzymując się w kolejnych gospodach, siedział tam dwa miesiące. Uczył się w słynnej Szkole Przemysłu Drzewnego u Antoniego Kenara. Babcia pochodziła z inteligencji inżynierskiej, była krewną Stanisława Przybyszewskiego. Jej ojciec budował kolej transsyberyjską, kolejne dzieci rodziły się na kolejnych stacjach.

Jakby tego było mało, moja mama też skończyła ASP, a jej ojciec, mój drugi dziadek, był fotografem. Wszystko to powodowało, że z jednej strony sztuka w domu była wszechobecna, nieustannie o niej się rozmawiało, ale trwała też nieustanna walka o wolność, przestrzeń do tworzenia. Ktoś musiał wyjechać, by się skupić i coś zrobić, ktoś był zazdrosny, bo trzeba zostać z dziećmi...

Moja babcia należała do stolika Edwarda Krasińskiego i Henryka Stazewskiego, który namówił ją na abstrakcję. To, co robił dziadek, to był realizm romantyczny, rzeźbienie postaci związanych z Warszawą, Walery Wątróbka, syrenki, które były prawdopodobnie różnymi muzami. Żyliśmy na styku awangardy i romantyzmu.

Debiutował pan w „Pociągu do Hollywood” kwestią „Fajna dupka, skąd ją znasz?”.

Na planach filmowych bywałem od dziecka. Kiedy tata zaczynał serial „Jan Serce”, miałem trzy lata. Jan Himilbach wziął mnie na kolana i powiedział podobno: „Pierwszy raz trzymam coś innego niż butelkę wódki”. Ojciec zabrał mnie kiedyś do mieszkania Himilbacha. Oni rozmawiali i pili wódkę, a ja siedziałem pod stołem i rozmontowałem z klepek porządny kawał podłogi. Gdy miałem 10 lat, zagrałem w „Pociągu do Hollywood”. Jest taka scena na dworcu we Wrocławiu, gdzie Katarzyna Figura wyciąga skrzynki piwa z pociągu, a ja idę z głównych bohaterem filmu. Miałem spojrzeć na Kasię i spytać: „Fajna dupka, skąd ją znasz?”. Tydzień przed zdjęciami cały trząsałem się ze strachu, że będę musiał coś takiego powiedzieć. Kiedy przyjechałem na zdjęcia, ojciec zobaczył, jak jestem spięty, zabrał mnie do hotelu, zaczął się wygłupiać, dał mi nawet banana, pomarańczę. I poszło.

Największe wrażenie zrobiła na mnie chyba ostatnia scena „Pociągu...” kręcona na jakimś olbrzymim żwirowisku. Fajerwerki, ogień, dymy, sztuczne szczury, wybuchy... Rozmach tego wszystkiego kompletnie mnie powalił, poczułem, że chcę robić to, co mój tata.

A o mało nie został pan hiphowcem. „Mam kaptur na głowie i czuję się okej, czuję się lżej, bo świata widzę mniej, hej”.

W liceum założyliśmy zespół Sin Semilla. Ja byłem Funky Cork. Nie rymowałem wtedy o ławkach i blokach. Pochodziliśmy z Żoliborza, inteligentnych rodzin. Nie byliśmy gangsterami jak Molesta. Byliśmy piewcami raczej jasnej strony życia. Energia i bądź sobą. Kiedy Robert Leszczyński pisał pierwszy duży tekst o warszawskim hiphopie, zauważył: „Kto w tych czasach nie jest hiphowcem, ten w przyszłości będzie nikim”. W tym samym artykule cytowano moje teksty. Wziąłem „Gazetę Wyborczą” i poszedłem pokazać to tacie.

Dawaliście mu posłuchać nagrań?

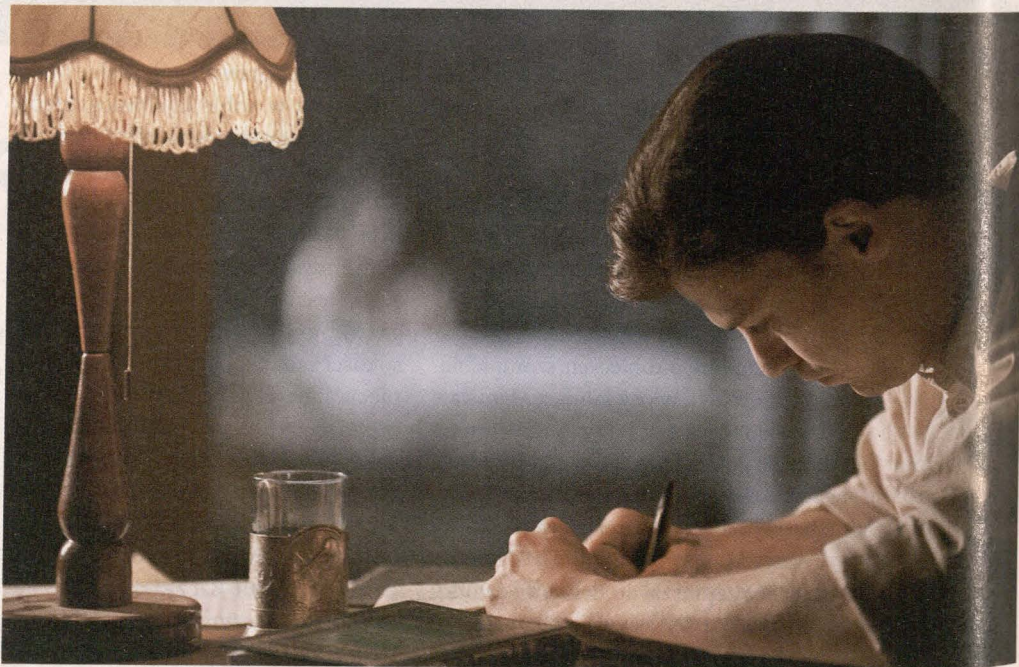
Nie mogliśmy za bardzo puszczać, bo za dużo nawijaliśmy o jaraniu trawy i zabawie.

Tata oczywiście powtarzał: „Tylko nie zostań filmowcem”. Wolał takie profesje jak bankier, lekarz, prawnik... Ale jak miałem zostać prawnikiem, skoro całe życie w domu kręciło się wokół filmu i kultury.

Zawsze można się zbuntować.

Ojciec często namawiał: „Musisz się zbuntować, bunt jest istotą życia i sztuki”. Tyle że on go rozumiał na swój sposób jako walkę. Bunt mojego pokolenia polegał na wycofaniu się, my to wszystko chcieliśmy poukładać po swojemu i na luzie. Siedzimy w parku, rymujemy i mamy swoje myśli.

Nie dostałem się do Filmówki, byłem ostatni pod kreską, pierwszy na liście re-



zerwowej. Udało mi się zdać dwie matury – polską i międzynarodową (po hiszpańsku) – więc zdecydowałem się na filozofię na uniwersytecie w Salamance. Chciałem wyjechać z Polski, wyrwać się z tego artystycznego kontekstu, przestać być synem Radosława Piwowarskiego. Ale po paru tygodniach przeznaczenie mnie dorwało. Dostałem telegram, że ktoś zrezygnował i mogę zaczynać w Ło-

dzi. Wróciłem i byłem totalnie zagubiony. Na filozofii uczyłem się, że dialog służy do dochodzenia do prawdy, a tutaj: w filmie rozmowa ma ukrywać intencje; tam: myślenie to odzieranie świata z pozorów, tutaj: wszystko jest inscenizacją, nawet dokumenty. Kiedy szedłem po tej strasznej Łodzi i patrzyłem na stojących w bramach alkoholików, przyszło mi do głowy, że przecież parę tysięcy lat temu w Grecji na wyspach też stali jacyś goście, patrzyli na morze, nic nie robili, tylko rozmawiali. I stąd narodziła się filozofia. Zderzyłem te dwie rzeczywistości i zrobiłem „Jaskinię filozofów”. Podrzucałem filozoficzne tematy tym autochtonom i filmowałem. Film został przebojem festiwalu studenckich na świecie, ale w szkole chcieli mnie oblać.

W Filmówce ciągle byłem synem Radosława Piwowarskiego. Wiadomo: „Ojciec załatwił mi wszystko, na bank”.

BIOGRAFICZNY

„Baczyński”
reż. **Kordian Piwowarski**
Polska, premiera 15 marca 2013, Studio Interfilm 2013, 67 min

A nie?

Wiadomo – ojciec jest artystą o wyrazistym stylu i strasznie to porównanie jest ciężkie. Może dlatego cisnąłem podświadomie w innym kierunku, filmy bardziej abstrakcyjne, pojęchane. Po Filmówce szukałem tematu na własny film, tata rzucił: „Zrób o swoim praprastrzyjku Stanisławie Przybyszewskim, to był niezły skurwysyn”. Przeczytałem

jego biografię i znalazłem do niej klucz. Postać krawca z Berlina. Przybyszewski przyjeżdża tam na początku lat 90. XIX w., ma 20 lat, niezwykłą charyzmę i puste kieszenie. Idzie do znanego krawca, który ma polskie korzenie i czasami szyje emigrantom na kredyt. Oczywiście Przybyszewski omotał go i wyszedł w nowym żółtym płaszczu, obiecując uregulować rachunek. I ten krawiec przez 30 lat próbował odzyskać pieniądze. W poszukiwaniu Przybyszewskiego rusza za nim w podróż po Europie, spotyka ówczesną bohemę z Augustem Strindbergiem i Edwardem Munchem na czele. Tak się zaczyna mój scenariusz „Żółty płaszcz”.

Tyle że zamiast robić debiut, zacząłeś kręcić „Na dobre i na złe”? Wkręcił cię ojciec?

Ożeniłem się i postanowiłem utrzymać się sam. Szukałem pracy. Podczas podróży poślubnej, w Zakopanem, odebrałem telefon. Ktoś powiedział, że mam szansę realizować serial w Sopocie. Ale trzeba natychmiast przyjechać. No to wsiadłem w pociąg i ruszyłem 750 kilometrów. Spotkanie, rozmowa, zobaczymy i wracam 750 kilometrów. Miałem parcie, żeby coś zrobić, a nie obijać się i żyć w cieniu ojca. Serial traktowałem jako początek. Zadzwoiłem producent „Na dobre i na złe” i dał mi na próbę odcinek. Ojciec dał mi cenną radę: „W serialu najważniejsze są pierwsza i ostatnia scena, reszta jakoś przeleci”. I tego się trzymam.

Miałeś kaca?

Na początku nie, ale po dwóch latach myślałem: „Rzucam, najwyższa pora zrobić coś swojego”.

Tylko za co zrobić?

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, jesienią ruszą zdjęcia do „Żółtego płaszcza”. W obsadzie Maria Bonnevie i Rainer Bock. Kiedy zobaczyłem Bocka w „Białej wstążce” Michaela Hanekego, pomyślałem: „To idealny krawiec dla Przybyszewskiego”. Udało się dostarczyć mu scenariusz i po trzech dniach zadzwonił: „To genialna historia, chcę w niej zagrać”.

Dorota Chrobak o filmach



reż. Kleber Mendonca Filho
Brazylia 2012, Stowarzyszenie Nowe Horyzonty, 124 min
★★★★

THRILLER

Sąsiedzkie dźwięki

Wspólnota sąsiedzka jako źródło cierpienia – zajęcia praktyczne. Razem z jadącą na rolkach nastolatką dostajemy się na teren zamkniętego osiedla w jednym z brazylijskich miast i zaczynamy je stopniowo poznawać. Wzajemne złośliwości, pies, który wyje całymi dniami, miłość, która rodzi się na jednej z imprez, i... tajemnicza ekipa ochroniarska, która obiecuje, że zaprowadzi tu porządek. Kleber Mendonca Filho zastosował inteligentny zabieg – tytułowe sąsiedzkie dźwięki znacznie wyeksponował kosztem obrazu, w efekcie czego więcej słyszymy, niż widzimy. A to z kolei sprawia, że jego film tętni specyficzną, pełną napięcia atmosferą zagrożenia.



reż. Thomas Vinterberg
Dania 2012, Kino Świat, 111 min
★★★★

DRAMAT

Polowanie

Obdarzona bujną wyobraźnią dziewczynka oskarża nauczyciela o molestowanie i tym samym zmienia jego życie w piekło – lokalna społeczność z góry zakłada, że mężczyzna jest winny. Film bardzo solidnie nakręcony i jeszcze solidniej zagrany (brawa dla całej obsady!). Szkoda tylko, że Thomas Vinterberg nieco ułatwił sobie sprawę: stworzył wzbudzającego sympatię bohatera, po czym skupił na dość przewidywalnej analizie socjologicznej (tylko czekać, gdy anonimowy kamień zbieje szybę), zamiast skierować kamerę na najciekawszą osobę dramatu, czyli kilkuletnią Klarę (zjawiskowa Annika Wedderkopp). To, co roi się w głowie tej niby małej, a przecież już dorosłej pannicy, zasługuje na dzieło osobne – i coś mi mówi, że byłby to horror.

Katarzyna Nowakowska o serialach

Komparatystyka stosowana

Świat seriali pełen jest przeróbek – lokalnych wersji udanych formatów. Porównywanie ich bywa sztuką dla sztuki, ale czasem warto wynieść z tego jakąś naukę czy choćby nauczkę.

Takie refleksje towarzyszyły mi podczas oglądania „Szkarłatnej wdowy” – amerykańskiej wersji holenderskiego serialu „Penosa”. Żona pomniejszego mafioza (Radha Mitchell) po śmierci męża zabitego w porachunkach musi podjąć jego nielegalny biznes. Decyduje się na taki krok, choć do tej pory stroniła od nielegalnej aktywności – ale oczywiście korzystała z zarobionych w ten sposób pieniędzy. Przykładna matka i żona przechodzi na ciemną stronę mocy i bierze udział w mafijnych rozgrywkach. Czy nie brzmi to znajomo? Ach tak, serial miał przecież także polską wersję zatytułowaną „Krew z krwi”. I o tym właściwie chciałam napisać: „Szkarłatna wdowa” powtarza schemat fabularny holenderskiego (i polskiego serialu), ale poza tym stanowi raczej niewyraźne odbicie oryginału. Przycięta do wymogów polityki amerykańskiej telewizji publicznej (ostrożnie z przekleństwami, przemocą i zapomnijcie o seksie) straciła smak. Co gorsza, straciła też prawdę psychologiczną. Intryga jest płaska, między aktorami brakuje chemii, a motywacje postaci brzmią fałszywie.

Natomiast polska wersja ma wszystko, co potrzeba: wyrazisty kolorystyczny lokalny, wiarygodnych bohaterów – nie wspominając o tym, o ileż Agata Kulesza jest lepszą aktorką od Radhy Mitchell... Pointa jest zaś taka, by nie szukać po szerokim świecie tego, co jest bardzo blisko.

„Szkarłatna wdowa” – polska premiera 14 marca, godz. 22, FOX Life.



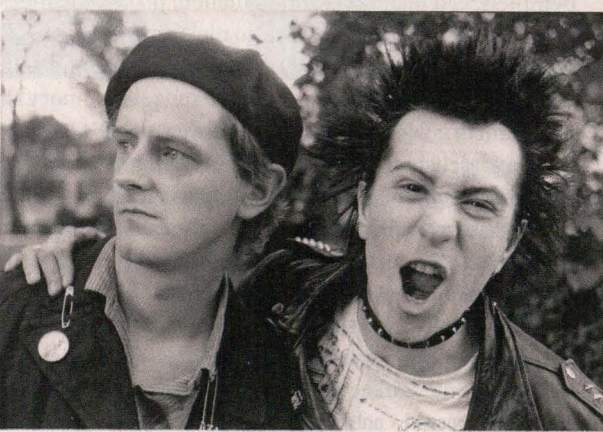
JACEK TOMCZUK

Bunt jako towar chodliwy

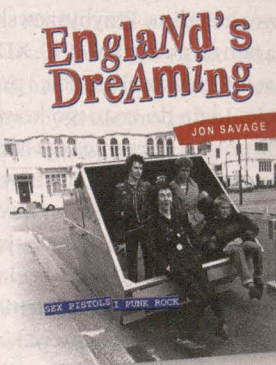
„England's Dreaming” to coś więcej niż opowieść o Sex Pistols i kompletna historia brytyjskiego punka. To książka o narodzinach kultury, w której dziś żyjemy.

Na początku był Sex. Na ścianach nadmuchiwane lalki i maski, halki z gumy, dociskacze sutków, pejsze, łańcuchy, buty z wysokimi na stopę obcasami. Do sklepu o tej krótkiej nazwie przy King's Road 430 w Londynie zapraszał napis z wielkich gąbczastych różowych liter. Oferowano rzeczy normalnie sprzedawane w 1973 r. tylko za pośrednictwem poczty. Tutaj wchodziło się do środka i wszystko leżało jak na dłoni. Jednak sztandarowym produktem butiku Malcolma McLaren'a były koszulki Vivienne Westwood. Dwa kwadraty materiału zszyte tak niedbale, jak to tylko możliwe, z dziurami na ramiona i głowę. Androgyniczne, pasowały do torsu jak ulał. Ciężki materiał przypominający filc świetnie nadawał się do nanoszenia sloganów. Ekipa Sex była zaprzeczeniem uprzejmości. Żeby coś kupić, trzeba było stoczyć z Westwood regularną walkę na wyzwiska. Ale to działało.

Sex był poligonem doświadczalnym notorycznego studenta szkół artystycznych i początkującej projektantki. Wcześniej sprzedawali tam płyty, garnitury zwane zoot suit, które para uznała za źródło rock'n'rollowego stylu, ciuchy z lat 40., kurtki nabijane ćwiekami, koszulki nadpalone papierosami. Zaczęli od nostalgii i kultu proletariackiej oszczędności, by skończyć na fascynacji kempem. Zaopatrywali się u nich hipisi, modsi, teddy



HISTORIA PUNK ROCKA
„NAJLEPSZA KSIĄŻKA O POPKULTURZE”
NEW MUSICAL EXPRESS



Jon Savage „England's Dreaming”
tłum. Marta Marciniak,
Axis Mundi 2013, 59,99
👍👍👍👍👍

boysi, skinheadzi, kibole, zooterzy, sytuacjoniści... Wszystkie dzieciaki, które chciały wzbudzać niepokój w swoim otoczeniu, czuć się wyjątkowo. Dzięki prowadzeniu butiku McLaren i Westwood poznali, jak funkcjonują subkultury, co się dzieje, gdy wchodzi w interakcję z mediami, przemysłem muzycznym, światem mody. Oboje czuli, że nadszedł czas wykorzystać to doświadczenie.

McLaren szukał zespołu, który będzie promować sklep. Założył, że w nazwie musi się znaleźć słowo sex. Długo przebierał, rozbijał inne grupy, wymieniał członków, nadawał pseudonimy. Umiejętności nie były najważniejsze. „Co? Co przez to rozumiesz? Po co? Nie, tylko do rytmu, a w ogóle to gram na skrzypcach” – odpowiedział John Lydon (później Rotten) na pytanie McLaren'a, czy umie śpiewać. Oczywiście znalazł się w grupie.

Kiedy McLaren skompletował zespół, John próbował się sprzeciwić, ale menedżer nie pozwolił na żadne protesty. Jak później wyjaśnił: „Nie miałem zamiaru tracić czasu z bandą wypierdków. Miałem konkretne plany, chciałem sprzedać kupę spodni”.

Graficznym manifestem Sex Pistols był obrazek przedstawiający dwóch kowbojów, którzy pozują w sobotnią noc przed wejściem do sali tanecznej. Obaj mają kowbojskie kapelusze, wysokie buty i są bez spodni. Jeden z nich,

w skórzanej kamizelce, chwytając za klapę wyblakłej kurtki Levi's swojego towarzysza. Znajdujące się na wysokości rewolweru dwa zwiroteczne penisy niemal się dotykają. Wywrotowy plakat czy reklama ciuchów?

Książkę „England's Dreaming” można oczywiście czytać jako kronikę dzikiego, anarchicznego karnawału, śmiałego zamachu na społeczne normy, próbę wywrócenia świata do góry nogami. Hasło „no future” stanowiło nie tylko wyraz bezsilnej frustracji i opresji. „No future” było też szansą, by zacząć wszystko od zera, myśleć o działaniu tu i teraz bez asekurancja i zważania na konsekwencje. „Niech będzie trzecia wojna, chcemy żyć od nowa”. Te ostre słowa mówiły o ówczesnej Europie coś, czego nie chciała usłyszeć. Punk był międzynarodową estetyką outsiderów: ciemny, plemienny, wyalienowany, pełen czarnego humoru. Szerzył się w 1975 r. z USA na Wielką Brytanię, a potem resztę Europy. Dla każdego, nieważne, w Polsce czy Japonii, kto czuł się wyrzutkiem z powodu przynależności do klasy społecznej czy agrafek w spodniach, Sex Pistols było magnesem, „piekielnym paliwem”.

Ale w książce Savage'a nie muzyka jest najważniejsza, lecz okoliczności, w jakich powstawała. Historia ze sklepem Sex to historia punk rocka w pigułce. Strój jako element szokowej terapii, którą młodzi buntownicy chcieli zaaplikować społeczeństwu („Niebieskie spodnie z zakładkami u góry i mankietami, plastikowe sandały i niebieski moherowy sweter. Fryzura na pieczarkę.”), seks we wszystkich perwersyjnych odmianach, natychmiastowe utowarowanie buntu. Cała idea Sex Pistols, jaką wyznaczył McLaren, oznaczała proces zamierzonego odudzenia się. Nowa estetyka chlubiła się barbarzyństwem, które miało być esencją punka cofającego się w czasie, do surowego rocka granego w latach 50. W ten sposób rozpoczął się proces recyklingu, który trwa do dzisiaj. 📺

Miłosz w kapsule czasu

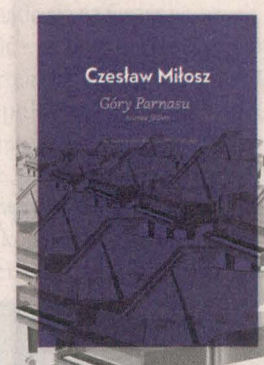
Powieść o tym, że nie da się już w XX w. pisać powieści? Science fiction, które można czytać jako autobiografię autora? Książka, którą jej twórca pozornie odrzucił, ale jednak przygotował do druku? „Góry Parnasu. Science fiction”, niepublikowane dotąd dzieło Czesława Miłosza, wymyka się prostym interpretacjom. Pracę nad futurologiczną prozą Miłosz rozpoczął jesienią 1967 r. Najintensywniej budowaniu historii o mrocznej końcówce naszej cywilizacji oddawał się w 1970 r. Zdecydował się na literaturę gatunkową, gdyż uważał, że tylko ona może być jeszcze nośnikiem Zeitegeistu – tak jak w XIX w. była nim wielka powieść realistyczna. Miłosz był wspaniałym poetą, ale z prozą radził sobie różnie. Co prawda dał się poznać jako autor „Doliny Issy” oraz „Zdobycia władzy”, jednak w trakcie wyprawy na Góry Parnasu kompletnie się pogubił. Zauważył to również Jerzy Giedroyc, który jego apokaliptycznych fantazji nie chciał drukować w „Kulturze”. Wreszcie Miłosz sam uznał, że historii o Związku Astronautów nie warto ciągnąć. Prawdopodobnie nie mielibyśmy szansy, by poznać Karela czy kardynała Petra Vallergi, bohaterów powieści, gdyby nie Sławomir Sierakowski, który wiele lat później natrafił na nią w bibliotece Uniwersytetu Yale. Zainteresował go fakt, że w zbiorach prócz kompletnego rękopisu znalazł się także 50-stronicowy maszynopis – odautorskie opracowanie opatrzone wstępem, w którym Miłosz wyjaśnia, dlaczego nie ukończył powieści, ale też to, dlaczego tak skomponowaną treść warto poznać. Ukazała się ona teraz nakładem Krytyki Politycznej, uzupełniona o rozważania Sierakowskiego na temat kondycji współczesnej powieści oraz bardzo ciekawe posłowie Agnieszki Kosińskiej. To wartki kryminał, w którym pytanie nie brzmi: „Kto zabił?”, ale: „Gdzie leżą Góry Parnasu i dlaczego Miłosz nie wszedł na szczyt?”. → Hanna Rydlewska

Wojna oczami kobiet

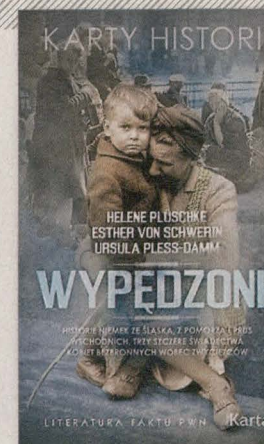
Jeżeli ktoś uważa, że Wojciech Smarzowski przesadził w „Róży” ze scenami gwałtów, niech przeczyta dziennik Helene Plüschke, Niemki z Dolnego Śląska, brutalnie wygnanej z rodzinnego Striegau (dziś Strzegom). Jej wspomnienia oraz pozostałych autorek opisują losy niemieckich kobiet traktowanych przez Armię Czerwoną jak zdobycz wojenna. Gdy tereny dawnych Prus i Śląska przyłączono do Polski, rdzenni mieszkańcy, którzy cudem przetrwali rosyjski front, zmuszeni byli przez komunistyczną administrację do opuszczenia swych domów.

„Wypędzone” to trzy opowieści. Plüschke, blisko 40-letnia matka szóstki dzieci, usiłuje przetrwać głód i czeka na powrót męża z wojny. Esther von Schwerin pochodzi z zamożnej rodziny szlacheckiej i sympatyzuje z antyhitlerowską opozycją. Ursula Pless-Damm to 26-letnia wrażliwa dziewczyna, która ciężko znosi przymusową pracę fizyczną.

„Wypędzone” są po trzykroć interesujące: z uwagi na kobiecą perspektywę, rzadko spotykany opis realiów ostatnich dni wojny i pierwszych miesięcy pokoju oraz uderzającą szczerą tych świadectw. → Marcin Kube

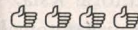


Czesław Miłosz, „Góry Parnasu. Science fiction”,
Wydawnictwo Krytyki Politycznej
2013, 34,90 zł
👍👍👍👍👍



„Wypędzone”, zbiór wspomnień
(Helene Plüschke, Ursula Pless-Damm,
Esther von Schwerin,
wybór, tłumaczenie i opracowanie:
Ewa Czerwiakowska),
Wydawnictwo PWN/Ośrodek KARTA,
Warszawa 2013, 34,90 zł.
👍👍👍👍👍

ELEKTRONIKA

Fox, „Fox”
Kayax

FOX



ADAM KRZYŻAK GEWARTOWSKI

ANGELIKA KUCIŃSKA

Król produkcji

Bohater drugiego planu wrywa się przed szereg – bo choć na pierwszym planie słycać przede wszystkim zaproszonych gości, Michał „Fox” Król przywraca znaczenie pobłażliwie traktowanej w Polsce instytucji producenta.

Takich płyt się u nas nie robi. „Fox” – klawiszowiec chilloutowego 15 Minut Projekt, muzyk do wynajęcia i człowiek odpowiedzialny m.in. za brzmienie ostatniej płyty Marii Peszek – kontynuuje niepopularną w Polsce formułę albumów producenckich, wcześniej z powodzeniem realizowaną przez Andrzeja Smolika. Smolik też zapraszał do udziału w swoich płytach muzyków być może pokrewnych wrażliwością, ale często oddalonych uprawianymi gatunkami, jak Artur Rojek, Maciej Cieślak czy Mika Urbaniak.

Król myśli podobnie. Wokaliści obecni na jego płytach – to już druga z serii, autorski debiut ukazał się dwa lata temu – to często również ci, z którymi muzycznie mu nie do końca po drodze. I siłą tych albumów jest fakt, że doskonale odnajdują się w nowych brzmieniowych okolicznościach. Paulina Przybysz (Sisters, Pinnawela), kojarzona raczej soulowo, tu występuje w numerach zorientowanych tanecznie. Fox grzebie towarzysko (śpiewają u niego głównie nazwiska związane z macierzystym Kayaxem), ale nie boi się niszy – bo znów najlepszą piosenkę nagrał ze znanym z Dick4Dick Buniem. Król trochę narzuca, trochę się dostosowuje, pozwalając swoim gościom ingerować w kompozycję, co najlepiej słycać w kolejnym kawałku z czołówki faworytów – „Communication Breakdown”, nagrany ze świetnie rapującym po angielsku Tomkiem Organkiem z Sofy.

„Fox” to podobno przegląd najważniejszych wydarzeń z parkietów europejskich metropolii – piszę „podobno”, bo to naciągana ideologia, która przesłania podstawowy atut płyty, z jednej strony pisanej świadomością brzmienia, z drugiej – kompozytorskim polotem. Tak, „Fox” to przede wszystkim świetne piosenki – bezwstydnie przebojowe, bez kompleksów. Jasne, wyprodukowane wielkomięsko i nowoczesnie, ale bez silenia się na wyprzedzanie trendów. Zresztą trudno nie odnotować, że Fox powieliła patenty zastosowane na debiutanckim „Fox Box” – chociażby wybierając gości z tego samego klucza. Ale nie ma się na co obrażać, skoro znowu działa. I to jak.

płyty ocenia Angelika Kucińska

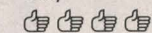


BOWIE JEST PONAD GATUNKAMI

Starszy pan nie chce zniknąć

Bowie w hołdzie Bowie. Kiedyś nagrywał płyty przyszłości, dziś ogląda się za siebie.

To płyta dla tych, którzy tęsknią za Bowie z lat 70. Wszystko tu nawiązuje do chlubnej przeszłości. Od okładki wykorzystującej zdjęcie z „Heroes”, drugiej części berlińskiej trylogii i jednego z największych osiągnięć w dyskografii muzyka. Przez „Where Are We Now?”, poruszający, niezdrowo sentymentalny (jemu wolno) list miłosny do niemieckiej stolicy i jednocześnie pierwsze ujawnione nagranie z płyty, opublikowane po 10-letniej przerwie i w dniu 66. urodzin Bowiego. Po generalny rozmach całości i refreny z potencjałem hymnów. W pierwszym z nich co prawda zaznacza, że na razie gdzie się nie wybiera, ale po „The Next Day” mógłby ze spokojnym sumieniem oddalić się na zasłużoną emeryturę. Bo to album znacznie lepszy niż kilka ostatnich.

David Bowie,
„The Next Day”
Sony

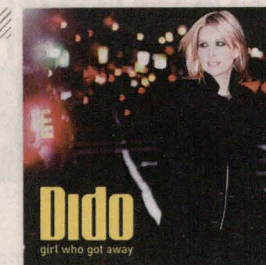
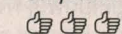
POP

Piosenka bezpieczna

Najpierw z klubów na salony, a potem z powrotem do klubów?

Dido miała plan, ale na pogrózkach się skończyło.

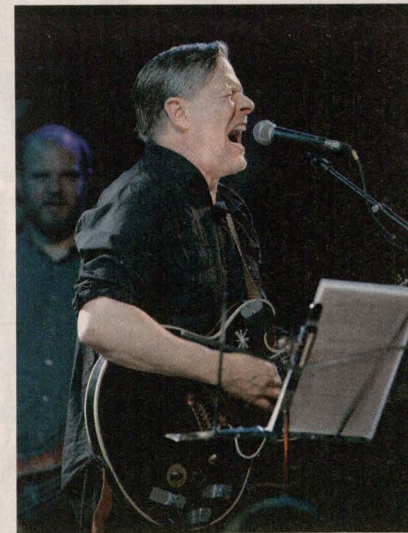
Mówiła o tej płycie już kilka lat temu. Że będzie elektronicznie, wręcz ekstrawagancko. Że nowe piosenki nagrywa w pokojach hotelowych, krążąc pomiędzy Londynem a Kalifornią tylko z keyboardem i mikrofonem. Ale rzeczywistość jest mniej romantyczna. Ostatnia płyta Dido ukazała się pięć lat temu, a to w popie cała epoka. Musi nie tylko o sobie przypomnieć, ale i obronić pozycję jednej z najlepiej sprzedających się brytyjskich wokalistek. Stąd zamiast zapowiadanych ekstrawagancji uśrednione aranżacje. Zamiast szaleństwa i brawury – sprawdzeni producenci, bo za brzmienie płyty tradycyjnie odpowiadał Rollo Armstrong, mózg Faithless i starszy brat wokalistki (wiele lat temu zauważono ją właśnie dzięki współpracy z zespołem brata), do spółki z Gregiem Kurstinem. Zamiast przebojów – piosenki asekuracyjne. Szkoda.

Dido, „Girl Who Got Away”
Sony Music

Koncerty ekstremalne

Przygotujcie się na Swans.

Tfu, wróc – na to nie da się przygotować. Koncertem na zeszłorocznym OFF Festivalu pokazali, że zasady mają gdzieś. I bynajmniej nie chodzi tylko o ostateczne przekroczenie planowanego czasu występu. Trzy pierwsze rzędy kwalifikowały się po koncercie Swans do przebadania na okoliczność szkodliwego wpływu hałasu na zdrowie emocjonalne człowieka. Swoją monumentalną apokalipsą nie tylko zagłuszyli pozostałych wykonawców występujących na festiwalu. To jest grubsza sprawa – Swans na żywo pozbawiają świadomości. Ta reputacja ciągnie się za nimi od lat, bo już w początkach działalności – w odległych latach 80. ubiegłego wie-



ALEXEI DANICHEV/MPF

Swans

15.03, Kwadrat, Kraków
16.03, Warszawa, Stodola

ku – podkrećali głośność, prowokując albo fizjologię (publiczność wymiotuje), albo władzę (policja interweniuje). Kiedy w 2010 r. Michael Gira reaktywował Swans – nieobecne na scenie 13 lat – największą ambicją lidera był powrót właśnie do intensywności pierwszych występów. Po OFF-ie wiadomo, że się udało – i potwierdzą klasę, wracając do Polski na dwa koncerty klubowe. Warto zaryzykować utratę słuchu, tym bardziej że będzie im towarzyszył równie skrajny i charyzmatyczny Jamie Stewart ze swoim zespołem Xiu Xiu. → Angelika Kucińska

Jeśli myślisz, że

Merval

to amerykański wydawca komiksów o superbohaterach...

Dałeś się „złapać”? Nie szkodzi!

Czytając dziennik „Parkiet” posiadasz fachową wiedzę, która pozwoli Ci mądrze inwestować w przyszłości. Zrozumiesz, że gry giełdowej można się nauczyć, trzeba tylko korzystać z profesjonalnych narzędzi.

Znajdziesz w nim:

- ▲ sprawdzone newsy z rynku kapitałowego, walutowego i surowcowego
- ▲ analizę spółek, trendów i wydarzeń rynkowych
- ▲ rzetelne rekomendacje dla inwestorów
- ▲ akademię inwestowania dla początkujących



MARCELI SZPAK

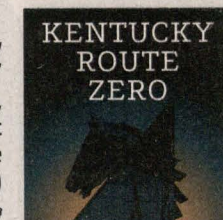
Jak w filmie



„Hitman
Trilogy HD”
Square Enix,
119,90 PLN
👍👍👍👍



„Kentucky
Route Zero”
Cardboard Computer,
18€ (abonament
Steam na wszystkie
odcinki)
👍👍👍👍



Metki, „Ni no Kuni”
Level-5/Studio Ghibli
PS3, Nintendo DS
219,90 PLN
👍👍👍👍👍

Chociaż ostatnio świat gier wideo żył przede wszystkim pierwszymi informacjami na temat najnowszej konsoli Sony – PlayStation 4 powinna się pojawić na sklepowych półkach w Polsce na początku przyszłego roku – producenci gier wciąż pokazują moc tkwiącą w sprzętach poprzedniej generacji. Skutkiem tego, siedem lat po premierze PlayStation 3, otrzymaliśmy właśnie jedną z najbardziej wyglądających gier na ten system, w pełni wykorzystującą wszystkie możliwości tkwiących w nim procesorów i układów.

Kiedy patrzy się na „Ni no Kuni”, łatwo uwierzyć, że mamy przed sobą wysokobudżetowy film animowany, zachwycający przepiękną scenografią i doskonale opowiedzianą historią. „Ni no Kuni” to jedna z nielicznych gier, które sprawią tyle samo radości zarówno graczom, jak i osobom tylko przyglądającym się rozgrywce, co właściwie nie powinno dziwić – w końcu za produkcję odpowiada legendarne japońskie Studio Ghibli, producenci między innymi nagrodzonej Oscarem animacji „Spirited Away: W krainie bogów”. Poruszając się po zaprojektowanych przez nich światach, coraz mocniej angażujemy się w historię 13-letniego Olivera, który przemieszcza się

między alternatywnymi rzeczywistościami i próbuje ożywić przedwcześnie zmarłą matkę, a po drodze spotyka dziesiątki magicznych stworzeń. Gdy gramy w „Ni no Kuni”, mamy wrażenie, że bierzemy udział w fabule klasycznego japońskiego anime. Możemy się też cieszyć doskonale dopracowanym systemem walki i wzruszyć się historią, która stoi w jednym rzędzie z animowanymi opowieściami Hayo Miyazakiego. To najważniejsze powody, dla których o grze będzie się mówiło jeszcze przez długie lata.

Podobnego rozgłosu, choć na nieco mniejszą skalę, doczekać się może „Kentucky Route Zero”, produkcja studia Cardboard Computer, które trzy lata temu zaskoczyło graczy dziwną, ale wciągającą przygodówką „A House In California”. Tym razem również mamy do czynienia z grą przygodową, dzięki której możemy eksplorować otaczający nas świat i rozwiązywać w miarę proste zagadki. I to właśnie świat zaprezentowany w grze stanowi jej główną siłę – równie dobrze poczują się w nim zaawansowani wiekiem gracze, pamiętający takie tytuły jak „Another”, jak i miłośnicy realizmu magicznego spod znaku Gabriela Garcii Márqueza, do którego twór-

zości ten tytuł nawiązuje na każdym kroku. Podróżując po tajemniczych kopalniach i jaskiniach, rozmawiając z całą galerią zagadkowych postaci, odkrywamy powoli historię świata, w którym nic nie jest tym, na co wygląda, a nasza prosta misja dostarczenia przesyłki staje się punktem wyjścia do fabuły, której nie powstydziłby się David Lynch. Obecnie możemy zagrać w pierwszą część serii, a kolejne cztery odcinki powinny się ukazać jeszcze w tym roku.

Czas przymiarek do zakupu nowej konsoli to także doskonały moment na uzupełnienie kolekcji klasyków poprzednich generacji. W tym miesiącu warto zwrócić uwagę na wznowienie trzech gier z kultowej duńskiej serii „Hitman”, które doczekały się wreszcie wydania w wysokiej rozdzielczości. Z Agentem 47 zetknęliśmy się pierwszy raz w roku 2000 i trzeba przyznać, że gry ze studia IO Interactive nie straciły ani odrobiny ze swego uroku. Jeśli jesteście fanami rozbudowanych teorii spiskowych, uwielbiacie się skradać, planować i czekać na najważniejszy moment, by dostać się do pilnie strzeżonych miejsc, pakiet tych trzech gier dostarczy wam rozrywkę na co najmniej kilkadziesiąt godzin. 📖

WANDA MODZELEWSKA

Design nakręca biznes

Czy wzornictwo może być nowym impulsem do rozwoju społeczno-gospodarczego naszego kraju? Zamek Cieszyn, jedno z najprężniej działających regionalnych centrów wzornictwa w Polsce, ogłosił właśnie **Manifest Designu**, wzywający do stworzenia Polskiej Polityki Innowacyjności poprzez Design.

Dlaczego to właśnie design ma się przyczynić do rozwoju polskich przedsiębiorstw, usprawnienia funkcjonowania sektora publicznego czy rozwiązania istotnych problemów społecznych? Twórcy Manifestu Designu opierają się tu m.in. na dokumentach Komisji Europejskiej, uznających design za nieodzowny element polityki innowacji w Europie, nie tylko na poziomie wspólnotowym, ale także pojedynczych państw i regionów. Jak przyznaje Ewa Gołębiowska, dyrektor Zamku Cieszyn, inspiracją były także działania Design Wales, regionalnego centrum wzornictwa z Walii, który również ma na koncie przygotowanie podobnego manifestu „Design for Innovation in Wales: Industry, services and Society”. Ten dokument powstał dwa lata temu i miał duży wpływ na obecną strategię wspierania innowacji w tym regionie Wielkiej Brytanii.

Ssak Expert, proj. Paulina Kordas i Dawid Zebrowski, prod. Perfect Sobierajski – laureat nagrody Red Dot Design Award 2012



Dzięki unijnym środkom w ciągu niespełna trzech lat udało się zrealizować prawie 40 różnych przedsięwzięć. Podczas warsztatów projektowych „Design w terenie” młodzi projektanci, samorządowi i mieszkańcy stworzyli koncepcje zagospodarowania „trudnych” miejsc w śląskich miastach: Mstowie i Radlinie. „Design... do usług!” był poszukiwaniem rozwiązań usprawniających usługi w urzędach w Żorach, Katowicach czy w Tychach. W ramach Design Silesia badano historię śląskiego wzornictwa, a warsztaty produktowe, prowadzone m.in. w fabryce Paged Meble w Jasienicy pokazały niedoceniany potencjał tradycyjnych metod produkcji. Rosnący poziom projektowania produktów i usług widać w kolejnych edycjach regionalnego konkursu designu „Śląska Rzecz”, który w ubiegłym roku odbył się już po raz ósmy.

6 obszarów działania

Manifest Designu postuluje sześć głównych obszarów, które należy uwzględnić, tworząc Politykę Innowacyjności poprzez Design w Polsce. Są to: konkurencyjne produkty

i usługi, innowacyjny sektor publiczny, badania w designie, edukacja i kompetencje w zakresie designu, społeczna innowacja poprzez design oraz spójna promocja designu.

Pierwszy z nich najlepiej ilustruje przytoczone w manifestie studium przypadku PESA Bydgoszcz, producenta pojazdów szynowych, któremu inwestowanie w innowacje przyniosło dynamiczny rozwój i spektakularne sukcesy biznesowe, takie jak podpisana w ubiegłym roku umowa ramowa z Deutsche Bahn na dostawę 470 pojazdów typu Link. Tego rodzaju osiągnięcia liderów zasługują na uznanie, ale potrzebna jest także wymiana doświadczeń oraz dostęp do wiedzy i narzędzi zarządzania designem dla małych i średnich przedsiębiorstw. One często potrzebują też mechanizmów finansowych pozwalających wspierać inwestycje w innowacje, w ich późniejszą promocję i sprzedaż. Katarzyna Okińczyc, polska projektantka współpracująca z tego rodzaju firmami, twierdzi, że bez pomocy w postaci funduszy europejskich trudno znaleźć im środki na znaczące zmiany w ofercie i wprowadzanie ciekawych nowości, a przede wszystkim ich prezentację, np. na zagranicznych imprezach targowych.

Edukować i promować

Dobrym polskim produktem i usługom potrzebna jest także wspólna marka – choćby zdefiniowana na nowo, istniejąca już godło „Dobry Wzór”. Niezbędna jest także skuteczniejsza ochrona praw własności intelektualnej, która pozwoli przedsiębiorcom zminimalizować ryzyko związane z ponoszeniem wysokich nakładów na rozwój innowacyjnych produktów i usług.

Ogromną potrzebą w zakresie designu jest edukacja – konsumentów, rzemieślników, projektantów czy wreszcie menadżerów zarządzających firmami. Design może być też narzędziem innowacji społecznej – wprowadzania zmian zaspokajających lokalne potrzeby, angażowania ludzi w rozwiązywanie ich własnych problemów. Przykładem takiego procesu może być chociażby WellDone. Dobrze Rzeczy – pionierska

Modułowe urny ceramiczne, proj. Bogdan Kosak, prod. KERA Ceramika – zwycięzca konkursu „Śląska Rzecz 2011”



PIOTR BOROWICZ


w skali Polski inicjatywa włączająca projektantów w działalność przedsiębiorstwa społecznego, wspierającego aktywizację zawodową osób bezrobotnych. Praca przy produkcji dobrze zaprojektowanych domowych i biurowych akcesoriów z drewna oraz innych naturalnych materiałów jest dla pracowników WellDone szansą na uzyskanie nowych kwalifikacji, wyjście z długotrwałego bezrobocia, społeczną i materialną samodzielną.

Wreszcie ostatni postulat Manifestu Designu to spójna promocja – tu jako pozytywny przykład wskazywana jest Dania i Dansk Design Center, skutecz-

nie budujący wizerunek tego państwa na arenie międzynarodowej poprzez design i wdrażający z pozytywnym ekonomicznym skutkiem kolejne polityki rozwoju. Popularny ostatnio facebookowy mem – zestawienie 14 stosowanych w ostatnich latach na arenie międzynarodowej godeł promocyjnych Polski jasno dowodzi, że wiele musimy się jeszcze jako naród nauczyć w dziedzinie autopromocji.

Manifest na urodziny

Manifest Designu został ogłoszony 1 lutego podczas ósmych urodzin Zamku Cieszyn – corocznego podsumowania działalności tej instytucji, prezentacji projektów i wystaw oraz okazji do spotkania polskiego środowiska związanego z designem. W tej chwili przed twórcami manifestu stoi najpoważniejsze zadanie – lobbying oraz zainteresowanie

 Przykładem sukcesu designu jest umowa na dostawę 470 pojazdów Link, jaką PESA Bydgoszcz podpisała z Deutsche Bahn



DOMINIK GAJDA

problematyką innowacyjności poprzez design osób, które mogłyby mieć realny wpływ na stworzenie i wdrożenie takiej narodowej polityki, zwłaszcza teraz, tuż przed rozpoczęciem nowego okresu programowania w UE, założonego na lata 2014–2020.

Zdaniem Ewy Gołębiowskiej, w Polsce pojawia się wiele pozytywnych działań współgrających z Manifestem, takich jak długofalowy

Zbieranie głosów poparcia pod Manifestem „Design pomaga”. Poniżej: Włócznik nożny do sprzętu medycznego Thin, proj. Paulina Kordas i Dawid Zebrowski, prod. Perfect Sobierajski – laureat nagrody Red Dot Design Award 2012

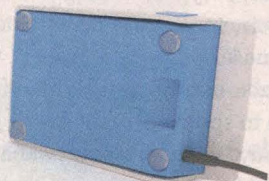
program promocji polskiego wzornictwa przygotowany przez Instytut Adama Mickiewicza czy ogłoszony przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju konkurs w ramach Programu Innowacje Społeczne, jednak nadal brakuje w naszym kraju systemowych rozwiązań wspierających rozwój innowacyjności poprzez design. Z tą opinią zgadzają się także polscy projektanci, choć dostrzegają pewne zagrożenia. – Pojęcie

„innowacji” uległo w Polsce dewaluacji, choćby na skutek zatruwającego nadużywania w projektach unijnych i wysypu „innowacyjnych” solariów czy gabinetów dentystycznych. Podobny los spotkał słowo „design”

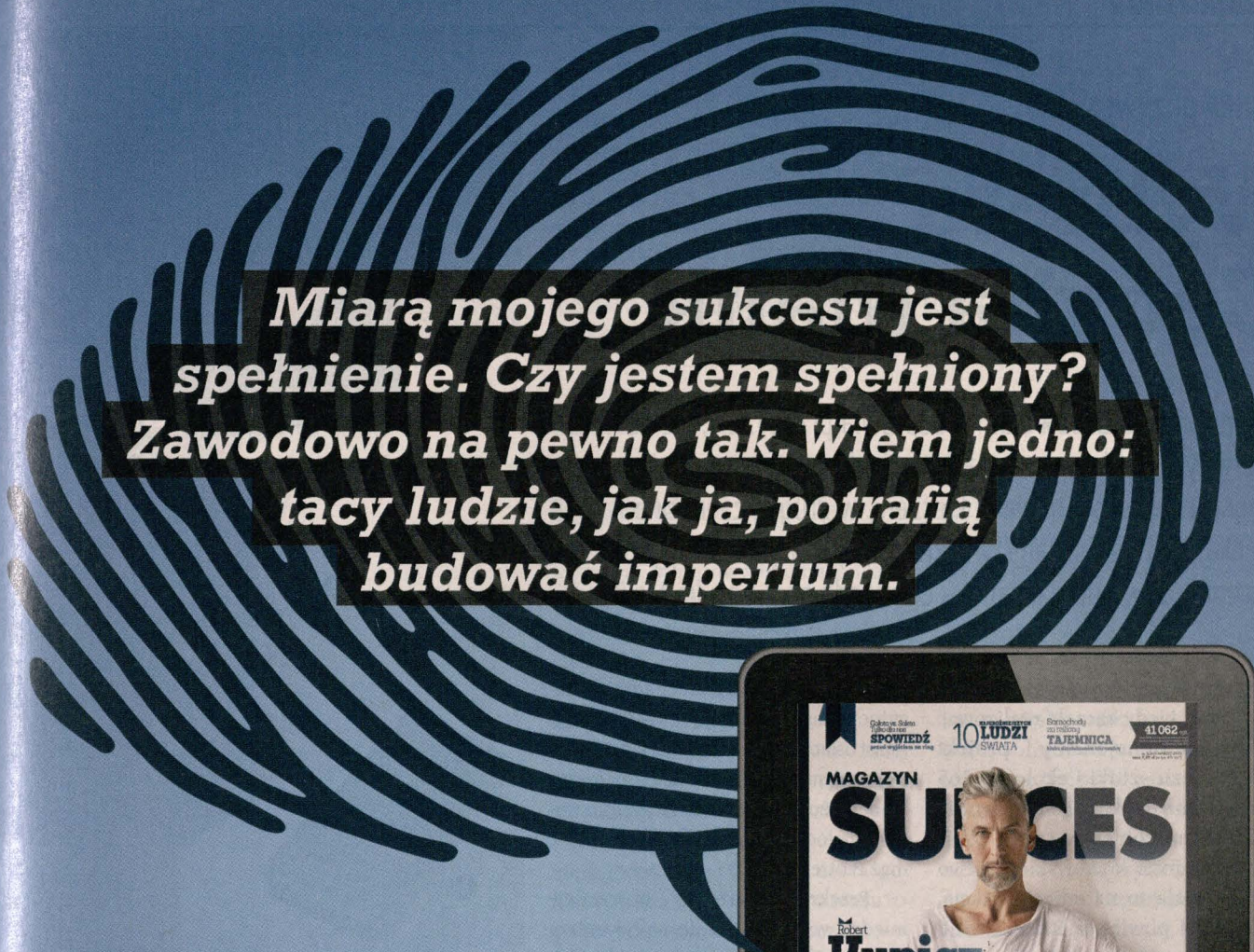
– gdy w reklamie gumi do żucia słyszymy o „nowym designie opakowania” (a oznacza to de facto nowy krój liter na tym opakowaniu), jest to zabawne,

ale i trochę straszne, bo jako projektant zdaję sobie sprawę, jak tego rodzaju komunikat deformuje społeczną świadomość. Tymczasem zarówno design, jak i innowacja coraz częściej dotyczą całych zjawisk i złożonych procesów, a nie pojedynczych przedmiotów. Nowatorskie usługi, modelowanie nowych postaw kulturowych i społecznych, nadążające za tymi zmianami modele biznesowe czy w końcu nowe technologie wciąż oczekują na zrozumienie swojej wagi dla polepszenia jakości życia Polaków. Zacznijmy o tym na poważnie rozmawiać – apeluje Artur Puszkarzewicz ze studia AZE Design.

Dotychczas udało się przekazać Manifest prezydentowi Bronisławowi Komorowskiemu, spotkał się także ze wsparciem lokalnych śląskich polityków, m.in. eurodeputowanego Jana Olbrychta oraz posłanki Aleksandry Trybuś. Pełną wersję Manifestu Designu można znaleźć na stronie www.zamekciestyn.pl. Na podany tam adres e-mail można przysłać wnioski, propozycje i pomysły z nim związane. Można też dotrzeć do społeczności Manifest Designu na Facebooku, by na bieżąco otrzymywać informacje o związanych z nim wydarzeniach.



MATERIAŁ PRASOWE



Miarą mojego sukcesu jest spełnienie. Czy jestem spełniony? Zawodowo na pewno tak. Wiem jedno: tacy ludzie, jak ja, potrafią budować imperium.



Sukces to rzecz osobista. Dowiedz się, czym tak naprawdę jest dla projektanta Roberta Kupisza.

Czytaj m.in.:

Gołota vs. Saleta

Tylko dla nas SPOWIEDŹ przed wyjściem na ring

Auta za miliony

TAJEMNICA klubu dżentelmenów kierownicy

10 najgroźniejszych LUDZI świata



MONIKA BRZYWCZY

Wybiera Cecylia Malik

Wspina się po drzewach i przeprowia przez rzeki, ale koniecznie w barwnych kobiecych strojach. – Husky na smyczy, duży aparat fotograficzny, stara nokia w kieszeni, w drugiej czerwona szminka, bluza z uszkami, wielkie kolczyki, wysokie wygodne buty i jestem gotowa do działania – opowiada nam Cecylia Malik.

Świat usłyszał o niej cztery lata temu, kiedy zaczęła realizować niekonwencjonalny projekt na pograniczu sztuki i ekologii „365 drzew”, w ramach którego codziennie w kolorowym kobiecym stroju wspinała się na inne krakowskie drzewo oraz utrzymywała to na zdjęciu. Akcja, inspirowana powieścią Italo Calvino z 1957 r. „Baron drzewoład”, interpretowana była na wiele sposobów: jako niekonwencjonalny performance, wyraz kobiecej emancypacji lub symbol walki o miejską zieleni. Została zwieńczona wydaniem albumu „365 Drzew” dokumentującego ten rok z życia Malik. Chwilę później, aby ratować krakowski Zakrzówek, razem z Kolektywem Modraszek urządziła barwny happening, namawiając ludzi, aby założyli charakterystyczne dla tego ginącego gatunku motyla niebieskie skrzydła.

12 marca w krakowskim Bunkrze Sztuki otwiera się wystawa Cecylii „Rezerwat Miasto”, podczas której pokaże efekty akcji „6 Rzek”. Wraz z operatorem Piotrem Pawlusem przepłynęła sześć krakowskich rzek: Wisłę, Wilgę, Dłubnię, Rudawę, Prądnik i Potok Kościelnicki. Z każdej wyprawy powstał krótkometrażowy film. – Prawdopodobnie nikt wcześniej nimi nie spłynął – opowiada Cecylia. To podróże odkrywcze pokazująca dzikie, zupełnie nieznanne miasto – rezerwat Kraków. Filmy dokumentują

krakowskie rzeki od granicy administracyjnej miasta aż do ujścia w Wiśle. Zamiast ostatniego Potoku Kościelnickiego pokazujemy na filmie podziemną rzekę. Dodam, że płynęłam samodzielnie wykonaną łódką, którą pomógł mi zrobić mąż Piotrek.

„Przekrojowi” artystka – w przerwie między wspinaniem się i pływaniem – opowiedziała o swoich ulubionych przedmiotach.

1 Negradonna

Nie mogę żyć bez płyty zespołu Negradonna – projektu mojej siostry Rozalii, w którym zresztą też gram. Uwielbiam jechać sama lub z nią samochodem i śpiewać wszystkie piosenki po kolei na całe gardło. Dodam, że najlepiej słuchać tych piosenek bardzo głośno i jechać całkiem szybko. Słucham tej muzyki, gdy maluję sama w domu i gdy mam doła – to praktycznie jedyne skuteczne lekarstwo na taki stan beznadziei i zwątpienia. Kocham zwłaszcza ostatnią płytę „Wiekiste piękno”, na okładce której jest czerwony łabędź.

2 Rzeźba mamy

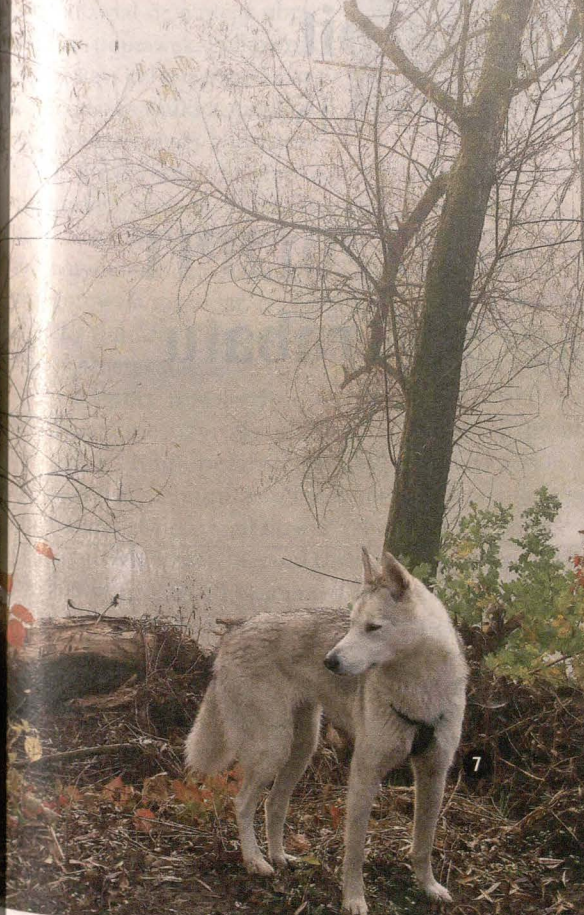
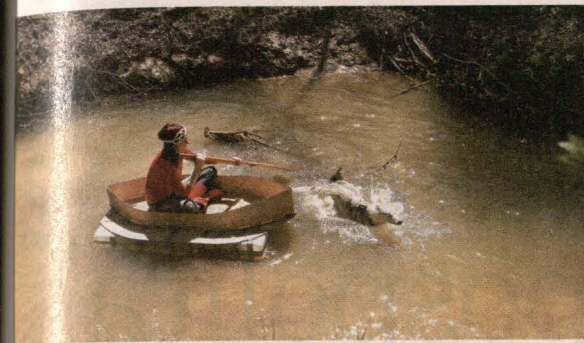
Moja mama jest rzeźbiarką, nasz dom zawsze wypełniały jej prace. Teraz też mam ich w domu kilka, na komodzie zielony „Raj”. Gdy rzeźby mamy są w pobliżu, to czuję, że jestem w domu. www.annagertychmalik.pl



123RF (2)



JANUB OCEPA/AGENCIA GAZETA



Cecylia Malik – malarka, performerka, kuratorka i aktywistka. Ukończyła Wydział Malarstwa na krakowskiej ASP oraz Podyplomowe Muzealnictwo i Studia Kuratorskie w Instytucie Historii Sztuki UJ. Jej prace stanowią przykład działań artystycznych o szerokim zasięgu medialnym mającym wpływ na realną politykę miasta. Charakterystycznym elementem działalności Cecylii jest anarchistyczny impet stanowiący podstawę dla twórczych przygód artystki. Mieszka i tworzy w Krakowie.

3 Stara nokia

Nie cierpię smartfonów i gadzeciarskich sprzętów. Mój nowy telefon podarowałam synkowi Antkowi, sama zostałam ze starą nokią w kieszeni. I tak jest mi dobrze.

4 Czerwona szminka

Wiem, to bardzo babskie, ale nie mogę żyć bez czerwonej lub różowej szminki w kieszeni. Może być droga, takie dostaje zazwyczaj w prezencie od Justyny lub męża Piotrka, albo tania, ale dobra, gdy kupuję sama. Po prostu nie ma sensu robić sobie zdjęcia na drzewie bez czerwonej szminki, bo wtedy z daleka w ogóle nie widać twarzy.

5 Kolczyki od siostry

Kolczyki szyje dla mnie ukochana siostra, wspaniała artystka Justyna Koeke. Wspólnie z nią wymyśliłyśmy i zorganizowałyśmy dwa projekty: „ul. Smoleńsk 22/8” i „Modraszek Kolektyw”. Justyna szyje kolczyki-kwiatki, świecące i miękkie, które są moim znakiem rozpoznawczym. www.justynakoeke.com

6 Gorset znad Białki

Kolejna ulubiona rzecz to gorset, który zamówiłam i kupiłam od góralki spod Nowego Targu. Oryginalny, podhalański, czerwony, aksamitny, z ostem dziewięcisiem na plecach wyhaftowanym z cekinów. Zawsze, gdy chcę pięknie wyglądać, zakładam właśnie ten ciuch. Często po prostu do dzinsów. Te ludowe gorsety znalazłam podczas rodzinnych wypraw do przełomu rzeki Białki, koło Nowej Białej, gdzie odbywają się góralskie fotosesje ślubne. Gorset znad Białki.

I właśnie tę rzekę chcę chronić przed pogłębieniem podczas planowanej akcji „Warkocze Białki”, którą będę realizować w Bunkrze Sztuki.

7 Rower, niebo i wilk

Na rowerze jeżdżę latem, zimą, zawsze! Jest to górski, męski, sportowy model. Lubię kolorowo i ładnie wyglądać, ale też muszę być szybka jak wiatr. Uwielbiam również łązić i wędrować po lasach, krzakach, miejskich rezerwach, nie mogę żyć bez przyrody, bez włóczenia się, bez szerokiego rozległego nieba. Mam teraz suchkę husky, która jest powodem do codziennych spacerów. Orsi to taki mój biały wilk, alter ego, zresztą i towarzyska wszystkich moich nowych projektów.

8 Wiśniówka nad Wisłą

Jedną z przyjemności życia to wiśniówka nad Wisłą, z przyjaciółkami, ploty na trawie, patrzeć, jak płynie piękna, wielka, ale i groźna rzeka. Uwielbiam w porze ciepłej, latem, wiosną, jesienią pić piwo lub jakiś alkohol (w niewielkich ilościach!) w przestrzeni publicznej, czyli na świeżym powietrzu – co, niestety, jest w naszym kraju nielegalne.

9 Bluza z uszkami

Ciężko byłoby mi się obejść bez ukochanych ciuchów. Nie mogę żyć bez bluz z uszkami projektu Moniki Drożyńskiej. Są moją drugą skórą. Wybieram te najbardziej kolorowe. W czerwonej bluzie z uszkami zrealizowałam cały projekt „6 rzek”. Byłam w nich bajkowym krasnoludkiem przemierzającym nieznaną krainę.

Rozlicz PIT z „Rzeczpospolitą”

Skorzystaj z pomocy ekspertów.

Sprawdzony program „Rozliczenie roczne 2012” pomoże Ci bezbłędnie wypełnić właściwy PIT oraz rozliczyć ulgi.



Pobierz program
www.rp.pl/pit
infolinia 801 15 15 15

Wpisz kod: **RZ2012PIT**
a zyskasz **50% rabatu**



Program ROZLICZENIE ROCZNE 2012 zweryfikowany przez spółkę doradztwa podatkowego MDDP Michalik Dłuska Dziedzic i Partnerzy

Partner projektu:



Pobudzamy myślenie  RZECZPOSPOLITA

KUBA DĄBROWSKI

Stars and Stripes

Owijał się nią Rocky Balboa, Bruce Springsteen śpiewał na jej tle, była nawet na Księżycu! Przed państwem jedna z największych ikon współczesnej kultury – amerykańska flaga. Ona również ma swoją historię.

Maj 1776 r., Filadelfia. Betsy Ross prowadzi warsztat krawiecki przy Arch Street. Zatrudnia kilka dziewcząt do pomocy, interes kręci się dobrze, zakład uznawany jest za jeden z lepszych w mieście. Pewnego popołudnia w drzwiach jej pracowni staje kilku poważnych, dystyngowanych mężczyzn. Szwaczka rozpoznaje dwóch: Jerzy Waszyngton jest członkiem tego samego co ona kwakerskiego zboru, czasami pojawiał się u niej z ubraniami do poprawek. Pułkownik George Ross jest kuzynem zmarłego podczas walki z Anglikami męża krawcowej. Nietypowi

klienci przybywają z jeszcze bardziej nietypowym zleceniem: przedstawiają się jako członkowie komitetu Kongresu Kontynentalnego. Chcą, żeby Ross przygotowała sztandar, pod którym mogliby wojować walczący o niepodległość Amerykanie.

Do tej pory rewolucyjne wojska kontynentalne używały kilku różnych flag. Najpopularniejszy był sztandar z grzechotnikiem i złowrogim hasłem „Don't tread on me” (Nie próbuj mnie deptać) i „Grand Union” z czerwono-białymi pasami i angielskim Union Jackiem w kantonie w prawym górnym rogu. Często prowadziło to do zamieszania. Na przykład w styczniu, po odbiciu Bostonu z angielskich rąk, kiedy wojska Waszyngtona wywiesiły na maszcie flagę Grand Union, duża część miejskiej społeczności wzięła to za znak poddania się koronie. Podczas rewolucji, kiedy ludzie umierają za sztandary,



takie nieporozumienia są co najmniej na miejscu. Armia Kontynentalna potrzebuje symbolu.

Komitet przynosi ze sobą naszkicowany ołówkiem wzór flagi: naprzemienne białe i czerwone pasy, a w lewym górnym rogu na niebieskim tle 13 sześcioramiennych gwiazd symbolizujących poszczególne zbuntowane amerykańskie kolonie. Krawcowa nie polemizuje z generalnym projektem, ale proponuje poprawki techniczne. Po pierwsze, sugeruje, żeby flaga była bardziej prostokątna – lepiej się sprawdzi, powiewając na wietrze. Po drugie, w projekcie gwiazdy ułożone są w sposób dość przypadkowy. Ross mówi, że powinny być ułożone w kole – tak będzie bardziej estetycznie, a poza tym widać będzie równość poszczególnych kolonii. Po trzecie, gwiazdy na rysunku są sześcioramienne – żołnierze/politycy zaprojektowali je przekonani, że krawcowej łatwiej będzie wyciąć gwiaz-

dy o parzystej liczbie ramion. Szwaczka proponuje bardziej eleganckie gwiazdy pięcioramienne – na oczekaniu opracowuje sposób łatwego ich wycinania ze złożonego kawałka materiału. Komitet zostawia w zakładzie starą marynarską banderę, krawcowa ma na jej podstawie rozpracować technikę wykonywania flag, rodzaj użytych ściągów itp.

W kilka dni Betsy Ross wykonuje prototyp sztandaru. Komitet jest zadowolony, poprawki nie są potrzebne. Szwaczka dostaje zaliczkę na zakup materiałów i zamówienie na tyle flag, ile jej zakład będzie w stanie wy-

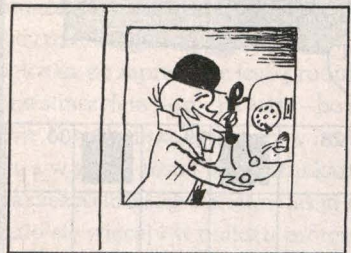
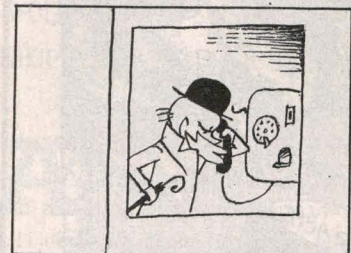
produkować. Szyć flagi zaczynają również inne zakłady krawieckie w Filadelfii. Zapotrzebowanie jest duże, sztandar staje się uniwersalnym symbolem walczących o niepodległość Amerykanów. 14 czerwca 1777 r. decyzją Kongresu oficjalnie staje się flagą narodową.

Historię Betsy Ross kilkadziesiąt lat po wydarzeniach przedstawił światu jej wnuk William J. Canby. Spisał przekazywaną w rodzinie opowieść i przedłożył Towarzystwu Historycznemu Pensylwanii. Opowieść błyskawicznie podbiła amerykańską wyobraźnię. Jako że osobiste wspomnienie nie jest najmocniejszym źródłem historycznym, wiarygodność historii Betsy Ross często jest podważana, ale nigdy nie udało się jej jednoznacznie zdyskredytować.

Kuba Dąbrowski co tydzień pisze o rzeczach, które mogłyby być uznane za sztukę, ale są też częścią codzienności. O zdjęciach, plakatach, reklamach, okładkach książek i płyt, logotypach.

ROZMAITOŚCI

Kociak tygodnia: Agnieszka Żulewska, 26 lat, aktorka. Absolwentka łódzkiej Filmówki, od trzech lat mieszka w Warszawie.
Fot. Sonia Szóstak



Szormanieckie ssaki



” Uśmiech to niedrogi sposób na poprawienie wyglądu. John Dana

Jak dama obchodzi się z fartem?

Fart to ekscentryk. Rzadko przybywa, gdy cali jesteśmy zwarci i gotowi na jego przyjęcie. Tyczy się to wszystkich fartów, a już zwłaszcza tych nie-fartownych, co się trafiają skutkiem zapowietrzeń wewnętrznych. Wiadoma to rzecz, że celowe wypuszczanie wiatrów w towarzystwie nie uchodzi nawet królom. Jednak logika obycia to jedno, a metafizyka jeliit to drugie. Sposób wydobycia osobistego farta, jak większość rzeczy ludzkich na tym świecie, zależy od osobowości. Są farty wysublimowane, dyskretne, eteryczne i niepochwytnie. Ale są też farty arogantny, całkiem bezpardonowe. Styl stylem, ale co robi dama, gdy fart ją opuści wbrew jej intencjom w chwili najmniej do tego stosownej? Błahe incydenty zazwyczaj wtedy przechodzą do historii, gdy sami ich sprawcy raczą nadawać im wagę. Dlatego dama trzyma się tej samej zasady co zwykle: nie robi kwestii z byle czego. Nie wczuwa się w to, co jest. Serwuje otoczeniu świeży powiew nowych idei. → Ula Ryciak



”NAJWYŻSZA JAKOŚĆ OBRAZU NIE POZWAŁA ODRĘBNIĆ GO OD RZECZYWIŚTOŚCI”



Turystyka od kuchni

Co planują linie lotnicze? Kto zakupił nowe samoloty? Dokąd najczęściej latają Polacy? Wejdź na turystyka.rp.pl, pierwszy profesjonalny portal branży turystycznej.

Turystyka
serwis branżowy „Rzeczpospolitej” rp.pl

RZECZPOSPOLITA

rp.pl

FILUTER

Marek Raczkowski

OFF ^{plus} &
camERA
prezentuje

**bierzcie
i kręćcie**

**zbierz ekipę
i nakręć film**

10



Rys
Kamera FDC 789/009/A7
Patent nr 345/456 Aleksandra
Kozłowski

Łączna pula
NAGROD:
ponad

100 000 zł

www.bierzcieikreccie.com

nagrody
fundują:

plus &
Lider technologii LTE

allegro



SAMSUNG

patroni
medialni:

RMF

Classic

**PRZE
KROJ**

onet.

tvn